

Ewa Barańska
Kamila

Nigdy nie poznamy prawdy, nie znając przyczyny.
Arystoteles

Szok

Jestem wstrząśnięta. Koleżanka z klasy Kamila Rutka, wyskoczyła z okna jedenastego piętra. W swoim życiu tylko dwa razy dotknęła mnie śmierć bliskich mi ludzi - dziadka Józefa i cioci Agnieszki. Odczuwałam wtedy ogromną rozpacz, ale to nie było to samo, co po śmierci Kamili. Ciocia i dziadek odeszli w sędziwym wieku i z przyczyn naturalnych, zaś Kamila miała zaledwie siedemnaście lat i nie żyje z własnego wyroku. Zakłóciła harmonię świata.

Natrętnie staram się wyobrazić ją sobie w ostatnich chwilach życia. Jakże musiało jej być ciężko na sercu, zanim podeszła do okna z zamiarem położenia kresu swojemu cierpieniu. Co czuła, lecąc na spotkanie ziemi? Może w tych końcowych sekundach przeraziła się ostateczności rozwiązania? Może chciała wszystko cofnąć, odwołać, lecz siła grawitacji działała z bezlitosną bezwzględnością?

Po śmierci moich bliskich czułam przygnębiający żal, ale nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. W przypadku Kamili, oprócz smutku, męczy mnie to gryzące uczucie. Klasa też zachowuje się dziwnie. Kiedy ją wspominamy, nikt nikomu nie patrzy prosto w oczy, jakby każdego coś dręczyło.

Kilka godzin przed śmiercią była u mnie, ale nie zastała mnie w domu. Może szukała pomocy? Czemu wtedy nie siedziałam na tyłku w swoim pokoju? Dlaczego nie poczekała? Wróciłam zaledwie dziesięć minut później. Dlaczego wreszcie nie przyszłam tych dziesięć minut wcześniej ?

7

Dlaczego to zrobiła? Stała zaledwie na progu życia, wszystko miała przed sobą. Kto odebrał jej nadzieję? Kto dokonał tej zbrodni? Czy można wskazać winnego?

Pytania... pytania... pytania... Nie znam na nie odpowiedzi, ale gdzieś w głębi serca tkwi drzazga podejrzenia, że popełniłam grzech zaniechania, że przeoczyłam jakiś ważny szczegół, który mógłby uratować Kamilę, że być może byłam ślepa na sygnały świadczące, iż jej udęczone dusza potrzebuje pomocy.

Mijają godziny, a ja ciągle nie mogę się uporać ze wspomnieniami. Być może, jak mówią dorośli, czas leczy wszystkie rany, lecz ja nie wiem, czy chcę, aby tak było. Nie znaczy to wcale, że pragnę znosić katusze goryczy żyć w jakimś bajro-nicznym nastroju do końca życia. Nie. Nie chcę tylko zobojętnieć na ten ból, zanim nie zrozumieć, dlaczego tak się stało. Zanim nie osądzę, czy choćby w najmniejszym stopniu jestem tej śmierci winna.

Tego wieczoru usiadłam przy biurku, wyjęłam czysty zeszyt i postanowiłam na piśmie zebrać, uporządkować i przeanalizować wszystkie fakty. Obiecałam sobie zrobić to chłodno, z dystansem, jak prawdziwy detektyw, i sprawiedliwie, gdyż sędzią będzie moje własne sumienie. Wierzyłam, że tylko w ten sposób uda mi się znaleźć odpowiedź na bolesne pytanie, dlaczego umarła Kamila?

Trudno opisać jednego człowieka bez dogłębnej znajomości środowiska, w którym żyje. Już z tego powodu moja analiza będzie ułomna. Nie wiem przecież nic o jej przeszłości, rodzinie i życiu poza szkołą. Może jednak jak przebadana próbka krwi pozwala zdiagnozować stan zdrowia całego organizmu, tak relacje Kamili z naszą klasą rzucają światło na resztę jej życia. Jednak zamysł dojścia prawdy z relacji Kamila - klasa narzuca oczywistą logikę - aby zrozumieć Kamilę, powinnam najpierw zastanowić się nad klasą i nad sobą. Bez tej płaszczyzny odniesienia niczego ani nie wyjaśnię, ani nie zrozumie i do tego raz po raz będę tworzyć narracyjne zatory

Jaka jestem? Jacy jesteście!

Trudno jest zacząć, gdyż zwyczajność życia przy wyjątkowości śmierci sprawia, że żadne zdanie nie jest odpowiednio doniosłe, aby rozpocząć historię o tak tragicznym zakończeniu. Przekonałam się, patrząc wstecz, że doniosłe wydarzenia, nawet tak straszne jak śmierć Kamili, są wypadkową drobnych, mało znaczących, przypadkowych zdarzeń, słów, decyzji i zaniechań, pozornie równie dalekich od skutków, jak trzepot skrzydeł motyla w Europie od tajfunu na Pacyfiku, przytaczany przez fizyków jako przykład związków przyczynowo-skutkowych w teorii chaosu. Wiele spraw mogłoby się potoczyć inaczej, gdyby przestawić przynajmniej jeden element w tej grze, która nazywa się życiem. Ale po kolei.

Nasze liceum ma opinię najlepszego w mieście. Tak dobrego, że nie każdy gimnazjalny prymus mógł precyzyjnie przejść przez kwalifikacyjne sito. Z bliska ta założenia zbiorowość najlepszych z najlepszych, młodych geniuszy, przyszłych naukowców, odkrywców, noblistów, bojowników wyłącznie słusznych idei, przeobrażających świat bez kompleksów wobec ciężaru misji, prezentowała się całkiem zwyczajnie. Może w innej budzie, przy niższym poziomie byłoby inaczej, ale wszystko jest względne.

Klasa nie wyróżnia się niczym szczególnym, chociaż panuje w nas powszechna opinia, że jesteśmy wyjątkowi. Wobec wielości możliwych do przyjęcia kryteriów oceny, mam sporo kłopotów ze scharakteryzowaniem klasy. Przez naszą

9

zbiorowość można przeprowadzić wiele linii podziałów, a żadna z nich nie odda istoty sprawy. Ani podział na płęć, ani na prymusów, średniaków i matołów, ani na włóczykijów i do-matorów, ani na fajnych, takich sobie i dennych, ani na żaden inny. Na przykład profesor od wychowania fizycznego dzieli nas na sprawnych i łamagi, a taki Przemek Szweda na git lu-dzi i frajerów. Stosują swoje kryteria podziału inni chłopcy i dziewczyny, i ksiądz, i woźny.. Jednym słowem podziałowa szatkownica. Moja pozycja w klasie jest dobra. Uczę się lepiej niż średnio, nie jestem brzydka, ubieram się dobrze, jednak bez nadmiernej ekstrawagancji, to znaczy: kolczyki tylko w uszach, pępek schowany zero tatuaży. Jak dotąd żaden chłopak nie oszalał na moim punkcie. Co prawda kilku się podobam, jednemu nawet bardzo, ale to i tak jest

dla mnie mało ważne. Kocham się bez pamięci w niewiarygodnie przystojnym, eleganckim, urokliwym Karskim - matematyku. Pożądam go grzesznie nawet wtedy, gdy tym swoim aksamitnym, łagodnym głosem wyjaśnia tajniki dwumianu Newtona, rozwiązuje równania wykładnicze, przeprowadza logiczny dowód, że odcinek AB jest równoległy do odcinka BC, jeżeli płaszczyzna „a” przecina sześcian prostopadłe do przekątnej FG... lub coś w tym stylu. Poezja. A gdy wywołuje mnie do odpowiedzi, jestem cała w skowronkach. Lecz nie tylko intelektualne walory tu się liczą.

Ta miłość jest jednak miłością jak najbardziej platoniczną, można powiedzieć, że noszę w sobie zarzewie przyszłego płomienia uczuć, które na razie ogranicza się do starannie ukrywanych westchnień. Jak dotąd nikt nie zauważył niczego podejrzanego w moim wzroku pełnym podziwu dla jego kształtnych pośladków, gdy odwrócony tyłem pisze na tablicy, i zabójczo pięknych oczu, kiedy stoi do klasy twarzą. Na zewnątrz moje uczucie objawia się jedynie wyjątkową pilnością w zakuwaniu matmy. Efekty tych starań są mierne, bo orłem w tej dziedzinie jest Jarek Starski - wybryk natury, facet z dodatkową warstwą szarych komórek; facet, który sprawia wrażenie, że się w ogóle nie uczy, a tylko doskonali w swoich naukowych sukcesach. Status najlepszego osiąga bez najmniejszego wysiłku. Początkowo wierzyłam, że zakuwając, pokonam Jarka. Uczyłam się kilka lekcji do przodu, brałam korepetycje, lecz kicha. Zdołałam jedynie zmniejszyć dystans między nami.

Nawiasem mówiąc, nikomu niczego tak nie zazdroszczę, jak temu wysokiemu, chudemu okularnikowi matematycznego talentu oraz uznania Karskiego, jakim z tego powodu się cieszy

Moją najbliższą przyjaciółką jest Sabina Jurska, ładna blondynka, nieszczęśliwa z powodu, jej zdaniem, grubych ud. Przez długi czas Sabina miała jak najgorsze mniemanie o całym rodzaju męskim.

- Erotuman - cedziła ze zjadliwą ironią, gdy któryś chłopak, nieświadomy niebezpieczeństwa, próbował ją poderwać.

Jedna fobia i jedno uprzedzenie to tyle, co nic przy pozostałych zaletach Sabiny. Na Sabinie można polegać, a jednak nie zwierzyłam się jej ze swej wielkiej, platonicznej miłości. Dzięki temu pozwalałam jej trwać w przekonaniu, że podzielam jej opinię o facetach, a sama mam swoją wielką tajemnicę, która na dodatek chroni moją miłość przed kąśliwym językiem przyjaciółki i pozwala mi bez stresów snuć fantazje na temat nauczyciela. Czyż to nie piękne? Oto ja, współczesna Julia, i oto mój współczesny Romeo, a między nimi... No, mniejsza o szczegóły

Za klasową miss uchodzi Natalka Barska. Ma piękne kasztanowe włosy i świetnie się ubiera. Nie ukrywa, że to zasługa siostry uznanej projektantki mody podbijającej właśnie Rzym.

11

Przeciwieństwem Natalki jest... była właśnie Kamila Rutka - szara, nijaka i cicha. Zimą, lato chodziła w rozłazących się adidasach, dzinsach kiepskiego gatunku, spranych, niemodnych bluzkach i tej okropnej, wiatrem podszytej jupce, gdy robiło się zimno. Odstawała od reszty klasy. Nie bywała na imprezach, z nikim się nie przyjaźniła.

Gwiazdą, męskim numerem jeden w klasie, a może nawet w całej budzie, jest Robert Wolański. Wysoki, barczysty niebieskooki brunet z uroklivym uśmiechem. W Robercie pod-kochują się wszystkie panny i panienki, z wyjątkiem Sabiny i mnie. Różnimy się tylko powodami.

Robert jest doskonale świadomy roztaczanego czaru, ale jest za mądry, by popaść w zarozumiałość, albo przynajmniej okazywać ją z tego powodu. Wręcz przeciwnie, dosmacza swoje zewnętrzne zalety humorem, luzem i kulturą bycia. Lubię Roberta, jest spoko. Ale tylko lubię. Za to Sabiny nie stać nawet na lubienie.

- Trele-morele. Robert to żaden facet, to puchar mocno przechodni w babskiej wolnoamerykance - prychała z pogardą, gdy tylko w jej obecności rozmowa zeszała na jego temat.

Jeżeli, mimo tej opinii, Roberta określić biegunem dodatnim, to jego przeciwieństwem, czyli biegunem jak najbardziej ujemnym jest Przemek Szweda - jeden z tych niby-twardzieli na trzy i pół giga, obracających się poza szkołą w lekko żulo-watym towarzystwie. Pierwsze kłopoty miała klasa właśnie przez niego i wtedy to również po raz pierwszy i ostatni Kamila na forum klasy zabrała głos. Zdarzyło się to w pierwszej klasie, po pierwszej integracyjnej wycieczce zorganizowanej przez Lilię.

Lilia, czyli Lilińska, od początku jest naszą wychowawczynią. Uczy polskiego, a z racji wychowawstwa przytruwa o wiele bardziej niż inni nauczyciele. Zgodnie z teorią darwinow-

12

ską o przystosowaniu gatunków raz-dwa uodporniliśmy się na jej moralizowanie jak pingwiny na mróz. Krótko mówiąc, wiemy, że Lilia dużo gada, ale w zasadzie nikomu nie zaszkodzi. No, chyba że przegniemy, wtedy Lilia wpada w szał, przestaje gadać i robi sprawdzian z ortografii. To jest dopiero coś! Nie ma mądrego, który bezboleśnie przebrnąłby przez te gżeg-żółki gżące się na gżymsach. Deszcz pał spadających po tym na klasę jest dla nas nie tylko zimnym prysznicem, lecz i dzwonkiem alarmowym. Najlepiej posłuchać wtedy instynktu, który radzi - uszy po sobie! I to kurcgalopkiem!

Ale wracam do wycieczki.

Przemek przemyconym alkoholem upił połowę klasy. Sprawa się ryła i wynikła z tego wielka draka! Lilia pokazała prawdziwie lwi pazur: kategorycznie zażądała wskazania prowodyrów całego zajścia. My jednak nabraliśmy wody w usta i milczeliśmy jak śnięte ryby licząc, że sobie pogada, pogada, i wszystko wróci do normy. Niestety, Lilia nie zamierzała odpuścić i o wybryku powiadomiła dyrekcję. Zwołano trzy zebrania rodziców: z samą wychowawczynią, z dyrektorem Baliszką, nazywanym Bazyliszkiem, i z wychowawczynią, dyrektorem i z nami. Na ostatnim zebraniu postawiono ultimatum: albo wydamy tych, którzy rozpijają klasę, albo klasa zostanie rozwiązana.

Trzymaliśmy się solidarnie, chociaż prawdę mówiąc, ta solidarność była monolitem tylko na zewnątrz. W środku aż wrzało od sprzeczności. Trudno wyliczyć, ile wówczas starło się opinii. Najbardziej radykalny Marek Steczek uważał, że sprawca całego zamieszania powinien mieć odwagę, przyznać się do winy i ponieść zasłużoną karę.

- A rzuć ty się w szambo - zaprotestował natychmiast Przemek. - Nie po to wam postawiłem, żeby w ramach podziękowań wylecieć z budy
- Ja na przykład nie piłem, parę innych osób też nie - przypomniał mu Marek.
- Potencjalnie piłeś, bo gdybyś chciał, to nie odmówiłbym ci. Ani tobie, ani nikomu innemu.
- Do licha, musiałeś przynosić wodę akurat na wycieczkę? - jęczał co chwila Paweł Chłopecki. Paweł skorzystał z poczęstunku, po czym dostał napadu czkawki i śmiał się jak głupi do sera. Był drugim po Kindze, na którego Lilia zwróciła uwagę. Może dlatego w jego głosie czuło się więcej żalu niż agresji.
- A gdzie miałem przynieść, na lekcję polskiego? Na tym spędzie bez mojej wódki byłoby tak dennie, że pogrzeb trafia się weselszy Mięczaki.
- Spoko. Jakoś byśmy to przeżyli - powiedział Jarek, który też nie pił.
- Nie dość, że jajogłowy, to jeszcze amator mleka - zadrwił Przemek. Część chłopców uznała to za świetny dowcip i wybuchła śmiechem.
- Nie dość, że żarowa, to jeszcze palant - odciął się Jarek.
- Chcesz w ryja?
- Spadaj na drzewo banany prostować.

W odpowiedzi Przemek pchnął Jarka na tablicę, strącając mu przy tym okulary. W siłowym starciu Jarek był bez szans, lecz wkroczył pomiędzy nich Paweł i do bójki nie doszło. Wtedy głos zabrała Kamila Rutka.

- Zachowajmy spokój. Odpowiedzialność zbiorowa nie jest teraz w modzie.

Policzcie, ilu nauczycieli nas uczy...

- No i co z tego? - wtrącił niezbyt grzecznie Marek.

- Tak zarabiają na życie. Przy obecnym bezrobociu nie zlikwidują klasy. Musimy tylko zaoferować nauczycielom coś, co pozwoli im zakończyć honorowo sprawę i... Koniec zdania przepadł w zgiełku, jaki wtedy powstał. Kamila na czas wycieczki akurat się rozchorowała, więc jedni

14

uważali, że w tej sprawie nie powinna mieć nic do powiedzenia, inni przyjęli jej zdanie jako głos rozsądku - nie broniła przecież swojej skóry ani nie była przymuszana do sypania.

Najbardziej żarliwie poparła Kamilę Kinga Pisarek. To jej najbardziej zaszkodził alkohol, i to ona dała taką plamę, że głowa mała. Nie dość, że rzygała jak kot, że wywineła przed Lilią orła, to później wzięta przez Lilię na spytki, chichotała i plotła takie banialuki, że wszystko się wydało. Mało tego! Kiedy już otrzeźwiała, pobiegła do Lilii i próbowała jej wmówić, że było gorąco, kompot, który miała w termosie sfermentował, ona nieopatrznie z tego termosu się napiła i ten sfermentowany kompot spowodował u niej zaćmienie umysłu i poraził zmysł równowagi. Lilia, rzecz jasna, nie kupiła tego kitu. Poradziła zjadliwie Kindze, aby podciągnęła się z chemii, sama zaś wszczęła szeroko zakrojone śledztwo.

- Moim zdaniem sprawę trzeba załatwić honorowo - Marek uparcie bronił swego. - Kto zawinił, niech sam się przyzna.

- Nie licz na to - zaśmiał się Przemek. - Możesz mnie zakapować. Nie obję ci facjaty. Ani tobie, ani nikomu innemu. Masz moje słowo.

Wyzywająco potoczył po nas wzrokiem. Milczeliśmy. Każdy z nas wiedział, że nie

będzie takiego... dla jednych tchórza, dla drugich bohatera. Poza tym wszyscy prędzej daliby się posiekać i zjeść na surowo, niż narazić na ksywę Kabel. Nawet Marek. Znów klasa pogrążyła się w słownych przepychankach, a nauczyciele konsekwentnie trwali przy swoim. Jednym słowem - pat.

Po kilku dniach Sabina zaproponowała wyjście z impasu przez publiczne wyrażenie skruchy. Była to kontynuacja wcześniejszej sugestii Kamili, ale nikt już tego nie pamiętał. Po raz pierwszy od dłuższego czasu klasa zmobilizowała się i zgodnie zaczęliśmy obmyślać, jak najlepiej zrealizować ten zamysł.

15

Wiadomo, jeśli coś nie wypali, będzie krucho.

Dyskutowali wszyscy z wyjątkiem Kamili. Wtedy jednak nikt nie zwracał na nią uwagi, ani tym bardziej nie był ciekawy jej opinii. Ostatecznie postanowiliśmy zrobić tak: kupiliśmy ogromny bukiet kwiatów i na lekcji wychowawczej Sabina z Przemkiem Szweda w imieniu klasy przeprosili Lilię.

Lilia była zaskoczona, powiedziała, że owszem, kwiaty i przeprosiny przyjmuje, ale to nie wystarczy, gdyż decydujący głos w sprawie klasy zależy i tak od dyrektora. Wtedy kupiliśmy jeszcze większy bukiet i starannie wybraliśmy sześciuosobową delegację, która miała stanąć przed obliczem samego Bazyliszka. W skład delegacji weszła Sabina, Natałka, Kinga, Jarek, Przemek i ja.

Jeżeli dyrektor był zaskoczony naszą delegacją, ukrywał to bez porównania lepiej niż Lilia. Kiedy po kolei wypowiadaliśmy swoje kwestie, siedział z marsową miną, jakby rozważał: „Wysłuchać do końca czy wyrzucić za drzwi?”. Wysłuchał, a potem przez chwilę długą jak wieczność torturował nas ponurym milczeniem. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy wreszcie chrząknął. Znaczyło to, że przemówi.

- Doceniam fakt, że w końcu zrozumieliście niewłaściwość swojego postępowania. Lepiej późno niż wcale. Nie jestem jednak pewny, czy są wśród was osoby które zawiniły ale skoro klasa identyfikuje się z winowajcami, daje do zrozumienia, że godzi się wraz z nimi solidarnie ponosić konsekwencje... Nie wiem, jaką wobec waszej klasy podejmę decyzję. Muszę się poważnie zastanowić.

Wyszliśmy nie wiedząc, na czym stoimy. Znów zaczęły się spekulacje i ruszyła lawina pomysłów, co jeszcze w tej sprawie można zrobić. No i wymyśliliśmy. Napisaliśmy oświadczenia, że aż do matury nie weźmiemy alkoholu do ust. Żeby dokument nabrał stosownej mocy, rodzice własnoręcznym podpisem zobowiązali się, że dopilnują, abyśmy dotrzyмали słowa.

Efekt tych zabiegów był taki, że przestało się mówić o rozwiązaniu klasy, a zaczęto rozmyślać nad stosowną karą. Lilia w pełni podzielała zdanie dyrektora Baliszki, że wina bez kary działa demoralizująco. Tak więc milcząco znosiliśmy spadające na nas sankcje: nie pojechaliśmy na następną wycieczkę, posprzątaaliśmy teren wokół szkoły, na półrocze obniżono nam stopnie ze sprawowania, kończąc tym ostatecznie całą sprawę.

Ta głupia historia miała jednak dobre strony. Klasa po tym przykrym doświadczeniu po prostu zmądrzała. Ci, którzy nie chcieli więcej kłopotów, trzymali się od Przemka z daleka. Ci zaś, którym Przemek imponował, utworzyli z nim paczkę. Twierdzili, że lubią ryzyko, a ten dreszczyk emocji miały powodować papierosy palone ukradkiem w toalecie lub browa-rek wychylany w szatni. Ponoć, zdaniem Przemka, nic tak nie

poprawia smaku piwa, jak prohibicja.

Jak w każdej zbiorowości, tak i w naszej klasie istniały różne sympatie i antypatie. Najściślej przyłgnęli do siebie Romek Sikora - Rombo, i Boguś Olecki - Tolo, a połączyło ich coś, z czego normalny człowiek w naszym wieku powinien wyrosnąć, czyli zamiłowanie do głupich kawałów.

Rombo to taki mały cyniczny dupek, który przy każdej okazji twierdzi, że cięty dowcip jest najlepszym wykładnikiem inteligencji i wyłazi ze skóry, aby dowieść, jaki to z niego intelektualny gigant.

- Facet, twój wykładnik jest ułamkowy. Miałbyś szansę zostać ozdobą Antymensy, gdyby taka istniała - powtarzał mu Jarek po każdym głupim dowcipie. W końcu dał sobie spokój, bo do Romba nic nie docierało.

Tolo jest najgorszą odmianą kawalarza. Im głupszy kawał, tym większa uciecha.

Jeżeli któregoś dnia miało się plecak

przywiązany sznurkiem do krzesła, zawiniętą w papier dachówkę zamiast drugiego śniadania, w zeszyte zakładkę z prezerwatywy albo przypiętą do pleców kartkę z napisem: Szukam żony jak szalony, z całą pewnością palce w tym maczał Tolo.

Kiedy brakowało im „lepszych” pomysłów, zabawiali się rzucaniem w Kamilę papierowymi kulkami. Dziewczyna nie reagowała, licząc pewnie, że się wreszcie znudzą tą zabawą. Ale się nie znudzili, tak jak barowym graczom nie nudzi się tarcza do rzutek.

Rombo z Tolem w duecie stanowili mieszankę piorunującą. Rzecz godna lepszego pióra niż moje.

Między tymi, co bardziej wyróżniającymi się osobami, funkcjonowała mniej wyrazista reszta. Zwyczajni i przewidywalni. Tak mi się wydawało, dopóki nie przekonałam się, że to tylko pozory. Ale nie będę rozwlekać tematu. Przecież klasa to tylko tło, scenografia umożliwiająca odtworzenie sztuki pod tytułem Kamila według scenariusza zapisanego w mojej pamięci.

Dziwna wizyta

Po jakimś czasie, na początku grudnia, późnym wieczorem, Kamila przyszła do mnie do domu. Już w progu dostrzegłam podpuchniętą, krwawą pręgę biegnącą od brwi nad lewym okiem poprzez policzek aż do brody.

- Cześć, prędzej bym się Lilii spodziewała niż ciebie. Wejdz. Wsunęła się do przedpokoju, pochylając nisko głowę, aby ukryć twarz. Taktownie niczego nie zauważyłam.

- Mam do ciebie prośbę - wydukała nieśmiało.

- Chodź do mojego pokoju. - Pociągnęłam ją za sobą.

- Przepraszam za kłopot...

- Daj spokój. O co chodzi?

- Twoja mama jest lekarzem, prawda?

- Tak, ale teraz jest w szpitalu na dyżurze.

- Wiesz, spadłam ze schodów. Nie zapaliłam światła i potknęłam się o własne nogi... Czy twoja mama mogłaby załatwić mi tydzień zwolnienia? Rozumiesz... kiedyś się odwdzięczę, ale na razie...

- Co ty bajdurzysz? O żadnym odwdzięczeniu nie ma mowy. Pogadam z nią.

- Ale wymyśl coś sensownego.

- Nie ma problemu. Powiem, że cierpisz na typowo babskie dolegliwości i wstydzisz się o tym mówić. Mama zrozumie. Jest tylko jeden warunek, musisz zarejestrować się na wizytę.

- Bez tego się nie da?

- Nie. Zwolnienia lekarskie są drukami ścisłego zarachowania, nie można ich wystawiać bez kart chorobowych.

- Aha. No to nic z tego. Jestem zdrowa. Nie mam nawet tych babskich dolegliwości.

- Pójdę z tobą. Bądź jutro o trzynastej w przychodni na Hetmańskiej przy okienku rejestracji. Do internisty Będzie dobrze, zobaczysz. Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. Już jest późno, muszę wracać.

- Nie ma sprawy

Wiedziałam, że ten upadek ze schodów to bujda, ale odpuściłam sobie dociekanie, co się naprawdę stało, by nie zgrzeszyć wścibstwem. Wścibstwo jest paskudną wadą, więc nie należy z nikogo siłą wyciągać zwierzeń. Niejako symetrycznie, na przeciwległym biegunie systemu wartości leży grzech zaniechania, czyli brak reakcji na cudze cierpienie - równie paskudna znieczulica.

19

Tamtego wieczoru opuścił mnie rozum. Nie uczyniłam żadnego intelektualnego wysiłku, aby rozważyć, gdzie w tym przypadku przebiega granica pomiędzy wścibstwem a obojętnością. Na próżno próbuję się przekonać, że tam, gdzie chodzi o sprawę uznaniową, łatwo o pomyłkę. Dzisiaj, po tym, co zrobiła Kamila, moje sumienie niczym surowy spowiednik nie zamierza udzielić mi rozgrzeszenia. Gorzej, bezlitośnie wytyka karygodny tumiwisizm, bo przecież wtedy w moim eleganckim domu, te jej rozłazące się buty te sprane, zszarzałe ciuchy i ta okropna, kraciasta jupka wręcz raziły niedostatkiem. W naszej budzie nie brakowało garderobianych dziwactw, różnych wiązanych ekstrawagancko szalików, porozciąganych swetrów, postrzępionych nogawek, koszul wystających niedbale spod kurtek, jednak ubiory Kamili nie były ekstrawaganckie. No i ta jej rozkwaszona twarz, to żalosne kulenie się w sobie, ten uciekający wzrok... Wszystko to razem wołało o ratunek, a ja, głupia torba, zamiast objąć, wysłuchać, pocieszyć, pomóc... zostawiłam ją samą sobie w imię jakiegoś durnowatego bon tonu, który tak naprawdę mniej elegancko oznaczał „olewam cię”. Zbliżały się święta, spadło dużo śniegu, na najbliższy weekend wybierałam się z rodzicami do Szczyrku na narty, miała z nami jechać Sabina... Świat wydawał się taki piękny, nie chciałam sobie psuć humoru cudzymi problemami. Moją ulubioną książką w dzieciństwie był Mały Książę de Saint-Exupéry'ego. Do dziś pamiętam, jak poruszyły mnie słowa lisa, że dobrze widzi się tylko sercem. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu. Płakałam nad losem Małej Syrenki, Dziewczynki z zapalkami, Nemecka i wielu innych fikcyjnych postaci, co pozwoliło mniemać mnie i moim bliskim, że jestem osobą wyjątkowej wrażliwości. Tymczasem w życiu realnym moje serce nie dostrzegało nawet tego, co kłuło w oczy I gdyby Kamila nie umarła, nawet nie wiedziałabym, że jestem taką cholerną hipokrytką. Ale wracam do zasadniczego wątku.

Nazajutrz poszłam z Kamilą do gabinetu mamy Mama zwolnienie załatwiła, ale przy sposobności skierowała ją na konsultację do neurologa i do ambulatorium na badanie krwi. Podejrzewała wstrząśnienie mózgu i anemię, ale polecana przeze mnie

pacjentka nie pojawiła się więcej w przychodni.

Po tym wydarzeniu Kamila niemal na rok odsunęła się w cień. Żyła sobie na obrzeżach klasowego nurtu wydarzeń prawie niezauważalna. Nawet na zdjęciu, które zrobił całej klasie na zakończenie roku Jarek, stoi z boku, patrząc w podłogę. Tak niby razem, a jednak oddzielnie. Dopiero dzisiaj zwróciłam na to uwagę.

Robert rzuca propozycję

W drugiej klasie gdzieś na początku grudnia Robert Wo-lański rzucił hasło: „Robimy składkową imprezę sylwestrową”. Znajomy jego rodziców w niedalekim Zabierowie, letniskowej wsi, ma gospodarstwo turystyczne z dość obszerną stołówką, którą chętnie wynajmie. Musielibyśmy jednak udekorować salę, załatwić we własnym zakresie sprzęt grający i kupić napoje. Gospodarze gwarantowali resztę. Można było dokoptować własne towarzystwo.

Gdyby taka propozycja padła od kogoś innego, to zainteresowałyby niewiele osób. Ale Robert to Robert. Na początku zgłosili się wszyscy z wyjątkiem Romba i Tola. Mieli inne plany. Uff, odetchnęliśmy z ulgą. Na taką okazję jak sylwester z pewnością przygotowaliby jakiś ekstrawyglup.

Pierwszy zrezygnował Przemek Szweda ze swoją grupą. Nie odpowiadał mu program imprezy oraz informacja, że z alkoholu będzie tylko szampan.

- Szampan to kocie siki, żaden alkohol.

- Obecność nie jest obowiązkowa - skwitował Robert.

- Mam zaproszenie na taką imprezkę, że czacha dymi. Będzie ostra jazda i w ogóle, nie, Dżambo?

- Się rozumie - odparł Dżambo, czyli Artur Stonga.

Po kilku dniach wycofała się Ewka Skorek, Patrycja Kwiatowska, później jeszcze Kaśka Słowik. Ewce wypadło jakieś wesele, Patrycji rodzice sami coś zorganizowali, natomiast Kaśkę zmusił do rezygnacji Jarek.

Potrzeba było roku, żeby poznać się na Kaśce. Ta ładniutka, cała w milutkich uśmiechach platynowa blondynka, łatwo zdobywająca sympatię, jest modelowym przykładem koniunkturalnej przyjaciółki. Wielka amatorka darmochoy Kocha sępić. Zawsze pierwsza rzuca hasło: Idziemy na kawę, lody czy inne co nieco, po czym znika jak kamfora, zanim pojawi się kelner z rachunkiem. Jarek nazywa ją z ironią Grabianką - wszystko zgarnia do siebie. Niestety to tylko jedna z wad. Kaśka z usposobienia przypomina chorągiewkę na dachu. Zawsze przyklepia się do silniejszych, bogatszych i okolicznościowo do tych, którzy z jakiegoś powodu akurat stawiają. Osoby niezakwalifikowane do żadnej z wymienionych kategorii uważa za cieniasów i jawnie okazuje im pogardę.

Od pierwszego dnia pierwszej klasy jej dyżurnym cieniem była właśnie Kamila. A było to tak. Gdy Kamila weszła do klasy część miejsc była już zajęta. Uśmiechając się nieśmiało, podeszła do Kaśki siedzącej samotnie w ławce z pytaniem, czy może się dosiąść.

- Chyba żartujesz - odpowiedziała opryskliwie Kaśka, zrobiła ten swój charakterystyczny obrażony ryjek i obróciła się plecami na znak, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę.

Zmieszana w najwyższym stopniu Kamila bąknęła cicho „przepraszam”, stanęła pod ścianą i czekała, aż wszyscy po-zajmują miejsca. W końcu dosiadła się do Patrycji

Kwiatow-skiej.

Nastawiona na sępienie Kaśka szybko traciła przyjaciół. Poza tym coraz mniej było frajerów, o czym miała się wkrótce przekonać na własnej skórze.

Zbieranie pieniędzy jak zawsze, powierzono Sabinie, która pełniła funkcję klasowego skarbnika. Kaśka zgłosiła się jako pierwsza.

- Wpisz mnie na listę - zaszcebiotała jak prawdziwy słowik.

- To kosztuje pięć dych - odpowiedziała spokojnie Sabina.

- Jutro przyniosę.

- Więc jutro cię wpiszę.

- Nie wierzysz mi? - Kaśka wyglądała jak uosobienie wszelkich cnót.

- Pogubię się, jeśli będę od jednych brać forszę, od innych nie, a wszystkich wpisywać. Zapłacisz i po sprawie.

- To załóż za mnie - zaproponowała.

Był to jej mocno zgrany argument. Blisko połowa klasy już za nią zakładała i nie przypominam sobie, aby komukolwiek zwróciła dług bez wielkiej awantury

- Nie mam - odmówiła Sabina, a po chwili wahania dodała: - Nawet gdybym miała, to nic z tego.

-Ależ dlaczego?

- Twój uśmiech jako waluta wymienna mnie nie interesuje. Kaśka nie załapała aluzji Sabiny Zwróciła się do mnie. -Aty?

- Jeszcze mi nie oddałaś za encyklopedię, którą pożyczyłaś i zgubiłaś - wypomniałam, korzystając z okazji.

Wtem, chyba w napadzie ciężkiego zaćmienia umysłu, zwróciła się do przechodzącego obok Tola.

23

- O, widzę, że wreszcie ktoś, na kim można polegać. Pożycz pięć dych.

Gorzej nie mogła trafić, bo Tolo, jak to Tolo, natychmiast puścił w ruch swój cięty język.

- W życiu! Nie dałbym ci nawet długopisu do potrzymania. -Dlaczego?

- Bo tusz z wkładu wypijesz.

Mało kiedy złośliwość Tola tak wszystkich rozbawiła.

Aż do ostatniej przerwy Kaśka nadaremnie szukała kogoś, kto dałby się nabrać.

Następnego dnia przyszła z nowym pomysłem.

- Wiesz, dam zaliczkę, a resztę dopłacę w innym terminie.

- Odpada - odparła krótko Sabina.

Jestem pewna, że komuś innemu Sabina poszłaby na rękę. Kaśka widząc, że znikąd nie uzyska „wsparcia”, wysupłała wreszcie całą kwotę, ale tu czekała na nią przykra niespodzianka. Zaczęło się niewinnie. Kaśka stała przed naszą ławką, a Sabina powoli wyjmowała rejestr.

- Pięćdziesiąt złotych? - upewniła się Kaśka.

- Dokładnie - przytaknęła jej Sabina.

Kaśka położyła pieniądze na blacie i w tym momencie jak spod ziemi wyrósł Jarek.

-O! Widzę, że jesteś przy kasie! -zawołał i zwinął forszę do własnej kieszeni.

- Ej! Co to za wyglupy?! - oburzyła się Kaśka.

- Żadne wyglupy Byłaś mi winna. Zapomniałaś?

- Te pieniądze przeznaczyłam na sylwestra!

- Najpierw spłać długi, potem się baw.

Kaśkę ze złości zapowietrzyło, Sabina tymczasem wymownym gestem wyraziła coś w rodzaju ubolewania i ostentacyjnie zamknęła rejestr.

- To świństwo - Kaśka odzyskawszy głos, szukała wzro-

kiem kogoś, kto stanąłby po jej stronie, ale jakoś nikt się do tego nie kwapił.

- Nie łam się, jutro też zbieram - pocieszyła ją Sabina.

- Dobrze wiedzieć - wtrąciła ze złośliwym uśmiechem Kinga, od której Kaśka odkupiła nowy sweter i swoim zwyczajem „zapomniała” zapłacić. Od tego dnia przy naszej ławce trzymało dyżur kilku wierzycieli Kaśki, stawiając ją przed bolesnym wyborem: albo ureguluje długi i dostanie się na listę, albo... Górę wzięło skąpstwo.

Chcę dobrze

Kamila też nie była przy forsie, ale w odróżnieniu od Kaśki, trzymała się z daleka od Sabiny. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zagadnąć ją na temat sylwestra.

- Idziesz, prawda?

- No... Tak... Oczywiście. Do kiedy można wpłacać pieniądze? - spytała zmieszana.

- Nie wiem, ale masz jeszcze sporo czasu. Więc będziesz na imprezie?

- Oczywiście.

- Guzik, zachoruje - szepnęła mi do ucha Sabina, gdy tylko Kamila zdążyła się oddalić.

-Skąd wiesz?

- Jeszcze nie zauważyłaś? Ona zawsze jest chętna, ale też zawsze w ostatniej chwili dopada ją choroba. Przedziwny zbieg okoliczności.

Rzeczywiście tak było. Kamila, podobnie jak Patrycja Kwiatowska, nie chodziła z nami nigdzie, ani na kawę, ani na lody ani do kina, ani do teatru, ani nawet na dyskoteki, i klasa już dawno zdążyła przejść nad tym do porządku dziennego. Jak mawiano, każdy miał swoje gusty i guściki.

25

Z jakiegoś powodu odbiło mi. Odczekałam parę dni i z własnego kieszonkowego zapłaciłam za nią wpisowe. Z rozbawieniem obserwowałam, jak trzyma się z boku, unika mnie w nadziei, że zapomnę o rozmowie na temat sylwestra, i w ostatniej chwili zdąży „zachorować”. W ten sposób minął ostateczny termin zapisów, Sabina nieodwołalnie zamknęła listę uczestników. Wtedy podeszłam do Kamili i powiedziałam od niechcienia:

- Wiesz, założyłam za ciebie forszę. - Zbladła, jakby usłyszała coś przerażającego. - Przecież mówiłaś, że idziesz.

-No tak, ale...

- Nie jesteś przy kasie? Nie martw się. Nie pili mnie.

Swoją własną wspaniałomyślnością wprawiłam się w doskonały humor, jednakże wieczorem ogarnęły mnie wątpliwości. „Jeżeli rodzina Kamili jest w złej sytuacji finansowej, a jest to wielce prawdopodobne, wpłatałam ją w nie lada kłopoty” - pomyślałam, leżąc w łóżku. Zaraz też pojawiła się złość na samą siebie.

Uszczęśliwianie kogokolwiek na siłę z definicji świadczy o głupocie i nie ma tutaj wytłumaczenia, że chciało się dobrze. „Powinnam z tego jakoś wybrnąć, ale jak? Najprościej - zasponsorować imprezę! Lecz Kamila, to nie Kaśka Słowik. Pomoc

może potraktować jak upokarzającą jałmużnę. Ta opcja odpada. A gdyby tak podrzucać jej do kieszeni drobne pieniądze, aby w czterech, pięciu ratach uzbierała potrzebną kwotę?"

Nocą pomysły wydawały mi się genialny jednak gdy się przespałam, zważyłam w swój geniusz. Kamila była zbyt inteligentna, by nie połączyć się w tych gierkach. Następnego wieczoru postanowiłam poprosić o pomoc tatę, który jako prawnik jest człowiekiem zawodowo przygotowanym do rozwiązywania problemów.

Tata wysłuchawszy mnie, powiedział:

- Jedyną formę pomocy jaką możesz jej zaproponować, jest praca. Mam nawet konkretną propozycję. Niech zlikwiduje moją starą kancelarię. Zajmie jej to dwa popołudnia, a zarobi sto złotych.

- A jeżeli ta propozycja ją obrazi?

- Cóż w niej obraźliwego? - zdziwił się, a po krótkim namyśle dodał: - Jeżeli jednak poczuje się obrażona, nie jest warta twojego zachodu.

Kiedy tata zaczynał prywatną praktykę adwokacką, na biuro przeznaczył dwa pokoje na parterze w bocznym skrzydle naszego domu. Trzy lata temu otworzył nową kancelarię w centrum miasta, jednak niektórzy klienci z przyzwyczajenia ciągle przychodzili pod stary adres, dlatego przez jakiś czas oba biura funkcjonowały jednocześnie. Później biuro w domu zostało definitywnie zamknięte, ale ciągle nie było ani czasu, ani też pilnej potrzeby jego ostatecznej likwidacji. Wciąż stały tam biurka, fotele, szafy pełne teczek, maszyna do pisania, niszczarka do papierów i różne inne biurowe rupietki. W przyszłym roku, na czas wakacji, miała do nas przyjechać zaprzyjaźniona rodzina z Holandii. Rodzice zamierzali urządzić i oddać im do dyspozycji właśnie te pokoje. Do lipca było jeszcze daleko, ale najprawdopodobniej tata uznał, że nic nie zaszkodzi, jeżeli sprawę załatwi się wcześniej, a przy sposobności rozwiąże kilka problemów.

Następnego dnia podeszłam do Kamili i spytałam, czy chciałyby mi pomóc zrobić porządek w papierach ojca.

- Oczywiście - zgodziła się bez namysłu.

- Pomoc jest płatna.

- Nie chcę pieniędzy. Dla ciebie tylko gratis.

- Wykluczone - zaprotestowałam. - Dorabiam w ten sposób do kieszonkowego i nie pozwolę psuć sobie koniunktury. Stawka jest dawno ustalona, więc albo weźmiesz forszę, albo poszukam kogoś innego.

27

- Wezmę, skoro stawiasz taki warunek.

Kamila przyszła jeszcze tego samego popołudnia. Pani Agnieszka, asystentka taty, pokazała nam, które dokumenty zniszczyć, a które zarchiwizować. Wytłumaczyła, jak układać dokumentację przeznaczoną do archiwum według sygnatur, jak opisywać i oklejać pudła. Wychodząc, zostawiła swoją wizytówkę, abyśmy w razie jakichkolwiek niejasności dzwonili do niej na komórkę.

- Nie sądziłam, że to będzie takie proste - ucieszyła się Kamila i z wielkim zapałem przystąpiła do pracy - Masz fajnie, że w taki prosty sposób możesz zarabiać.

- Jasne, tata liczy, że przy sposobności złapię jakiegoś kodeksowego bakcyła - skłamałam gładko, bo było niemożliwe, aby ktokolwiek wierzył, że można nabrać

zamiłowania do prawa, przekładając sterty papierzysek.

- Zgodnie z zasadą, że nawet milioner powinien zaczynać jako pucybut?

- Pewnie tak - przytaknęłam, chociaż byłam zdania, że pucybut jest pucybutem wyłącznie ze smutnej konieczności. Chwali się dochodzenie do wielkiego bogactwa od nędznego pudełka z pastą i szczotką, ale lepiej jest zaczynać z wyższego pułapu. Do tego trzeba było jednak mieć zaplecze w postaci odpowiedniej rodziny Czy Kamila miała? Wątpliwe.

W domu powieszzonego nie rozmawia się o sznurze, ucięłam więc dyskusję, żeby rozmowa nie zeszła na temat biedy. Dzisiaj pewnie powiedziałabym coś w stylu: „Nie jest ważne, gdzie się zaczyna, ważna jest wytrwałość w dążeniu do celu”. Ale to byłoby dzisiaj, wówczas nie dość, że zaczęłam trajlo-wać o głupstwach, których nawet nie pamiętam, to pomagałam jej raptem pół godziny. Przepuściłam przez niszczarkę kilkadziesiąt kartek, pobawiłam się pociętym na drobno papierem, po czym przypomniałam sobie o spotkaniu z Sabiną i zostawiłam Kamilę samą. Kiedy wróciłam po trzech godzinach, ciągle pracowała. Nie dała się nawet poczęstować herbatą i ciasteczkami, co nasza gosposia potraktowała jako wielkie dziwactwo.

- Obraziłaś ciocię Wandzię - powiedziałam Kamili konspiracyjnym szeptem.

- Ja? - zrobiła wielkie, przestraszone oczy.

- Oczywiście. Ciocia Wandzia jest dumna ze swoich wypieków i każdy kto ich nie docenia, ma u niej wielką krechę. Radzę ci, nie zadzieraj z nią, bo to ważna osobistość w naszym domu - mówiąc to, mało co przesadziłam.

- Ojej! Powinam ją przeprosić?

- Wystarczy, że naprawisz błąd i będziesz wcinać wszystko, co ci podsunie.

Za oknem zapadł wczesny zimowy mrok, prószył śnieg, a my przy herbacie i pierniczkach siedziałyśmy sobie w moim pokoju. Było ciepło i przytulnie. Chciałam z nią tak pogawędzić, jak zazwyczaj z Sabiną, lecz rozmowa się nie kleiła. Zero wymiany zdań. Mówiłam tylko ja. Kamila zaciskając charakterystycznie kciuki w piąstkach, milczała, odpowiadała jedynie krótko na wyraźnie zadane pytania. Wołała słuchać. Słuchała uważnie, chociaż jej wzrok wciąż błędził gdzieś poza mną. Zamknęłam oczy, żeby odtworzyć ten wieczór, przyjrzeć mu się jeszcze raz oczami mnie dzisiejszej. Nie jest to wcale takie łatwe. Zdażyłam już przywyknąć do roli obiektu starań. Moje dobre samopoczucie jest wartością samą w sobie, stąd wszystko, co dla mnie, musi mieć odpowiednią jakość. Mój pomyślny rozwój zabezpieczany jest wielopłaszczyznowo, by w ślad za dobrym zdrowiem podążało wykształcenie, uwrażliwienie, obycie, poczucie bezpieczeństwa, estetyki i własnej wartości. Ponoć już jestem bardzo mądra, a miałam wyrosnąć na jeszcze mądrzejszą. Typowy syndrom jedyneków. Ponad-

29

to, według babci, dewiza naszej rodziny od pokoleń brzmiała: „Zdobывaj to, czego nikt za ciebie nie zdobędzie nawet za największe pieniądze”. Co to oznaczało w praktyce? Proste - należy posiadać wiedzę i kindersztubę. Reszta jest do kupienia. Tata przy lada okazji mawiał: „Nikt za ciebie nie przeczyta książki Prousta, nie zachwyci się malarstwem Gauguina, nie zwiedzi Pompejów, nie zdobędzie dyplomu... Do gotowania, prania, sprzątnięcia kogoś sobie najmiesz, jeśli tylko będziesz odpowiednio

dużo zarabiać".

Komfort dążenia do celu zapewniał mi, między innymi, mój pokój - śliczny, pastelowy i wygodny. Lubiłam swoje miękkie, szerokie fotele, w których siadałyśmy z Sabiną po turec-ku, i kanapę z narzutą z wielbłądziej wełny, wręcz doskonałą do czytania w pozycji leżącej. Ciocia Wandzia dbała, aby wszystko tu lśniło i pachniało czystością.

Dzisiaj mam podstawy sądzić, że nikt nawet w części tak nie dbał o Kamilę. Brakowało jej luzu. Siedziała na fotelu jakby się bała, że zaraz ktoś wejdzie i ją z niego przepędzi. Po pierniczki sięgała tylko wtedy gdy ją do tego zachęciłam. Z tymi jej zdawkowymi odpowiedziami też do końca nie jest tak, jak wcześniej skomentowałam. To nie ona zdawkowo odpowiadała, tylko ja zadawałam pytania wymuszające zdawkowe odpowiedzi. Nie byłam dla niej serdeczna. Zamiast powiedzieć: „Kamilko, lubię cię taką, jaką jesteś, możesz zawsze na mnie liczyć”, albo coś w tym guście, byłam obrzydliwie uprzejmie protekcyjna i infantylna. Nawet jej niepewność i bladość skojarzyłam z melancholią modnych pańienek z czasów Norwida, które piły ocet, cierpiały na suchoty i były permanentnie nieszczęśliwie zakochane, i to wydawało mi się niezwykle poetyczne. Boże, gdzie ja wtedy miałam oczy?! Pomyślałam o dawno nieżyjącym poecie zamiast o podejrzeniu mamy, że Kamila cierpi na anemię. Nie próbowałam dociec, co dręczyło Kamilę, a musiało dręczyć, skoro się nie uśmiechała. Należałyśmy do innych światów. Inwentaryzacja moich błędów wypada fatalnie.

Kamila w ciągu dwóch dni uwinęła się z pracą i z zarobionych pieniędzy natychmiast zwróciła mi dług.

Zabawa w dobre wróżki

Tymczasem klasa żyła sylwestrem. Pierwszy problem to obowiązujące stroje - gala czy pełny luz. Natalka była zdziwiona, że ktokolwiek chce się nad tym zastanawiać.

- Oczywiście, że gala, na dodatek z kreacjami z najwyższej półki. Przecież to sylwester - powiedziała.

- Jesteśmy młodzi, więc bawmy się jak młodzi, czyli na luzie - Dorota Wyka zaproponowała krańcowo przeciwną opcję, ale prawdopodobnie bardziej dla zasady żeby mieć inne zdanie niż Natalka, aniżeli z zamiłowaniem do luzackiej garderoby - Łatane dzinsy flanelowa koszula lub co tam kto ma.

- Sylwester to jedyna okazja w roku, żeby błysnąć, więc błysnę albo poszukam sobie innej imprezy - zagroziła Sylwia.

- Wypnijcie się na te wszystkie lamy tiule i brokaty To dobre dla październików! Będziecie na nie miały czas po trzydziestce! Teraz, aby się bawić, potrzebujemy tylko dobrej muzyki - broniła swojego zdania Dorota.

- Sylwester powinien czymś się odróżniać od zwykłych dyskotek, lecz przecież nie każdego stać na coś wyjątkowego - próbowała pogodzić strony Kinga Pisarek.

Nadaremnie.

Przepychanom nie było końca. Do rozmów włączyli się chłopcy, którzy zaczęli błaznować, proponując dziewczętom obowiązkowe dekolty po pępek albo tiulowe sukienki, sobie

krawaty tylko w kieszeniach lub nawet dla wszystkich stroje ekologiczne, czyli na golasa.

Kiedy już wydawało się, że sylwester na długo przed terminem bezpowrotnie ugrzęźnie w jałowych sporach, Robert jak nożem uciął wszystkie dyskusje.

- Niech decyduje ślepy los, losujemy - zaproponował i sam wystąpił w charakterze „sierotki”.

Szczyście dopisało zwolennikom elegancji. Być może gdyby Robert wtedy wyciągnął drugi los, życie Kamili potoczyłoby się inaczej. Ale stało się.

Jeżeli o mnie chodzi, odpowiadał mi ten wybór. Od początku byłam za elegancją.

Moja mama, która jest wyjątkowo zgrabna i szykowna, zawsze powtarzała, że gdyby kobiety przestały się upiększać, gospodarce światowej zagroziłby kryzys. Miliony a może nawet miliardy ludzi zarabia na chleb przy produkcji artykułów służących jedynie upiększaniu. Malując szminką usta, lakierując paznokcie, zakładając na szyję wisior, na nadgarstek bransoletkę czy na palec pierścionek, nakręcamy gospodarczą koniunkturę. Mało kto o tym myśli, robiąc makijaż czy manicure, ale ja, tak jak mama, mam tego świadomość i chętnie, bez oporów kupuję ładne rzeczy. Cieszyłam się, że będę miała okazję coś nowego sobie sprawić.

Przyszła czas na prozę życia - sprawy organizacyjne: zakupy dekoracja i nagłośnienie sali, dobór muzyki, transport i Bóg wie co jeszcze.

Sabina, którą Jarek nazywał synchronizatorem poziomym i pionowym, była w swoim żywiole. Z zimną krwią generała na polu bitwy dyrygowała nami, rozdzielając zadania, a dobrze wiedziała, czego od kogo można wymagać. Na przykład mnie i Kindze poleciła zakup baloników, lampek, karbowanego papieru, serpentyn, konfetti - jednym słowem tego wszystkiego, bez czego karnawał nie byłby karnawałem. Tanio!

Biegałyśmy po sklepach jak oszalałe. Wszystko wydaje się proste, gdy przychodzi się do wystrojonego lokalu. Tu wisi to, tam wisi tamto, nikt nie zaprzęta sobie głowy pytaniem, kto i jak to powiesił. Gorzej, gdy samemu przyjdzie coś zrobić. Zakupy to niby taka prosta rzecz, ale skąd mamy wiedzieć, czy do dekoracji sali wystarczy dziesięć balonów, czy może trzeba ich sześćdziesiąt? Ile kupić lampek? Dziesięć metrów? Dwadzieścia? Czy czterdzieści? Mrugające czy nie? Standardowe czy w kształcie perłowych kulek, sopli, bałwanków, świec, mikołajków, serduszek, baniek mydlanych, kwiatków, aniołków, a może gwiazdek? Ile karbowanej bibuły, a ile serpentyn? Bardziej opłaca się wziąć więcej tańszego i brzydszego czy mniej droższego i ładniejszego? Zakupy tak obwarowane warunkami to żadna przyjemność - ukułam złotą myśl przy stoisku z lampionami. Wreszcie udało nam się uporać ze wszystkim, chociaż do końcowego rachunku musiałyśmy dopłacić po trzy złote z własnych kieszeni.

Jakie zadanie dostała wtedy Kamila? Cięła bibułkę? Wycinała gwiazdki? Nie pamiętam.

* * *

Dzień przed sylwestrem Sabina, Jarek, Piotrek i Robert pojechali do Zabierowa podopinać wszystko na ostatni guzik. Reszta uwolniona od obowiązków mogła się zająć wyłącznie sobą, czyli tą przyjemniejszą stroną przygotowań. Sporo tego. Najpierw bieganie po sklepach za odpowiednią kreacją, przymierzanie dziesiątek sukien, bluzek, spodni, butów, przeglądanie się w dziesiątkach luster, zanim wreszcie trafi się na coś z przekonaniem, że to jest właśnie to, czego się szukało. Problem

polega jednak na tym, że nie wiadomo, czego się szuka,

33

zanim się tego nie znajdzie. Wybrałam brokatową małą czarną ze wzorem z czarnych, połyskliwych nitek i lakierki na szpilce. Potem, chociaż włosy mam proste, a cerę normalną, jeszcze fryzjer i kosmetyczka.

Już w okresie gimnazjum rodzice dawali mi dużo swobody, ale była to swoboda kontrolowana. Na każdą imprezę, nawet tak niewinną jak imieniny koleżanki, tata odwoził mnie samochodem pod same drzwi, a potem zjawiał się o umówionej godzinie, żeby odstawić z powrotem do domu. Tak miało być i tym razem. Zabierała się ze mną Kinga i Dorota, pozostało jeszcze jedno wolne miejsce, więc zaproponowałam je właśnie Kamili. Ucieszyła się.

- Podaj adres, pojedziemy pod dom.

- Do mnie jest trudno trafić - powiedziała, uśmiechając się przepraszająco. - Przyjdę do ciebie.

- Nie ma sprawy, ale dzień wcześniej przynieś swoje rzeczy. Trzeba wszystko tak popakować, aby się nie pogniotło. U nas specjalistką od artystycznego pakowania jest ciocia Wandzia. Robi to doskonale, jednak pod warunkiem, że ma na to odpowiednio dużo czasu. Nic na łapu-capu.

Dotyczyło to również rzecz jasna Kingi i Doroty. Wszystkie trzy zgodnie z umową, przyniosły swoje kreacje w wieczór poprzedzający wyjazd. Jednakże Kinga i Dorota zostały jeszcze dwie godziny na pogaduszki, zaś Kamila tylko podała przez próg wypchaną reklamówkę. Ponoć gdzieś się spieszyła.

Oglądając nawzajem swoje sukienki, wśród głośnych ochów i achów oddawaliśmy je cioci Wandzi do pakowania. Dorota sprawiła sobie suknię z bordowego weluru, na ramiączkach, z rozcięciem z boku, Kinga grafitową z połyskliwego atlasu, też na ramiączkach, ale z rozcięciem z tyłu. Każda buty na wysokich obcasach.

Kiedy przyszła kolej na rzeczy Kamili, aż nam się zrobiło głupio. Jej „kreacja” składała się z więcej niż skromnej granatowej spódnicy, białego, nicianego sweterka i letnich sandałów.

- Biedna ta wasza koleżanka - powiedziała ze współczuciem ciocia Wandzia. - W taką noc nie będzie się dobrze czuła wśród takich elegantek jak wy

- Nie tylko w taką noc, zawsze odstaje od reszty. Ona nie ma żadnego stylu, chodzi po prostu źle ubrana - wyjaśniła cioci Kinga.

- Jednym słowem: Kopciuszek.

- Nie da się ukryć.

- Kopciuszek dostał swoją szansę.

- W bajce - rzuciła cierpko Dorota. - Zresztą w tym, co ma, też się może świetnie bawić. Gdyby Robert nie wylosował wersalu, też bym przyszła w wygodnych ciuchach i wydeptanych butach. Grunt to wygoda.

- Jesteś za młoda, żeby wiedzieć, że jak cię widzą, tak cię piszą - powiedziała ciocia.

- Być może, ale ja nie dbam o to.

Ciocia Wandzia pomyślała chwilę, po czym rozłożyła na stole rzeczy Kamili, przyniosła metr krawiecki i dokładnie je obmierzyła.

- Chcesz jej coś uszyć na poczekaniu? - zażartowałam.

- Zabawimy się w dobre wróżki. Z pewnością w waszych szafach znajdziecie coś, co

będzie można pożyczyć koleżance.

Doznałyśmy nagłego przyływu wspaniałomyślności. Zaczęłyśmy się nawzajem mierzyć, lecz niestety. Wyszło, iż Kamila jest szczuplejsza od Kingi, niższa od Doroty i ma mniejszy biust ode mnie. No i drobniejsze stopy od każdej z nas. Kicha. Ciocia Wandzia wyszła i po chwili wróciła z zielono-czar-ną taftową sukienką mamy. Mama dwa lata wcześniej kupiła ją w Paryżu na ślub babci z panem Józefem, emerytowanym pułkownikiem.

- Przepiękna sukienka, przepiękna. Mama już w niej nie chodzi, z pewnością pozwoli, żeby posłużyła komuś innemu. Wasza koleżanka będzie w niej wyglądała jak prawdziwa dama. I będzie pasować! Co za szczęście, jakby szyta na miarę! - cieszyła się, obracając sukienkę we wszystkie strony.

Suknia w stylu glamour, owszem, była szykowna i elegancka dla kobiety w mamy wieku, ale nie dla siedemnastoletniej dziewczyny. W każdym razie, ja bym się w nią nie ubrała, chociażby leżała na mnie jak ulał. Jednak na bezrybiu i rak ryba.

Na buty postanowiłyśmy zrobić zrzutkę. Mniej więcej po dysze. Z sandałem Kamili jako miarką ruszyłyśmy w miasto na poszukiwanie. Obeszłyśmy wszystkie sklepy z obuwem, lecz poza białymi pantoflami odpowiednimi raczej do komunijnej sukienki, nie znaleźliśmy niczego odpowiedniego. Zanosilo się, że albo Kamila do jedwabnej kreacji założy letnie sandały, albo wystąpi w tym, co ma. Wtedy Kinga przypomniała sobie swoją ciotkę, była aktorkę, która chlubiła się zgrabnymi, małymi stopkami i lubowała w supereleganckich butach.

- Ostrzegam, to wielka dziwaczka, ale pomocna w potrzebie jak mało kto. Trzeba tylko udawać wielki pośpiech, bo jak zacznie wspominać, to zamuli na śmierć. Ciocia Kingi, czyli pani Izabela Radoszczanka, mieszka w centrum miasta, w trochę zaniedbanej secesyjnej kamienicy wraz z czterema kotami: Hamletem, Otellem, Romeem i Puśkiem oraz pudlem Cydkiem - pewnie zdrobnienie od Cyda. Tamtego wieczoru ubrana była we wzorzysty atlasowy szlafrok obszyty złotą lamówką, na głowie miała żółty jedwabny turban. Aby nas wpuścić, wstała od niskiego stolika, na którym układała pasjansa.

- Ciociu, ratuj! - Kinga przedstawiła nas i ciągnęła dalej. - Potrzebujemy czarnych lub zielonych, bardzo eleganckich butów. Na przedwczoraj.

- Och, chętnie ci pomogę, Kiniu, ale nie wiem, czy mam...

- Ciociu, jak nie ty to już nikt. W tobie cała nadzieja.

- Czy do jakiejś roli?

- Tak, księżniczki, w którą zmienił się Kopciuszek - Kinga nie dodała, że miała to być wyreżyserowana przez nas baśń.

Pani Izabela zabrała się do pomocy z ogromnym zaangażowaniem. A butów miała ze sto par.

- Mogą być te, safianowe, zielono-srebrne, albo te, z czarnego rypsu na średnim słupku, albo aksamitne ze złotą lamówką... - wyliczała dobre pół godziny, biorąc do ręki każdą parę i prezentując ją nam niczym kustosz cenny eksponat w galerii sztuki. Dotąd buty interesowały mnie wyłącznie jako użytkowniczkę. Powinny być ładne, modne i wygodne. Tetutaj, mimo ich niewątpliwej urody i wygody, były hitem jakiegoś trzydziści lat temu. Ale cóż, nie mieliśmy innego wyjścia. Wybraliśmy, według nazewnictwa pani Izabeli, zamszowe czółenka ze srebrnymi noskami.

Przymierzałyśmy je do sandałów Kamili, powinny się nadać.

Już przy drzwiach pani Izabela spytała niespodziewanie;

- A co ona będzie mieć na głowie?

- Nic - odparłyśmy wszystkie trzy.

- Księżniczka z niczym na głowie? Poczekajcie! - Pogrzebała w jednej z szuflad komody i przyniosła srebrzysty diadem. - To są zwykłe cyrkonie, ale na scenie, odpowiednio oświetlone, wyglądają jak prawdziwe diamenty.

- Dzięki, ciociu! - Złożyłyśmy jej życzenia noworoczne i wróciłyśmy dokończyć pakowanie. Niespodzianka, którą przygotowałyśmy dla Kamili, wprawiła nas w doskonały humor.

Sylwester

Na miejsce dojechaliśmy z dużym opóźnieniem, bo najpierw pomyliliśmy drogę, a potem chcąc nadrobić stracony czas, pojechaliśmy na skróty ale czasu nie nadrobiliśmy

Zagroda usytuowana była poza wsią, w pobliżu lasu, składała się z trzech budynków ogrodzonych drewnianym płotem. Przez otwartą na oścież bramę wjechaliśmy na rozległe podwórze. Rozświetlone okna i muzyka na maksa dobiegająca z budynku po lewej wskazywały że właśnie tam zorganizowano zabawę. Na spotkanie wyszedł nam, jak się później okazało, gospodarz, pan Ziutek. Po czterdziestce, ale fajny gość. Musiał chyba obserwować cały czas przez okno bramę, bo przy hałasie, jaki panował wewnątrz, nie mógł usłyszeć warkotu samochodu, choćby miał słuch jak nietoperz. Obaj panowie pomogli nam wnieść bagaże na poddasze, gdzie urządzono prowizoryczną szatnię. Panował tam nieopisany bałagan. Łóżka, stół i krzesła zalegały sterty płaszczy i kurtek, po podłodze walały się plecaki, torby reklamówki, buty i wszystko, co spadło, a czego nikt nie miał głowy podnieść.

Zaczęłyśmy się przebierać.

- Gdzie moje rzeczy? - zaniepokoiła się Kamila.

- Nie ma? - udałam zdziwienie. - Niemożliwe.

- Nigdzie ich nie widzę.

- Były, z pewnością były. Dziewczyny, chyba niczego nie przegapiłyśmy? - spytałam obłudnie Kingę i Dorotę.

- Z pewnością nie - odpowiedziały z podobną obłudą. - Zabrałyśmy wszystko.

- W takim razie zostały w samochodzie - zawiesiłam nieco dramatycznie głos, żeby dać Kamili czas na reakcję, jakiej się spodziewałyśmy. Potem miałyśmy odegrać swoje, rozpisa-

ne na głosy role. Tymczasem Kamila przysiadła na brzeжку jakiegoś krzesła i w milczeniu przyglądała się naszym przygotowaniom. Niesamowite! Gdybym ja, po tylu przygotowaniach, miała przed sobą wizję zepsutego sylwestra, pewnie wściekłabym się ze złości. Szukałabym winnego, dzwoniła do taty po pomoc... A ona nic. Nic. Nawet nie zdjęła tej swojej nieśmiertelnej jupki. Chora czy co? Takiego obrotu sprawy żadna z nas nie przewidziała. No cóż, trzeba było improwizować.

- Dziewczyny, w której mam dzisiaj wystąpić? - Udając mocno niezdecydowaną, podniosłam sukienkę swoją i tę przeznaczoną dla Kamili.

- Czarną - odpowiedziały zgodnie bez namysłu.

- Też tak myślałam. - Zwróciłam się do Kamili: - Tę drugą chętnie ci pożyczę.

Wzięłam na wszelki wypadek. Zawsze tak robię. Prawda, Dorota?

- Jasne.

- Ależ ja nie mogę...

- Przestań grymasić i tak nie masz innego wyboru. - Niedbale rzuciłam w jej kierunku sukienkę, jakby to był drobiazg nie wart ani czasu, ani uwagi.

- Dobrze ci będzie, Kamila, w tych kolorach, tylko rozpuść włosy - wsparła moje zabiegi Kinga.

Kamila z ociąganiem, bo z ociąganiem, wreszcie zaczęła się przebierać. Spokojnie zajęłyśmy się sobą, a to, jak wiadomo, pracochłonne zajęcie - włosy... makijaż... tu podciągnąć... tam dociągnąć... tu trochę różu... tam cienia... Kobiety to wiedzą, a mężczyźni nigdy nie rozumieją. Dopiero gdy byłyśmy gotowe, „przypomniałyśmy” sobie o Kamili, która tymczasem przebrała się i znów przysiadła na brzeжку krzesła za stertą kurtek.

- Ja też już mogę iść - powiedziała, wstając. Zamurowało nas. Cud? Czary? Nie było Kamili, była We-

39

nus z obrazu Botticellego, Madonna Rafaela... czy ja wiem? Jak to możliwe, że sukienka tak odmieniła dziewczynę? Na co dzień jej złociste loki, zielone oczy i łagodnie zarysowane usta były niezauważalne. Teraz promieniały, nie pozwalając oderwać oczu.

- Natałka pęknie z zazdrości - powiedziała Dorota. Przypudrowała Kamili nos, przyczerniła rzęsy, lekko pociągnęła różem policzki, na koniec założyła diadem z cyrkoniami i ruszyłyśmy na dół, gdzie zabawa trwała już w najlepsze.

Rozglądałyśmy się za Sabina, która miała nam zarezerwować miejsce przy stole, kiedy zjawił się przy nas Jarek. Miał zwichrzone włosy, rozluźniony krawat i rozpięty guzik przy kołnierzu koszuli. Był w wyraźnie szampańskim nastroju.

- No nareszcie panie zaszczyciły nas swoją obecnością. - W trakcie wykonywania popisowego zestawu dworskich ukłonów nagle go zamurowało. - Czy ja dobrze widzę? Kamila? Bombowo dziś wyglądasz.

- Powiedz tylko, że my nie, to się obrazimy - zawołała niby urażona Dorota.

- Wszystkie wyglądacie pięknie. Tam mamy stolik. W rytmie rumbi za mną! - Grali akurat rocka.

Śladem Jarka przeciskałyśmy się wśród tańczących. Mijani spoglądali na Kamilę z niedowierzaniem, jakby ujrzeli ją po raz pierwszy

Kiedy dobrnęliśmy do celu, okazało się, że przy naszym stole brakuje miejsca dla Kamili. Sabina jej nie uwzględniła, a Jarek zapomniał. Na sali z pewnością było gdzieś jej krzesło, talerz, szklanka i sztucce, ale nikt nie zwołał: „Kamilko, chodź tu do nas...!”.

Wtedy był to drobiazg bez znaczenia. Ot, drobny lapsus. W końcu ludzie sami dobierali się w paczki, nikomu nie narzucało się towarzystwa. Pełny luz blues.

Dzisiaj ten fakt na-

biera innej wymowy- nie byliśmy przyjaciółmi Kamili. I chociaż jakoś w końcu usadziliśmy ją pomiędzy nami, musiała, przynajmniej przez chwilę, czuć się jak piąte koło u wozu. A może nie? Tego dnia była przecież niekoronowaną królową balu. Najpierw smalił do niej cholewki Maciek, brat Sabiny, potem Marek, ale i tak

wszystkich przebił Robert.

Chodziły po klasie słuchy, że Roberta coś łączy z Natałką, tymczasem Natałka przysłała z jakimś Adrianem, ponoć studentem politechniki. Kiedy Robert poprosił Kamilę do tańca, ta, zaskoczona wyróżnieniem, dosłownie osłupiała.

- Księżniczko, poluzuj gorset. Tańczymy. - Robert uśmiechając się, wyciągnął do niej rękę z gestem, jakby miał przed sobą prawdziwą księżniczkę. Pobladła z wrażenia Kamila, zanim wstała, przez bardzo, bardzo długą chwilę patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

Na szczęście kocham się w Karskim i niewiele mnie to obeszło. Podobnie Sabinę, bo ciągle tkwiła w swoich antymę-skich przekonaniach, poza tym miała ważniejsze sprawy na głowie. Sabina jest bowiem jak kogut, który myśli, że jak nie zapieje, to słońce nie wstanie. Zabawa trwała w najlepsze, lecz ona wciąż czuła się w obowiązku, żeby mieć nad wszystkim pieczę. No bo a nuż ktoś nie dostałby swojego kawałka tortu albo didżejowi, Artkowi Pieczce z Illb, zaschłoby w gardle.

Ja, podobnie jak na innych tego rodzaju imprezach, byłam zdana na Jarka.

- Zatańczysz? - spytał mnie więcej po godzinie przekrzykiwania się przy stoliku.

- Chętnie. Wmieszaliśmy się w tłum.

- Jak oceniasz dekorację? - Wskazał na porozwieszane nad głowami serpentyny papierowe łańcuszki i baloniki. Te, które z Kingą kupiliśmy

41

- Fajne.

- Wszystkie balony sam nadmuchałem - pochwalił się.

- Gratuluję pojemności płuc.

- A co powiesz o Nowym Roczku?

- Masz na myśli tego pokurcza nad Artkiem?

- Cicho, to arcydzieło Sabiny.

- Mama by powiedziała, że ma skoliozę i zaawansowane wodogłowie.

- Lilia pewnie dałaby mu lufę z polskiego za wygląd debila - Jarek parsknął śmiechem. - Podziwiam cię za poczucie humoru.

- A za urodę nie? - udałam obrażoną.

- Cholera, znowu strzeliłem gafę, ale natychmiast się poprawiam....

Matematyczny talent Jarka w żaden sposób nie przekładał się na muzykalność.

Fatalnie tańczył i sędzę, że w ogóle o tym nie wiedział. Mnie też to za bardzo nie przeszkadzało, więc podrygiwaliśmy sobie, każde według własnego uznania, na odległość wyciągniętej ręki. Raz po raz Artek, bawiąc się w wodzireja, urozmaicał zabawę jakimiś wężami, kółkami, dyspozycjami: panie w lewo, panowie w prawo, panie do środka itp. Oficjalnie nie było alkoholu, lecz prawie wszyscy byli na rauszu. Na każdym stole stała przynajmniej jedna butelka po oranżadzie z wódką. Osobiście nie gustuję w trunkach, ale za namową Doroty spróbowałam koktajlu: tonik + wódka + kilka kropli cytryny + kostki lodu. Niezłe.

Kamila? Kamila przeniosła się do stolika Roberta. Raz po raz pojawiała się w moim polu widzenia. Więcej uwagi poświęcałam Jarkowi, który po kilku godzinach z roli kumpla wszedł nagle w rolę amanta. Jeszcze fatalniej gubiąc kroki i częściej depcząc mi po butach, wyznał przy jakimś tangu przytulana-gu, że mnie kocha. Coś takiego, dostał licencję podrywacza czy co?

Pomimo szmerku w głowie, pamiętałam o przestroгах rodziców, które nazwałam trylogiem, brzmiał on mniej więcej tak: po pierwsze, do mówienia zaprzęgaj zawsze intelekt, po drugie, bezpieczniejsza jest wymiana myśli niż uścisków, i wreszcie po trzecie, cokolwiek zamierzasz postanowić, pomyśl o konsekwencjach.

Od razu przeszłam do punktu trzeciego, gdyż rozmowa z Jarkiem zawsze wymagała sprawności intelektualnej, a na wymianę uścisków nie miałam najmniejszej ochoty. W tamtej sytuacji trzeci punkt, jak mawiają stratedzy, przypominał siedzenie okrakiem na barykadzie: ani przyzwałać, ani się bronić. Z jednej strony fajnie jest usłyszeć takie wyznanie, nawet od faceta, do którego nic się nie czuje; z drugiej zaś należało dać mu jakoś dać do zrozumienia, że z tej maki chleba nie będzie (nikt nie przebiję Karskiego), ale nie przepłoszyć, bo nie miałabym z kim tańczyć. Należałam do nielicznych w klasie singli i bez Jarka groziło mi podpieranie ścian. Gdyby towarzyszyła mi Sabina, byłoby to do zniesienia, tymczasem, chyba za sprawą jakichś czarów, betonowej w swoich przekonaniach przyjaciółce coś przemeblowało się w głowie.

Podeszła do mnie w czasie jednej z przerw, żeby powiedzieć:

- Wiesz, ten Artek jest super, naprawdę super. Prawdziwy artysta.
- No, zna się na muzyce - przyznałam.
- Ach, nie tylko muzykę mam na myśli... Rozmazała mi się szminka?
- Wyglądasz w porządku.

Przy konsoli zastąpił Artka jakiś nieznany mi blondyn, a Artek po prostej sunął przez rozfalowany tłum w kierunku Sabiny

- No to cześć! - zawołała ta, jeszcze do wczoraj, zaprzysięgła feministka, waleczna emancypantka i z uwodzicielskim

uśmiechem Scarlett z Przemieńło z wiatrem ruszyła mu na spotkanie.

Tymczasem Jarek czekał reakcji na swoje wyznanie. Teoretycznie wiem, że w konwencji flirtów mieszczą się niedomówienia, dwuznaczności i teatralne zagrywki, jednym słowem zabawa w kotka i myszkę, jednakże w praktyce nie jest to takie proste. Podobno już natura wyposażyła dziewczęta w umiejętność flirtowania, jednak w moim przypadku umiejętność ta nie zadziałała. Może zawinił brak podtekstów erotycznych w stosunku do zalotnika, może coś ze mną jest nie tak, zdołałam tylko bąknąć niewyraźnie, że też go... lubię. Nawiasem mówiąc, wyraz „lubię” to taki wytrych słowny pasujący do szczególnie kłopotliwych wyznań.

Byłam przekonana, że nazajutrz wszystko wróci do normy: Jarkowi wraz z alkoholem wywietrzeją z głowy amory, Sabina przejrzy na oczy i zobaczy w Artku erotumana, a ja będę spokojnie delektować się miłością do Karskiego.

Pięć minut przed północą umilkła muzyka, Sabina z Na-talką porozdawały lampki. Stary rok zegnaliliśmy pod komendą Roberta z Kamilą u boku. Stali na podwyższeniu przy mikrofonie, piękni i szczęśliwi. Sukienka Kamili nie wyglądała już na niemodną suknię donaszaną po dojrzałej kobiecie. Na tle nas, elegantek modnych na jedno kopyto, błyszczała jak gwiazda przy kolorowych szkiełkach. Nawet Natałka w swojej wyszukanej kreacji, pełnej złotych frędzelków i migotliwych cekinów, wyglądała przy Kamili jak bożonarodzeniowa choinka. Musiała to wyczuwać swoimi wyczulonymi na estetykę zmysłami, bo spoglądała na Kamilę wzrokiem, od którego

skwaśniałby nawet likier.

Tymczasem Robert patrząc na zegarek z sekundnikiem, odliczał od sześćdziesięciu w dół sekundy, które pozostały do północy. Robiliśmy to razem z nim, a kiedy wrzasnęliśmy:

44

„Zero!!!”, strzeliły korki od szampana i zgasło światło. Zdążyłam jeszcze zauważyć, jak Robert przyciąga do siebie Kamilę, aby ją pocałować.

Za oknami rozbłysły fajerwerki. Tłocząc się, wylegliśmy hurmą na zewnątrz.

Wszyscy wszystkim składali życzenia, a noc była cudowna, wysoka i gwiazdzista.

Miałam ochotę stać tam i podziwiać, i chociaż Jarek przytulał mnie niby to dla rozgrzewki, szybko przemarzłam. Z żalem wróciłam do środka i stanęłam przy oknie, aby przynajmniej stąd upajać się widokiem.

Wtem podeszła do mnie Kamila i objęła mnie milcząco w talii. Byłam zaskoczona, gdyż nie należała ona do osób zbyt wylewnych.

- Jak się bawisz? - spytałam.

- Cudownie. Wiesz, takie chwile są jak srebrne okruchy szczęścia. Trzeba je skrzętnie zbierać i cieszyć się, że w ogóle są.

Czy w wieku siedemnastu lat powinno się mieć takie przemyślenia? Zbierać cokolwiek? Po co? Nie licząc niespełnionej miłości do Karskiego, byłam ogólnie zadowolona z życia. Nie potrzebowałam robić zapasów szczęścia na wypadek przyszłych, chudych lat. Nie wierzyłam, że takie nastąpią. Nie miałam powodu, żeby wierzyć.

Samozadowolenie stępiła wrażliwość na samopoczucie innych. Świat oceniany z perspektywy własnego podwórka cały wyglądał jak to podwórko. Analezy patrzeć uważniej... Patrzeć i myśleć. Przebrana na tę noc Kamila była nadal tą samą dziewczyną, co zawsze.

Z moją bezrefleksyjną naturą zsumowała się beztroska sylwestrowej nocy, która nie sprzyjała refleksjom nawet u osób skłonnych do tego. Było pięknie, było szampańsko, było radośnie. .. Zabawa wciągała w swój wir i nie było miej sca na smutne rozważania. No, poza łagodną nutką żalu za brakiem widoku Karskiego.

45

Chwilę później Kamila tańczyła już z Robertem. Niczego więcej, co by jej dotyczyło, nie pamiętam. Nawet nie wracała z nami samochodem.

Jeszcze przez jakiś czas żyliśmy wspomnieniami z sylwestra, później powróciła proza życia. W tę prozę z powrotem wpisała się Kamila w byle jakich dzinsach i bezkształtnym swetrze. Znowu stała się szara i przeciętna. Nieoszlifowany diament.

Wtedy właśnie Rombo i Tolo znowu postanowili zabawić się rzucaniem w dziewczynę papierowymi kulkami. Nim kulki doleciały do celu, Robert doskoczył do nich, obu jednocześnie chwycił za barchety i jak szmacianymi kukłami walnął o tablicę.

- Jeśli jeszcze raz coś takiego się powtórzy, rozmażę was na ścianie! - zagroził.

- Stary daj sobie na wstrzymanie! - zawołali zaskoczeni niespodziewanym atakiem. - Jeżeli trafiliśmy w ciebie, to przypadkiem. Celowaliśmy gdzie indziej.

- Wiem, w kogo celowaliście.

- No nie. Bo mi z wrażenia kopara opadnie aż do podłogi. Mówisz, że ten oper jest

za nią? Niewierze. Powtórz. - Rombo uznał, że oto ma doskonałą okazję, żeby rzecz całą odwrócić w żart.

- Niech no któryś rzuci w tamtą stronę chociażby piórko, dostanie manto.

- Pieprzony rycerz się ujawnił! - wrzasnął Tolo, kiedy Robert już wrócił do ławki i dokładnie w tym samym czasie zadzwonił dzwonek. Do klasy weszła Lilia.

To był prawdziwy koniec papierowych ataków na Kamilę. Kilka dni później Rombo i Tolo, czy to w napadzie wyjątkowej głupoty, czy żądzy junackiej sławy, jakimś sposobem zakradli się do pokoju nauczycielskiego i poprzybijali gwoździa-
46

mi do parkietu buty które nauczyciele mieli na zmianę. Tym razem przegięli. Po dość dokładnym śledztwie sprawa się wydała i zostali zawieszoni w prawach ucznia. Później jednak, po licznych interwencjach rodziców, pozwolono im wrócić do szkoły, jednak pod warunkiem, że przy następnym wybryku, chociażby najłżejszego kalibru, wylatują bezapelacyjnie.

Robert ciągle pozostawał pod urokiem, jaki rzuciła na niego Kamila podczas sylwestrowej nocy Wychodzili razem ze szkoły raz czy dwa spotkałam ich w kawiarni „Pod Parasolami”. Często dostrzegałam, jak wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy. Byli parą.

Tatrycja

Na jakiś czas zapomniałam o Kamili, bo działo się dużo. Do tego, zupełnie przypadkowo, obie z Sabiną wplątałyśmy się w historię z Patrycją Kwiatowską. Tylko złośliwa przewrotność losu spowodowała, że zwykły wygłup doprowadził do tragedii.

Prawie codziennie w drodze do szkoły, do Sabiny i do mnie dołączała Patrycja. Po lekcjach różnie bywało, bo koleżanka praktycznie miała szlaban na wszystko. Jeśli po ostatniej lekcji w ciągu kwadransa nie dotarła do domu, zostawała poddawana wnikliwemu śledztwu. Rodzice brali ją w krzyżowy ogień pytań: gdzie była, z kim się spotkała, co robiła, o czym rozmawiała; przeglądali jej ubranie, obwąchiwali bieliznę i najczęściej karali jeszcze ściślejszym szlabanem, chociaż wydawało się to niemożliwe. Mało tego! Bez akceptacji rodziców nie

47

mogła samodzielnie wybrać ani koleżanki, ani bluzki, ani książki, a już broń Boże kolegi.

Dla Patrycji ta sytuacja była okropnym obciachem, zwierzyła się nam ze swoich kłopotów dopiero w drugiej klasie, gdy nabrała do nas zaufania.

- Starzy traktują mnie jak jakąś bezrozumną istotę narażoną na zakusy stad zбочeńców seksualnych - skarżyła się często. - Mama w swoim mniemaniu wychowuje mnie bardzo porządnie, w duchu najskrajniej cnotliwych bzdetów.

- Z tego wniossek, że tyrania cnoty jest równie upierdliwa, jak tyrania tyrana. Postaw się. W naszym wieku bunt jest rzeczą naturalną - poradziła jej Sabina.

- To nie takie proste, gdy ojciec po dwóch zawałach, a matka z nadciśnieniem. I do tego ta ciągła śpiewka: my dla ciebie to, my dla ciebie tamto..., dla ciebie zrezygnowaliśmy z tego i owego..., naszym jedynym celem jest twoje dobro..., wypruwamy dla ciebie żyły... Koszmar! Czasem mam uczucie, że się od nich nigdy nie uwolnię. Będę spłacać dług wdzięczności do zasranej śmierci. A jeśli już pozwolą

mi opuścić dom, to wszyją pod skórę chip, żeby kontrolować przez resztę życia.

- Tym bardziej się postaw.

- Może kiedyś, na razie pędzę do swojego inspektu wegetować do jutra! - zawołała, spoglądając w górę. Na balkonie stała pani Kwiatowska, pukając wymownie palcem wskazującym w cyferblat zegarka na nadgarstku.

- Dotąd myślałam, że Patrycja to odludek, a ona jest po prostu ubezwłasnowolniona - powiedziała z oburzeniem Sabina. - Ja bym sobie na to nie pozwoliła.

- Ja też.

- Raz, drugi, trzeci postawiłabym na swoim i wreszcie musieliby uznać moje racje.

O tak, Sabina z pewnością postawiłaby na swoim. Nic tak

nie hartuje charakteru jak czterech braci. Ale jedynaczka Patrycja? To nie ten typ.

Poza tym profilaktycznie duszono w niej jakąkolwiek myśl o buncie.

Innym razem Patrycja wybiegła z domu i gdy nas zobaczyła, wybuchła płaczem.

- Dłużej tego nie wytrzymam.

- Co się stało?

- Dzisiaj rano ubrałam się w spódnice z bordowego sztruksu i nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, tata stwierdził, że spódnica jest zbyt wyzywająca i nie pozwoli mi w niej wyjść z domu. Darł się, że wyglądam jak lafirynda i w ogóle. Musiałam się przebrać w ten koszmarny łach - ze złością strzepnęła po granatowej układance za kolana.

- Nie jest tak źle - pocieszyłyśmy ją, chociaż ani ja, ani Sabina takiej spódnicy nie założyłyśmy za nic w świecie.

- Najgorsze jest to, że odgrażał się, że mi w szafach zrobi porządek.

Nie wyobrażałam sobie mojego taty grzebiącego w moich fatalaszkach. Mój tata lubi, gdy i mama, i ja ładnie wyglądamy

- Patrycja, urwij się wreszcie z pępownicy. Za kilka miesięcy będziesz mogła wyjść za mąż, wybierać i parlamentarzystów, i prezydenta, a dzisiaj nie możesz wybrać sobie spódnicy?

- Dobrze ci mówić, bo nie wiesz, jak to naprawdę jest.

* * *

W tym roku szkolnym Patrycja złamała rękę. Lewą. Chociaż dostała lekarskie zwolnienie i mogła sobie spokojnie siedzieć w domu, zdecydowała się chodzić do szkoły w... towarzystwie mamy. Mama niosła jej plecak aż do samej ławki, rozkładała książki, potem na każdej przerwie zaglądała, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Po ostatniej lekcji eskortowała ją do domu.

49

Było niemożliwością, aby pod tak czujnym, rodzicielskim okiem nie wynikło nic złego. Już pierwszego dnia miał miejsce pierwszy zgrzyt. Patrycja ciągle siedziała w jednej ławce z Kamilą i to nie spodobało się pani Kwiatowskiej. Natychmiast pobiegła do wychowawczynie i kategorycznie zażądała zmiany. Nikt nie wiedział, jakich użyła argumentów, chodziły pogłoski, iż sprawa oparła się aż o dyrektora, bo Lilia była przeciwna jakimkolwiek rozszadom. Również Patrycja nie miała nic przeciwko Kamili. Kamila, tak jak ona, nie uczestniczyła w życiu towarzyskim klasy ponadto była świetna z przedmiotów ścisłych. Chętnie pomagała Patrycji, szczególnie na nerwówkach, czyli na klasówkach.

Od taty wiem, że są osoby o niepojętej uległości, stworzone do roli ofiar. Nikt

dokładnie nie wie, dlaczego tak jest. Może brakuje im pewności siebie, może są fatalistami wierzącymi w nieuchronność zła, może cierpią na paraliż woli i zamiast się bronić, zastygają w bezruchu? Złoczyńcy rozpoznają ich nawet w największym tłumie. Przez kancelarię taty przewija się sporo takich bezwolnych męczenników. Z reguły szukają pomocy tragicznie za późno, najczęściej z inicjatywy osób postronnych i niemal zawsze wpisują się w schemat: kobieta od zawsze gnębiona przez męża zwyrodnialca; dzieci maltretowane przez rodziców,- rodzice maltretowani przez dzieci; latami molestowana dziewczyna.

Oczywiście każdy może zostać ofiarą przemocy, ale normalnym odruchem jest obrona. Jednak niektórzy z jakiegoś powodu są pozbawieni takiego odruchu. Tak jak Kamila. Siedziała w swojej ławce z opuszczoną nisko głową. Trudno było odgadnąć, czy to z zażenowania, czy z innego powodu. Z tego, co pamiętam, nikomu nie podobało się postępowanie pani Kwiatowskiej, ale nic z tego nie wynikało. Skoro milczała Pa-trycja, której ta awantura dotyczyła, milczeliśmy i my. Tylko biedna Lilia próbowała szlachetnie walczyć. Najpierw skapitulowała wobec nieprzejednanej postawy pani Kwiatowskiej, potem próbowała przynajmniej nam przemówić do serc.

- Jesteście jedną, zżyłą społecznością. Z mojego punktu widzenia wszyscy jesteście równi, a jedynym wyróżnikiem są wasze postępy w nauce. Kamila należy do dobrych uczennic, lecz z powodu, o którym nie chcę mówić, Patrycja nie może dalej siedzieć z nią w jednej ławce. Kto chciałby się zamienić z Patrycją miejscem?

Nikt nie chciał. W klasie była parzysta liczba dziewcząt i chłopców, nawiązały się ławkowe przyjaźnie, poza tym zrodziła się chęć przekory wobec dyktatu pani Kwiatowskiej, więc ani jedna ręka nie uniosła się w górę. Wysiłki Lilii spęzły na niczym. Pani Kwiatowska postawiła na swoim. Na szczeblu dyrektorskim zapadła decyzja, żeby dostawić jeszcze jedną ławkę specjalnie dla Patrycji.

Z ulgą sprawę uznaliśmy za załatwioną, ale jakoś nikt nie pomyślał o samopoczuciu Kamili. Godna pożałowania zdawała się być Patrycja, szczególnie po tym, jak duet Rombo - Tolo zagiął sobie na nią parol, odgrywając komiczne scenki. Tolo z wielką papierową kokardą we włosach i smoczkiem w ustach zaczynał ryczeć, że chce siusiu albo chce papu, albo się boi mizi. Wtedy do akcji przystępował Rombo, udając panią Kwiatowska. Zawsze zaczynał od słów: „Och, moja malutka Pa-trysiu...!”, żeby nikt nie miał wątpliwości, kogo rzecz dotyczy

- Nawet kota można zagłaskać na śmierć - stwierdziła któregoś dnia Sabina. -
Musimy wreszcie pomóc Patrycji.

- Ale jak?

- Po prostu przerwać tę farsę.

- Nie widzę sposobu.

- Spróbujmy, przynajmniej dla psychicznego usprawiedliwienia, że próbowałyśmy. Obeszło się bez wielkiej strategii. Zaproponowałyśmy pani Kwiatowskiej, że chętnie ją wyręczymy w noszeniu plecaka Patrycji i w ogóle będziemy o nią dbać jak o własną siostrę. Poskutkowało, chociaż dopiero po dokładnej weryfikacji. Pani Kwiatowska z dociekliwością godną Sherlocka Holmesa wywiedziała się o naszych rodziców, postępy w nauce, kontakty z chłopakami i tym podobne bzdury. Odtąd do naszych codziennych obowiązków należało dźwiganie dodatkowego plecaka.

Zmaltretowana rodzicielską nadopiekuńczością Patrycja aż się popłakała z wdzięczności. Wdzięczna była też jej mama. Po tygodniu zaprosiła nas do domu na herbatę i ciastka. Czemu nie.

Mieszkanie rodziców koleżanki przypominało skrzyżowanie muzeum regionalnego ze sklepem „Tysiąc i jeden drobiazgow”. W przedpokoju komoda zastawiona dzbankami, dzbanuszkami, wazonami i wazonikami różnej wielkości. W salonie, czyli dużym pokoju, ściana segmentów i tu również tysiące bibelotów: szklane słoniki, łąbki, koniki, zajaczki, delfinki, porcelanowe baletniczki, pastuszkowie grający na fujarkach, pastereczki, kwiaciareczki, fajansowe koszyczki, plastikowe laleczki... Nie do przeliczenia. Na stole, na szafie i na kwietnikach sztuczne, bo antyalergiczne, kwiaty szklanki w plastikowych, bo praktycznych, uchwytach, w szklanej paterze sztuczne owoce. Jak się później poskarżyła Patrycja, wszystkie te wątpliwej urody ozdóbki codziennie trzeba było odkurzać, a raz w tygodniu myć. Jeżeli Kwiatowscy mieli podobnie wypieszczone przekonania, wszystko było jasne. Dzięki Bogu ciastka okazały się naturalne i naprawdę pyszne.

Od pierwszej do ostatniej minuty wizyty pani Kwiatowska krążyła za naszymi plecami wokół stołu z uszami jak radary i co rusz wtrącała się do rozmowy. Patrycja była spięta i czerwona jak piwonia, my zaś znudzone i zde gustowane. Wychodząc, dygnęliśmy kretyńsko i z ulgą wypadliśmy na korytarz.

Na schodach wybuchnęliśmy niepohamowanym śmiechem.

- Jest gorzej, niż myślałam. W życiu nie widziałam takiego kabotyństwa - powiedziała Sabina. - Dla zachowania zdrowia psychicznego Patrycji należałoby wyrwać ją z tego domu...

- Ale jak?

Nie powiem, że pomysły posypały się jak z rękawa. Na szczęście (czy nieszczęście) życie w swym bogactwie samo podsuwa gotowe rozwiązania. Zdarzyło się to w czasie, gdy już Patrycji zrosły się kości. Sabina w drodze na lekcję muzyki spotkała panią Kwiatowską.

- O, grasz na skrzypcach! - zawołała zachwycona kobieta, wskazując na futerał z instrumentem. - To bardzo eleganckie. Moja Patrycja też jest uzdolniona muzycznie, zamierzaliśmy kupić jej pianino. Talenty trzeba pielęgnować.

- Mówi pani całkiem jak pan Pięciolinnik, mój profesor od solfeżu - przysłodziła jej Sabina.

- No, ma się tę ogładę kulturalną - przyznała skromnie pani Kwiatowską.

- Dyrygent Batutka, a mówią, że jest dobry jak sam Kara-jan, zaproponował mi udział w piątkowym koncercie. Będziemy grali Sonatę Księżycową van Beethowena. Zna to pani, prawda? - Sabina wybijając palcami takt na pudle skrzypiec, zanuciła parę taktów.

- A jakże! Zawsze płaczę, gdy tego słucham.

- Może Patrycja chciałaby pójść na ten koncert? Mam wolny jeden bilet.

Sabina, rzecz jasna, mocno podkreśliła, że bilet jest jeden i nie omieszkała dorzucić, niby to mimochodem, że wszystkie bilety zostały już dawno wyprzedane. To na wypadek, gdyby Kwiatowscy chcieli jej towarzyszyć. Pani Kwiatowską obiecała sprawę skonsultować z małżonkiem i na tym stanęło.

Zdarza mi się od czasu do czasu podretuszować prawdę, mówię na przykład, że ktoś

mi się podoba, chociaż wcale tak nie jest, udaję, że się cieszę z prezentu, który wylądował w koszu na śmieci, mówię, że się spieszę, żeby uciec od przynudzającej koleżanki, albo śmieję się z dowcipów opowiadanych po raz setny przez kuzyna Fredka. Krótko mówiąc, kłamię, aby nie sprawiać komuś przykrości albo gdy prawda jest wstydliva, albo coś w tym rodzaju. Zawsze jednak uważam, żeby wszystko, co wtedy mówię, było prawdopodobne, trudne do sprawdzenia i nikomu nie czyniło krzywdy. Tymczasem Sabina powiedziała coś, co Kwiatowscy mogli odkryć nawet przypadkowo, przeglądając rubrykę kulturalną w regionalnej gazecie. Nie dość, że w najbliższym czasie w repertuarze naszej filharmonii nie przewidziano żadnego koncertu z utworami van Beethovena, to na dodatek nikt nie napisze, że będzie to koncert pod batutą dyrygenta Batutki. Wątpię, czy taki dyrygent w ogóle istnieje, a gdyby nawet istniał, zmieniłby sobie nazwisko. No i stało się. Po kilku dniach Patrycja podeszła do Sabiny i powiedziała, że rodzice się zgadzają. Ta w pierwszej chwili zrobiła oczy jak ping-pongi, bo zdążyła zapomnieć o rozmowie.

- Na co się zgadzają?

- Na koncert.

- Nie ma sprawy ale tak naprawdę idziemy na dyskotekę do „Czarnego Kota”. Jeśli nie masz ochoty, powiem twojej mamie, że koncert odwołany

- Jasne, że chcę. Więc jak się umówimy?

- Podjedziemy po ciebie samochodem. Czekaj koło domu dokładnie o osiemnastej.

- Bomba.

Do głowy nam nie przyszło, że postępujemy nie fair. Wręcz przeciwnie, napawało nas poczucie dumy wynikające z dokonania pożytecznego uczynku.

54

W piątek, gdy nieświadomy naszego fortelu tata zatrzymał się, aby zabrać Patrycję, jej rodzice stali w oknie z nosami przyklejonymi do szyb, obserwując, jak Patrycja wsiada do samochodu. Szczęśliwie nie przyszło im do głowy wziąć na spytki tatę. Ależ byłaby chryja.

Patrycja, najpewniej pod dyktando mamy, ubrała się w czar-ną spódnicę i białą bluzkę z żabotem, strój absolutnie nieodpowiedni na dyskotekę, jednak tego wieczoru nic nie było w stanie zepsuć jej humoru.

Bawiłyśmy się setnie. Sabina niby nadal trwała przy swoich antymęskich fobiach, jednak po ostatnim sylwestrze nie dotyczyły one Artka. Artek był wyjątkiem. Ja nadal nieszczęśliwie kochałam się w Karskim, lecz coraz częściej robiłam wyjątek dla Jarka. Wyłącznie jako kumpla. Od stycznia, w czwórce, tworzyliśmy paczkę.

Patrycja już po kwadransie wpadła w oko postawnemu brunetowi. Przedstawił się jako Bartek, a z rozmowy wynikało, że chodzi do samochodówki. Tańczyli ze sobą przez cały wieczór.

O umówionej godzinie przyjechał tata i porozwoził nas do domów.

Od najbliższego poniedziałku Bartek codziennie czekał na Patrycję pod szkołą, aby odprowadzić ją do domu, a dokładnie do najbliższego od domu skrzyżowania.

Nikogo to rzecz jasna nie dziwiło, w każdym liceum jest sporo sympatyzujących ze sobą par.

W maju wybuchła bomba - Patrycja uciekła z domu i przepadła jak kamień w wodę. Wszyscy od razu związali tę ucieczkę z Bartkiem, ale - jak się okazało - nikt go bliżej

nie znał i nie mógł poznać, ponieważ Bartek przestał przychodzić pod szkołę. Zrobił się wielki szum. Lilia na przemian z dyrektcją próbowali wydusić z klasy jakiegokolwiek informacji na temat zbiegłej pary Nadaremnie. Nikt niczego konkretnego nie wiedział.

Patrycję uznano za zaginioną i rozpoczęto poszukiwania przez gazety i telewizję. Zaginięcia Bartka nikt nie zgłosił. Ustalono, że taki uczeń w ogóle nie chodził do technikum samochodowego.

Nie było wątpliwości, wszystko stało się przez nasz wygłup. Mój głos wewnętrzny doradzał wyznanie całej prawdy ale skutecznie wyperswadowała mi to Sabina.

- Nie przesadzaj. Przecież nie namówiliśmy jej do ucieczki.

- Ale przyczyniliśmy się do niej.

-Bzdura! Ile razy byliśmy na dyskotecę? I co? Uciekłyśmy z domu?

- No nie, ale sytuacja Patrycji jest całkiem inna.

- No właśnie! Winna jest sytuacja, nie my Wcześniej czy później skorzystałaby z jakiejś sposobności, żeby uciec. To było nieuniknione. Poza tym nie do końca jest to ucieczka.

-Nie? A co?

- Bunt. Przecież jej starzy są nie do strawienia.

Owszem, przyznałam jej rację, lecz mimo wszystko czułam wyrzuty sumienia.

Złośliwa wyobraźnia podsuwała mi straszne obrazy z Patrycją w roli głównej: a to porwali ją handlarze żywym towarem i sprzedali do jakiejś azjatyckiej agencji towarzyskiej, a to wpadła w narkomanię i zebrze na działkę gdzieś na dworcu w Amsterdamie, a to została bezdomną i sypia z całą gromadą bezimiennych łachmaniarzy w warszawskich kanałach. A wszystko dlatego, że przez nas poznała Bartka, który nie wiadomo, kim jest.

Fakt, nie cofnę już czasu, jednakże świństwem było zatajenie przed policją prawdy. Może właśnie moje informacje skierowałyby śledztwo na właściwy trop? Być może wśród bywalców „Czarnego Kota” jest ktoś, kto znał Bartka?

56

Podzieliłam się swoimi przemyśleniami z Sabiną, która przyznała mi rację, lecz nie chciała iść na policję.

- Kwiatowscy nas chyba zabiją - stwierdziła.

- Robimy to nie dla Kwiatowskich, tylko dla Patrycji. Może wpadła w tarapaty i czeka na naszą pomoc? - nie ustępowałam.

- Załóżmy, że wpadła w tarapaty ale z tym czekaniem na pomoc to już gruba przesada. Gdyby oczekiwała pomocy znalazłaby sposób, aby ją uzyskać. Wróci, jak się wyszaleje.

- Skoro nie mogę cię przekonać, pójdę sama. Trudno.

- Nie bądź taka wyrywna! Trzeba wymyślić coś innego.

- Ciekawe co?

- Napiszmy do policji wszystko, co wiemy. Bez podpisu.

- Podobno anonimy bez czytania lądują w koszu.

- W takim razie podpiszmy jakimś fikcyjnym nazwiskiem. Przecież zanim ustalą, że podpisanej Iksińskiej czy Igrekow-skiej nie ma, wcześniej poznają treść.

Pomysł Sabiny wydał mi się bardzo sprytny. Napisaliśmy więc, że w tym i w tym

dniu Patrycja w klubie „Czarny Kot” poznała Bartka i od tego czasu rozpoczęła się ich znajomość. Chociaż policjanci wiedzą, jak postępować w takich przypadkach, na wszelki wypadek poradziłyśmy aby na tę okoliczność przepytali bywalców klubu. Donos podpisałyśmy jakimś zmyślonym nazwiskiem i wysłałyśmy jako zwykły list.
Komisarz Różański

Jakież było moje zaskoczenie, gdy trzy dni później zapukał do naszych drzwi oficer śledczy i zapytał o mnie. Zanim mama przyprowadziła go do mojego pokoju, chwilę rozmawiali w holu. Czułam, że coś się święci, próbowałam podsłuchać,

57

o czym mówią, ale nic z tego. Dobiegały mnie zaledwie pojedyncze słowa, z których trzy wyjaśniały wszystko: „... koleżanka z klasy...”.

- To jest właśnie Diana, moja córka - przedstawiła mnie.
- Miło mi, komisarz Karol Różański. Czułam, jak cała krew ucieka mi z twarzy
- Zostawiam was samych - powiedziała z uśmiechem mama i wyszła. Biedna, jeszcze do niej nie dotarło, w co się wplątałam.
- Chciałem z panią porozmawiać - ku mojemu zdumieniu nazwał mnie panią.
- Oczywiście.

Wskazałam mu fotel, a sama usiadłam na kanapie. Dobrze było mieć coś miękkiego za plecami na wypadek, gdybym musiała nagle zemdleć. Tymczasem komisarz wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę.

- Czy jest pani autorką tego listu? - Była to kserokopia naszych wypocin.
- Dlaczego tak pan sądzi? - Postanowiłam najpierw wy badać grunt. A nuż blefuje!
- Domyślamy się.
- Ten list mógł napisać każdy
- Lepiej nie stwarzajmy sobie problemów. Chodzi przecież o to, aby śledztwo pchnąć do przodu. Prawda?

Uśmiechnął się. Miał nieprawdopodobnie białe zęby. Sztuczne czy własne? -

Próbowałam rozstrzygnąć, nie gubiąc, rzecz jasna, zasadniczego wątku rozmowy.

- Czy mogę liczyć na dyskrecję? Inaczej nie powiem ani słowa - dodałam przezornie, próbując jeszcze coś uzyskać dla siebie. Myśl, że będę musiała tłumaczyć się przed Kwiatow-skimi, zwałała mnie z nóg.

- Oczywiście. Zastrzegam sobie jednak prawo ujawnienia

pani nazwiska w wyjątkowych okolicznościach i tylko za pani zgodą.

Dalsze kluczenie nie miało sensu. Opowiedziałam wszystko jak na spowiedzi, łącznie ze swoim komentarzem. Słuchał cierpliwie. A kiedy skończyłam, spytał:

- Z kim się bliżej przyjaźniła?

- Z nikim. Była pod tak ścisłą kontrolą, że nie miała możliwości z kimkolwiek się zaprzyjaźnić. Poza tym na każdą znajomość musiała uzyskać zgodę. Miała permanentny szlaban.

- Co pani może powiedzieć o koleżance z ławki Patrycji?

- Patrycja siedzi sama. Wcześniej siedziała z Kamilą Rutką.

- Jak pani ocenia Kamilę?

- To spokojna dziewczyna. Dobrze się uczy ale nie przypadła pani Kwiatowskiej do gustu. Pani Kwiatowska wymusiła na dyrekcji, żeby wstawiła dla córki osobną ławkę.

- Jak pani myśli, co pani Kwiatowskiej nie spodobało się w Kamili Rutce?
- Może to, że Kamila jest biednie ubrana - powiedziałam po dłuższym zastanowieniu.
- Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.
- Czy wie pani, w jakim towarzystwie obracała się Kamila Rutka poza szkołą?
- Nie wiem. Nigdy nie wspominała o żadnych znajomych spoza szkoły
- Co pani rozumie pod pojęciem „permanentny szlaban”?
- Zero swobody zero zaufania... taki domowy areszt.
- Rozumiem, że wszystko to miało miejsce w przypadku Patrycji Kwiatowskiej.
- W jej przypadku było jeszcze gorzej. Ona została ubezwłasnowolniona jak jakieś niedorozwinięte umysłowo dziecko. Nie mogła nawet sama decydować, jakie czytać książki ani

jak uczesać włosy Totalne zniewolenie na każdej płaszczyźnie - starałam się przedstawić sytuację koleżanki w jak najczarniejszych barwach, żeby usprawiedliwić jej czynwoczach Różańskiego.

- Czy to Patrycja Kwiatowska właśnie tak opisywała swoją sytuację rodzinną?
- Tak. Czasem powiedziała to i owo w drodze ze szkoły Pomogłam w czymś panu ?
- Mam nadzieję.

Wziął adres Sabiny i poszedł. Przed wyjściem zostawił wizytówkę i poprosił o kontakt w razie, gdybym jeszcze przypomniała sobie o czymś, co może być związane ze sprawą, bądź się czegoś nowego dowiedziała.

Nie tylko ja snułam fantazje na temat losu Patrycji. Przez jakiś czas prawie na każdej przerwie rozmawialiśmy na jej temat, a z tych rozmów wynikało co nieco. Natałka chodziła w glorii osoby najlepiej poinformowanej. Zdradziła największą tajemnicę, którą powierzyła jej Patrycja: Bartek chciał się z nią ożenić. Ani jedno, ani drugie nie było pełnoletnie, lecz Bartek ponoć powoływał się na bliską znajomość z kierownikiem jakiegoś urzędu stanu cywilnego i ten znajomy miał im udzielić ślubu z pominięciem wszelkich formalności. Ale to nie wszystko. Natałka czuła się patronką wielkiej miłości Patrycji i Bartka. Przypisywała sobie nawet autorstwo szczęśliwego zakończenia tej romantycznej historii, bo jej zdaniem ta miłosna historia zakończyła się pięknie. Pięknie i romantycznie jak w filmie. Prawdziwe love story Skąd taki pogląd? Proste. Otóż Natałka umożliwiała zakochanym spotkania w swoim domu. Nie było to łatwe, o nie.

- Wszyscy wiecie, jaka jest pani Kwiatowska - podkreślała z przejęciem przed każdą opowieścią, abynadaćjej odpowiedni ładunek emocjonalny. I bez demonizowania tej osoby wie-

dzieliśmy i mieliśmy o niej jak najgorsze zdanie. Natalce chodziło jednak o coś zupełnie innego. Dla niej to przerysowanie zagrożenia było potrzebne do uwypuklenia własnych zasług na polu walki o prawo do miłości. Opowiadając o Patrycji i Bartku, opowiadała właściwie o sobie. Podkreślała pomysłowość, jaką wykazała przy snuciu koronkowych intryg, aby Kwiatowscy mimo swojej podejrzliwości, byli ślepi jak kocięta; jakich to sposobów użyła, żeby dziewczyna mogła bezpiecznie urwać się z lekcji itd., itp. Same rewelacje.

Na takim tle informacja Roberta Walońskiego, że na dwa dni przed zniknięciem Patrycji pożyczył jej większą sumę pieniędzy nie zrobiła większego wrażenia.

Sensację próbował wywołać Tolo, który twierdził, że widział Bartka w telewizji. Miał

ponoć występować jako ochroniarz jakiegoś mongolskiego dostojnika, ale jak wiadomo Tolo to niepoprawny kawalarz, więc nikt nie brał jego słów poważnie. Któregoś dnia i Sabina, i ja otrzymałyśmy wezwanie na komendę policji. Z rodzicami lub za ich zgodą; ja miałam się stawić o ósmej rano, Sabina pół godziny później. Poszłam sama.

Komisarz Różański przywitał mnie szerokim uśmiechem, odsłaniając ten swój imponujący garnitur uzębienia. Dalej nie mogłam dojść: naturalnego czy sztucznego?

- Dzień dobry, dostałam...

- Dzień dobry - Wyszedł zza biurka i zapraszającym gestem wskazał na jeden z foteli przy niskim stoliku. Najwyraźniej chciał, aby nasza rozmowa bardziej wyglądała na przyjacielską pogawędkę niż służbowe przesłuchanie.

Usiadłam i podałam mu kartkę, na której tata wyrażał zgodę na przesłuchanie mnie w charakterze świadka. Przeczytał ją uważnie i włożył do teczki leżącej na biurku.

- Czy jest coś nowego w sprawie Patrycji? - Od razu przystąpiłam do sedna sprawy.

61

- Owszem, jesteśmy bardzo blisko ustalenia danych Bartka. A pani ma jakieś nowe informacje?

Przez chwilę wahałam się, czy powtórzyć klasowe plotki.

- No, więc słucham. - Ten facet chyba podsłuchiwał moje myśli.

Opowiedziałam wszystko, co usłyszałam, on zaś pokazał mi kilka zdjęć i spytał, czy kogoś na nich rozpoznał. Nie rozpoznałam nikogo.

Odprowadził mnie do drzwi i uprzejmie dowartościował, zapewniając, że bardzo mu pomogłam.

Gdy wychodziłam z gabinetu, Sabina już siedziała w poczekalni. Dała znak, abym na nią poczekała. Poczekałam oczywiście.

Moja przyjaciółka załatwiła sprawę bez porównania szybciej niż ja. Nie powtarzała klasowych plotek, a na zdjęciach również nikogo nie rozpoznała.

JSJtc nie jest jednoznaczne

Do szkoły wracałyśmy bardzo wolno, zahaczając przy okazji o cukierenkę. W ten sposób uciekły nam dwie lekcje polskiego i jedna fizyki. I właśnie wtedy pożyczyłam zeszyty od Kamili. Sama nie wiem, dlaczego akurat od niej. Może dlatego, że Kamila zawsze wszystko bardzo pilnie notowała? Może dlatego, że akurat przechodziła koło mojej ławki? Dzisiaj już nie pamiętam. W jednym z jej zeszytów znalazłam napisany jej ręką wiersz:

Oto ja, ukryta za oczami
Oto ja - kosmos zamknięty w łupinie czaszki
Bezgraniczna przez nieskończoność wyobraźni
Niepodzielna jak atom

Niepowtarzalna jako jedna z wielu

W wędrówce od nieznanego do nieznanego

Przeczytałam tekst kilka razy, ale nie byłam pewna, czy jest dobry. Mnie się podobał.

Przepisałam go do swojego notatnika z adnotacją o autorce.

Nie zdziwiłam się, że Kamila pisze wiersze. Sama również od czasu do czasu odczuwałam silne pragnienie, by dać upust poetyckim ciągotom. Pisałam wówczas coś, co w danej chwili wydawało mi się przebłyskiem geniuszu, lecz po kilku miesiącach leżakowania w szufladzie było tylko nieporadnym gniotem. Darłam wtedy „dzieło” w strzępy by przypadkiem nie wpadło w niepowołane ręce. Nie

chciałam uchodzić za sentymentalną grafomankę.

Mniej więcej w tym czasie tata znów miał zlecenie dla Kamili. Chodziło o pomoc sprzątacze, najpierw w przygotowaniu kancelarii do malowania, a następnie posprzątaniu po malowaniu. Należało w piątek po południu popakować akta do pudeł, podpisać te pudła, pozdejmować obrazki i żaluzje, i wszystko powynosić do piwnicy, zrolować dywany, oddać do czyszczenia, a w poniedziałek umyć okna oraz podłogi, potem wszystko z powrotem pownosić, powiesić i poukładać. Miała za to dostać sto pięćdziesiąt złotych. Kamila zgodziła się od razu.

Najpierw miałam zamiar solidniej niż poprzednim razem pomagać Kamili, żeby przynajmniej w części odpracować królewskie kieszonkowe, które co miesiąc dostaje od rodziców, ale nie zdążyłam. Była wtedy akurat piękna pogoda, więc Sabina rzuciła propozycję, żebyśmy wyjechały w Bieszczady i pochodziły sobie po górach.

- Nie bardzo mogę - odmówiłam z żalem.

- Postaraj się. Błagam. Tylko tą metodą mogę skutecznie stracić to okropne sadło z ud.

63

- Nie przesadzaj, nogi masz w porządku.

- W spodniach ujdą, ale w kostiumie kąpielowym? Bądź dobrą przyjaciółką. - Wahałam się, więc Sabina prosiła dalej: - Przecież wiesz, że bez opalenizny wyglądam jak personalna z młyna

- Nie wystarczy ci Artek?

- Artek wyjeżdża na jakiś koncert, to jedyna okazja. Zlituj się.

Sabina wciąż powtarzała, że chłopak pociąga ją jako artysta, ale coraz więcej dowodów świadczyło, że po prostu zadurzyła się w nim po uszy.

- No, nie wiem...

- Weźmiesz Jarka i będzie fajnie.

- Dobrze, zgadzam się, ale pod warunkiem, że Jarkowi o wycieczce ani mru-mru.

W ostatniej chwili dołączyło do nas trzech braci Sabiny co rozwiązało problem transportu - najstarszy Damian, który ma dwadzieścia dwa lata, prawo jazdy i własny samochód, akurat zerwał z narzeczoną i postanowił się przewietrzyć.

W ciągu dwóch dni zrobiliśmy w górach z pięćdziesiąt kilometrów. Zaliczyliśmy Połoninę Caryńską, Wetlińską, Tar-nicę i Szeroki Wierch, ze zmęczenia lecieliśmy na pysk, ale Sabinie obwód ud nie tylko się nie zmniejszył, ale nawet zwiększył o pół centymetra. Była załamana. Przy okazji mierzenia nóg, obmierzyła i resztę ciała, a z obmiarów wyszło jej, że ma za mały biust. To ją dobiło do reszty. Próbowałam ją pocieszyć.

- Nie przesadzaj, nie urosły ci melony, ale nie masz też powodów do narzekania. - Naprawdę tak uważałam.

- Daruj sobie słowa otuchy. Przecież widzę, że moje piersi są zaledwie zerem w rozkwicie lub jedyneką w zaniku.

- Spraw sobie biustonosz z wkładką i będzie po problemie.

- Nie lubię namiastek. Zapiszę się na siłownię. Są przecież różne ćwiczenia korekcyjne. Ty też mogłabyś chodzić ze mną. - Czekałam, co zdaniem Sabiny powinnam w swojej figurze skorygować, ale nic z tego. Dyplomatycznie powstrzymała się od uwag. - Dobrą figurę trzeba konserwować. Na wszelki wypadek.

Przekonała mnie.

W poniedziałek po obiedzie wpadłam do kancelarii z zamiarem pomocy. Przyniosłam nawet ze sobą w termosie ruskie pierogi, które akurat tego dnia ugotowała ciocia Wandzia, lecz niewiele już zostało do zrobienia. Kamila kończyła myć ostatnie okno, sprzątaczką czyścić parkiety a dwaj młodzi faceci w niebieskich kombinezonach z napisem OLDPOL na plecach wieszali nowe żaluzje. Następni dwaj, też w niebieskich kombinezonach, lecz z naszywkami ECOPRANIE, wnosili zrolowane dywany

Za zarobione pieniądze Kamila kupiła sobie kilka nowych ciuszków. Nie najlepszej jakości, ale przynajmniej nowych i ładnych. Podcięła nieco włosy Nadal spotykała się z Robertem, ale podobno coś się między nimi psuło. Sabina uważała, że to za sprawą Natalki, chociaż ta wciąż pokazywała się z Adrianem.

- Faceci to wrokokwcy - przekonywała mnie. - Pod tym względem Natalka jest nie do przebiccia.

- W sylwestra wolał Kamilę.

- Gdyż na ten jeden raz udało jej się błysnąć. Błysnęła i zgasła. Jak iskierka w popiele.

- Nie zapominaj, że jest jeszcze w tym układzie Adrian.

- Adrian we właściwym czasie pójdzie w odstawkę.

To tak jak w moim przypadku Jarek, gdyby tylko Karski odwzajemnił moje uczucia - pomyślałam. I przyznałam Sabinie rację. Potwierdziła to sama Natalka. Spotkałyśmy się kiedyś na zakupach i postanowiłyśmy wpaść na lody do kawiarenki przy delikatesach. Rozmawiałyśmy sobie o tym i owym, gdy nagle Natalka powiedziała:

- Wiesz, denerwuje mnie ta Kamila. Ona jest w ogóle pozbawiona ambicji.

Uważałam inaczej. Owszem, można jej sporo zarzucić, ale akurat nie to. Wręcz przeciwnie, była chorobliwie ambitna. Nie podzieliłam się jednak z Natalią swoją opinią.

- Dlaczego tak uważasz?

- Uczepiła się Roberta jak rzep psiego ogona.

- Wydawało mi się, że Robert poderwał ją z własnej inicjatywy

- Poprosił do tańca, bo tak wypadało, a ona sobie ubzduriała, że załapała się na miłość na całe życie. Gdyby miała zwyczaj przeglądać się w lusterku, bodaj wielkości pięciozłotówki, wiedziałyby, że to marzenie ściętej głowy

Za to dla Natalki największym nieszczęściem byłby brak własnego odbicia w jakimkolwiek lustrze - pomyślałam, a głośno zauważyłam nie bez złośliwej satysfakcji:

- Tańczyli całą noc.

- Nie wiem, co nim kierowało. Chyba tylko litość. Przecież ta Kamila, owszem, wystroiła się, ale w ogóle nie była trendy. Jak ona wyglądała w tej przedpotopowej kiecce! Pewnie kupiła ją w jakimś szmateksie za dwa złote. Na co dzień wygląda tak beznadziejnie, że cokolwiek na siebie włoży, co nie jest ścierką do podłogi, każdy odbiera to jak jakieś wielkie cudo. A do tego okropna z niej nieruchawa smuciara. Fakt, że Natalka paryską kreację mojej mamy określiła jako przedpotopowy łańch ze

szmateksu tylko z powodu, że miała ją na sobie Kamila, najpierw mnie dotknął do żywego, potem jednak pomyślałam, że nie ma co się obruszać, gdyż jest to tylko dowód jej wścieklej zazdrości. Pod jednym względem Natalka miała rację, nagła odmiana Kamili zrobiła wrażenie, podczas gdy do jej wyszukanych strojów wszyscy zdążyli się przyzwyczaić. Klęski dopełniło zainteresowanie Roberta okazane Kamili. Takiej Kamili, gdy w pobliżu była ONA!!!

- Po sylwestrze nadal utrzymywali znajomość, chociaż Kamila wróciła do swoich...
- Taki już Robert jest, nie powie dziewczynie po prostu „spadaj” - weszła mi w słowo z wyraźną irytacją.

- Kluczysz. Powiedz prosto, co konkretnie masz przeciwko Kamili?

- Nie muszę mieć. Wystarczy, że jej nie lubię. Poczulałam, że nieświadomiona dotąd niechęć do Natalia

dobiła się do mojego mózgu. Nie. Nie z powodu tego, co powiedziała o Kamili. Tak w ogóle. Natalka zmieniła temat.

* * *

Tymczasem emocje związane ze zniknięciem Patrycji coraz szybciej opadały zwłaszcza że zbliżała się fala klasówek, sprawdzianów i odpytywań. No i wywiadówka, czyli forma publicznej spowiedzi, gdzie nasze grzechy wyznawali belfrzy, i to nie w ciszy konfesjonałów, zaś rodzice pełnili rolę kapłańskiego ucha i karzącej ręki sprawiedliwości w jednym. W moim przypadku ta ręka była właściwie językiem. Ani mama, ani tata nie wymagali ode mnie wyłącznie najwyższych ocen, jednak nie mieli żadnego pobłażania dla pał. Jeśli już zawałam, zaczynało się piłowanie: a dlaczego dopuściłam do zaległości, a dlaczego nie uprzedziłam, że potrzebuję korepetycji, a dlaczego to, a dlaczego owo, i tak bez końca. Wysiłanie się wtedy na jakiegokolwiek wyjaśnienia tylko pogarszało spra-

67

wę, bo zdaniem rodziców powinnam wiedzieć, że problemy są po to, aby je rozwiązywać. Koniec, kropka. A nawet trzy wykrzykniki.

Tak jak każdy, kto chodzi do szkoły, zajęłam się własnymi sprawami. Musiałam podciągnąć się z fizyki. Właśnie w tym czasie moje sumienie jeszcze raz zostało boleśnie poruszone, gdy niespodziewanie spotkałam na ulicy panią Kwiatowską. Z trudem ją poznałam. Ta postawna pani z tlenionymi włosami, kiedyś starannie ubrana i uczesana w wysoki kok, teraz wychudzona, posiwiała, przygaszona i szara, przypominała własną babkę.

- Dzień dobry - rzuciłam szybko i przyśpieszyłam kroku.

- Dzień dobry, Dianko - złapała mnie za ramię. Przystanęłam, a serce stanęło mi w gardle. Nie wiedziałam, czy już wie, że to ja z Sabiną zamiast na koncert zabrałyśmy Patrycję na dyskotekę. Popatrzyła mi głęboko w oczy - Dianko, powiedz mi szczerze. Proszę cię, powiedz, co mówią o zniknięciu mojej córeczki koleżanki i koledzy.

- Wszyscy są wstrząśnięci.

- To nieprawda, że ona uciekła z jakimś chłopakiem. Kochaliśmy ją nad życie i dawaliśmy wszystko, co potrzebne jest dziecku. Ochronialiśmy ją przed zepsuciem tego świata. Ona była taka czysta, taka niewinna, ona nie mogła tak postąpić. To

byłoby okrucieństwo wobec nas, a nasza Patrysia była przecież taka łagodna i posłuszna. Ona sama by tego nie zrobiła.

Pani Kwiatowską rozpląkała się.

- Każdy, kto znał Patrycję, jest zaskoczony i nikt nie wie, co na ten temat myśleć. Policja zawsze przyjmuje najprostsze rozwiązania... Ze statystyki wynika, że najczęściej młodzieży ucieka z domu z powodów sercowych, pewnie stąd takie przypuszczenie. .. Wszystko będzie dobrze, proszę pani... - plotłam jak potłuczona, jednocześnie walcząc z kulą rosnącą w gardle.

68

Nową falą ogarnęły mnie czarne myśli. Wyrzucałam już sobie nie tylko przyczynienie się do ucieczki Patrycji, ale także i to, że kiedyś o pani Kwiatowskiej myślałam z takim lekceważeniem, a oprócz wad miała przecież jakieś zalety a na pewno dobre intencje. Dotychczasowe uspokajające sumienie argumenty Sabiny mocno już wyblakły, łyzy zakreśliły mi się w oczach, już byłam gotowa płakać razem z panią Kwiatow-ską, gdy nagle... zgrzyt.

- Ja wiem, że to wszystko przez tego kocmołucha, to przez nią moja Patrysia zeszła na złą drogę...

- O kim pani mówi?

- O tej koleżance z ławki, tej Kamili, za późno interweniowałam, za późno...

- Kamila z pewnością nie zrobiła nic złego.

- Oj, naiwne z ciebie dziewczątko. Mnie wystarczy rzucić okiem, by wiedzieć, z kim mam do czynienia. To dobre ziółko, jeszcze się przekonasz. Trzymaj się od niej z daleka, radzę ci z dobrego serca.

Poczułam się tak, jakbym z pociągu z napisem Współczucie jednym susem przeskoczyła do pociągu z napisem Oburzenie. I to jadącego w przeciwnym kierunku. Stało się jasne, dlaczego komisarz Różański wypytywał o Kamilę.

- Dziękuję za dobre rady Spieszę się. Do widzenia pani - powiedziałam oschle i ruszyłam w swoją stronę.

Im bardziej oddalałam się od pani Kwiatowskiej, tym większy miałam zamęt w głowie. Jedna część mnie, mimo wszystko, rozumiała jej ból, druga złościła się z powodu jej bezpodstawnego uprzedzenia do Kamili, tym bardziej niesprawiedliwego, iż to ja z Sabiną nabroiliśmy. Gdybym zamiast asekurancko milczeć, wyznała, jak było, prawdzie stałoby się zadość; zdjęłabym oskarżenie z niesłusznie posądzanej koleżanki i pokazała tej zaślepionej kobiecie, że nieomyślność rzadko chodzi w parze z subiektywizmem.

Kipiałam z różnorodnych emocji, postanowiłam więc ulżyć sobie rozmową z Sabiną. Dobrze wiem, że nikt tak jak ona nie potrafi najgłębszych cieni przedstawić jako funkcji światła, czyli swoistą logiką rozumowania wyciągnąć mnie z psychicznego dołka.

Niestety, przyjaciółka gdzieś wybyła. Wróciłam do domu i wyzaliłam się pierwszej napotkanej za progiem osobie, czyli cioci Wandzi. Nie powiedziałam wprost, co naprawdę mnie gnębi. Z bólem serca przychodziło mi mącić w jej oczach swój wizerunek mądrej, roztropnej, dziewczynki, jej serduszka, złotka, aniołka i w ogóle cudu nad cudami.

4

Ciocia 'Wandzia

Powiedziałam mniej więcej tak:

- Spotkałam dzisiaj panią Kwiatowską. Okropnie rozpacza z powodu córki, ledwie ją poznałam, tak się zmieniła. Chwilami mam wątpliwości, czy ja i cała klasa jesteśmy w porządku.

Zniknięcie Patrycji było rzecz jasną sprawą ogólnie znaną, więc mogłam przejść do sedna sprawy bez zbędnych wstępów.

- Mój Boże, przestań się zadrećzać tym, na co nie masz, i nie mogłaś mieć, żadnego wpływu. Wrażliwość to szlachetna cecha, ale ogromnie kłopotliwa. Pamiętaj, jak się ma miękkie serce, trzeba mieć twardą... twardy tyłek. A ty i jedno, i drugie masz miękkie.

- Okropne jest, że pani Kwiatowską posądza niesłusznie jedną dziewczynę z klasy o to, że wszystkiemu jest winien jej zły wpływ na Patrycję. -Nie powiedziałam, że chodzi o Kamilę.

- Nie przejmuj się, ludzie w rozpaczy wygadują różne głupstwa.

70

Dopiero teraz dostrzegłam, że w przeciwieństwie do mnie ciocia Wandzia umie patrzeć sercem. Przecież to ona w wieczór, gdy szykowałyśmy się na sylwestra, zwróciła uwagę na skromny strój Kamili. To ona wiedziała, jak źle się będzie czuła wnicianym sweterku, granatowej spódnicy i sandałach wśród tyłu wystrojonych koleżanek. To dzięki dobremu sercu cioci Wandzi Kamila mogła przeżyć szczęśliwą noc i zdobyć serce Roberta. Dorota, Kinga i ja myślałyśmy wyłącznie o sobie.

No właśnie. Wrażliwość serca to jest to coś, co się po prostu ma. To szlachetność duszy, która nie ulega koniunkturalnym wahaniom, humorom, nastrojom, modzie, tendencjom, dyplomatycznym gierkom, rachunkom i rachubom. Ciocia Wandzia jest po prostu dobra dla wszystkich, nawet bezpańskich psów, kotów i wszelakiego ptactwa. To po prostu osoba biegunowo różna... od Kaśki Słowik.

Zaraz, zaraz. Dlaczego przeciwstawiam jej Kaśkę, a nie siebie? Też nie jestem ideałem.

Ciocia Wandzia została zatrudniona przez rodziców jako moja niania, gdy byłam jeszcze niemowlęciem. Kiedy podrosłam, została, żeby zajmować się domem.

Gotuje, pierze, sprząta, piecze ciasteczka, wyręcza, w czym tylko może domowników, jakby nieustannie odczuwała potrzebę udowodnienia, że jest niezbędna. Że bez niej dom popadnie w ruinę.

Mimo rozlicznych obowiązków znajduje jeszcze wolny czas na szydełkowanie. W tej materii posiada mistrzostwo świata. Migając szydełkiem, wyczarowuje z atłasków, muliny i kordonków firanki, obrusy serwety, serwetki, kołnierzyki, obrąbki do chusteczek, a nawet ubranka dla moich lalek, rzecz jasna w czasach, gdy się lalkami bawiłam. Niegdyś uwielbiałam jej pokój na piętrze o wiele bardziej niż mój własny, pełen pluszowych zabawek.

71

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jesteśmy cioci winni coś więcej, niżby wynikało to z przyjętej normy: kulturalny pracodawca - ceniony pracownik. Często dodawano przy tym: traktowany jak domownik. Czy na pewno?

Nie oceniam w tym zakresie mamy i taty. Płacili jej dobrze i traktowali nad wyraz uprzejmie. Ale ja? Przy zapracowanych ponad wszelką miarę rodzicach to ona zapewniała mi emocjonalną stabilizację. Opowiadała baśnie, śpiewała kołysanki, tuliła, wymyślała zabawy, robiła niespodzianki... Jakoś tak się w końcu porobiło, że z czasem do tego wszystkiego nabrałam chłodnego dystansu. Baśnie wydawały mi się coraz głupsze, piosenki beznadziejne, niespodzianki przewidywalne, przytulanie krepujące. Nawet te jej serwetki zaczęły drażnić kiczowatością.

Miałam szczęście przyjść na świat w rodzinie, w której wszyscy mnie kochają. Nie uważałam więc za nic wyjątkowego, że jestem kochana również i przez ciocię Wandzię. Dzisiaj zadaję sobie pytanie: Dlaczego?, Za co?. Do tej pory byłam obojętna na jej przeszłość, nigdy nie zapytałam o bliskich, nie przyszło mi do głowy, że mogłaby być zmęczona. Ciocia Wandzia wrosła w nasz dom jak szafa, stół, lustro w łazience... Czy ktoś docieka historii rzeczy codziennego użytku? Inna rzecz dzieło sztuki. Ciocia, niestety, przypominała tylko pożyteczne urządzenie.

Podobnie jak reszta rodziny zadawałam się przekonaniem, że ciocia Wandzia jest u nas szczęśliwa. Teraz przyszło mi na myśl zdarzenie świadczące, że chyba nie do końca. A było to tak. Ciocia nie pozwalała niczego marnować. Wszystkie ubrania przeznaczone do wyrzucenia składała w wielkich pudłach i raz na pół roku wywoziła je, jak mawiała, do rodziny na wieś. Wyjątek stanowiły rzeczy babci, które zatrzymywała dla siebie, gdyż obie z babcią są tych samych rozmiarów.

12

Z jakiegoś powodu nigdy nie pozwoliła odwieźć się tacie samochodem. Wołała z tobołami tłuc się godzinę pociągiem, potem jeszcze pół godziny autobusem. Nikt dobrze nie wiedział, gdzie dokładnie mieszka ta biedna rodzina i, szczerze mówiąc, nikogo szczególnie to nie interesowało. Jeździła, to jeździła.

Trzy lata temu ciocia po letnim powrocie ze wsi oświadczyła, że odchodzi. Na nic się zdały prośby mamy, żeby rozważyła swoją decyzję, ani taty, aby nie postępować pochopnie. Uparła się i już.

- Dość już mam wycierania cudzych kątów - mówiła niby to do siebie, ale tak, abyśmy słyszeli. - Pomogę rodzinie wykończyć dom i będę sobie żyła jak pani. Na swoim. I sad tam jest jak się patrzy, i do lasu blisko... A jakie powietrze! Rodzina to rodzina. Wszyscy mnie tam szanują.

- Czy mam rozumieć, że my cię nie szanujemy? - spytała mama z lekką nutką wyrzutu.

- Jako służąca, owszem, byłam szanowana. I tylko jako służąca.

Pizez cały dzień ciocia Wandzia się pakowała, następnego dnia koło południa pod nasz dom podjechała rozklekotana półciężarówka. Kierowca o dość prymitywnym wyglądzie żuk, bez słowa zapakował jej dobytek, po czym patrząc wrogo na tatę, spytał:

- Stryj na, czy oni wypłacili ci wszystko, jak trzeba?

- E... - zacukała się ciocia.

- Należy się trzymiesięczna odprawa. Wypłacili stryjnie? Czerwoną jak burak ciocię stać było jedynie na zaprzeczenie głową.

- Przykro mi, ale odprawa przepada w przypadku zerwania warunków wypowiedzenia umowy o pracę, co ma miejsce w tym przypadku. Do widzenia -

powiedział oschle tata.

Kierowca zaklął szpetnie i odjechał z pośpiechem, jakby gonilo go sto diabłów.

-1 co my teraz zrobimy? - zmartwiła się mama.

- Poczekamy aż Wandzia wróci - odpowiedział spokojnie tata.

Pamiętam, że w ogóle mnie nie obeszło odejście cioci, chociaż po tym dniu rzadko zdażyłam zjeść śniadanie, a na obiady musiałam chodzić do stołówki w podziemiach gmachu sądu. Do naszego, zawsze lśniącego czystością domu, zaczął zakradać się zwykły bałagan. Zatrudniona na godziny pomoc sprzątała byle jak i regularnie upijała się alkoholem z barku. Kiedy z czasem zaczęły ginąć różne drobiazgi, mama podziękowała jej za usługi i sama zajęła się domem kosztem, rzecz jasna, dyżurów w szpitalu.

Mama jest cudowna, ma sporo zalet, ale jeśli chodzi o prowadzenie domu, nie poraża talentem. Sama ma tego świadomość, więc już po tygodniu próbowała namówić babcię, żeby na jakiś czas z panem Józefem zamieszkała u nas i zajęła się kuchnią. Babcia odmówiła.

- Słoneczko, wadę pod tytułem „awersja do garów” masz po mnie. To genetyczny feler. Nie rozwiążesz problemu, sumując dwa gastronomiczne beztalencja.

Kicha. Kiedy już się wydawało, że gorzej być nie może, rodzice szukali po gazetowych anonsach jakiejś solidnej firmy sprzątajacej, zjawila się ciocia Wandzia. Siedziała pod drzwiami na walizce i już na pierwszy rzut oka było widać, że jest to powrót na tarczy Na widok mamy wybuchła takim płaczem, że mimo kropli uspokajających minęła prawie godzina, zanim się uspokoiła.

Wraz z ciocią Wandzią dom odzyskał swój dawny spokój i ład. Nikt jej o nic nie pytał. Rzekomo chcieliśmy zaoszczędzić jej przykrości. Ale tak naprawdę nikogo to nie obchodzi-

74

ło, chociaż ona każdego potrafiła wysłuchać i znaleźć dobroduszne słowa pocieszenia. Nikomu też nie przyszło do głowy że byłoby jej lżej, gdyby się komuś wyzaliła. Sama wrzucałam jej swoje kłopoty z beztraską, z jaką się wrzuca śmieci do kosza. Byle się wygadać, byle sobie ulżyć. Relacje między nami przypominały wahadło wychylone tylko w jedną stronę.

Dzisiaj zadaję sobie pytanie, dlaczego ciocia z taką cierpliwością godzi się na tę rolę? Czyżby obawiała się losu Izabeli Radoszczanki, opuszczonej, żyjącej wspomnieniami? Świat pełen jest takich Radoszczanek, które są stare, staroświeckie, gładzą, nikt nie chce ich słuchać, bo nikogo nie obchodzi, co miałyby do powiedzenia, szczególnie nam, szczytowym tworam ewolucji. Takie Izabele Radoszczanki należą do przeszłości, są zaledwie przedsiionkiem właściwych czasów, czyli naszego teraz. Myślmy, co najwyżej, o przyszłości, bo przyszłość też należy do nas, nieśmiertelnych.

Czy ciocia Wandzia przeczuwa to, co już wie pani Izabela?

Już w Nowy Rok ciocia spytała mnie, jak wypadła Kamila.

-Nieuwierzysz, ciociu, Kamila zrobiła furorę. Została nie-koronowaną królową balu. Przez całą noc obtańcowywał ją najprzystojniejszy chłopak. Niektóre dziewczyny aż skręcało z zazdrości - mówiłam. - Kamila powinna ci z tego powodu przynajmniej postawić kawę.

- Tak, tak - powtarzała. - Dobrze jest zrobić coś pożytecznego. Szczęście, które daje się innym, Pana Bóg wynagradza podwójnie.
- Od czasu jej przykrew przygody z rodziną, ciocia przestała zbierać i wozić na wieś ubrania po nas. Pakowała je w worki i wrzucała do kontenerów PCK lub odwoziła do „Brata Alberta”. Tego roku zmieniła zdanie.
- Ten kożuszek pasowałby na Kamilę - stała w garderobie nad stertą pozimowych ubrań do wyrzucenia.
- Ciekawa jestem, jak myślisz jej go dać? Powiesz: „Kamil-ko, robiłam porządek w szafie i znalazłam kilka zbędnych rzeczy, możesz je sobie wziąć”?
- Ten kożuszek jest nie tylko w doskonałym stanie, ale na dodatek bardzo ładny
- Nie zmienia to jednak faktu, że jest używany
- Przesadzasz. Jak można mieć komuś za złe, że chce się czymś podzielić?
- Ciocia pomruczała sobie coś pod nosem i już zdawało się, że temat umarł przez zapomnienie, gdy któregoś dnia zastałam ciocię nad rozłożonymi żurnalami z ręcznymi robótkami.
- Zostało mi trochę atłasku. Zrobię Kamilce szydełkiem bluzeczkę. Pomóż mi wybrać fason.
- Rozmawiałaś z nią?
- Nie. Szykuję jej paczkę na świętego Mikołaja. Dostanie bluzkę, kożuszek i może coś jeszcze.
- Przecież to dopiero za dziewięć miesięcy!
- No to będzie czas solidnie się przygotować. Uważałam, że ciocia z tym pomaganiem trochę dziwaczy.
- Ale taki typ jak ona potrzebuje kogoś, kim mogłaby się opiekować. Skoro zawiodła ją rodzina ze wsi, poszukała sobie kogoś innego. Trafiło na Kamilę.

Afera

- Ani rozmowa z ciocią Wandzią, ani autorska próba nabrania dystansu do spotkania z panią Kwiatowską nie odniosły żadnego skutku. Dręczył mnie kac moralny. Sabinę w tym czasie coraz bardziej irytowały moje wątpliwości związane z Patrycją, jej rodzicami i w ogóle całą tą historią. Postanowiłam samodzielnie uporać się z problemem. Następnego dnia, w tajemnicy przed Sabina, poszłam na komendę spytać, co nowego w sprawie Patrycji. Źle, że nie uprzedziłam komisarza Różańskiego o tej wizycie telefonicznie, gdyż właśnie wychodził.
- Przyjdę innym razem. - Zrobiłam w tył zwrot.
 - Nie ma mowy mam jeszcze trochę czasu - zapewnił mnie, zapraszając do gabinetu.
 - Wystarczy mi pięć minut. Chciałam tylko się dowiedzieć, czy są jakieś postępy w sprawie Patrycji.
 - Owszem, ustaliliśmy, że na pewno nie wyjechała za granicę.
 - Czy wiadomo, kim jest Bartek?
 - Wiadomo, ale to akurat nie ułatwia śledztwa. -IoT?
 - Na obecnym etapie nie mogę powiedzieć. - Odmowę okraślił takim uśmiechem, że znów zaczęłam się zastanawiać, czy biel jego zębów to zasługa genów, czy genialnego dentysty
 - Proszę mi powiedzieć prawdę. Czy jest chociaż iskierka nadziei, że Patrycja się znajdzie?

- Przejmuje się pani koleżanką bardziej niż inni. Niepotrzebnie się pani obwinia. Za to, co się stało, w najmniejszym stopniu nie ponosi pani odpowiedzialności - mówił dokładnie tak samo jak Sabina. Poza tym w jego ustach słowo „pani” brzmiało niczym symfonia i mimo przejęcia sprawą zostało zauważone.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, lecz prokurator powiedziałby raczej „wina nieumyślna”. Nieważne, w jaki sposób będę się pocieszała, fakty są bezlitosne. Wspominając prokuratora, miałam na myśli przyszywanego wujka, przyjaciela domu, pana Michała Stręczyńskiego,

który w kwestii różnych zagadnień prawnych często miał inne zdanie niż tata. Od niemowlęctwa osłuchiwałam się z najróżniejszymi prawniczymi terminami, szczególnie winy nieumyślnej. Wujek Michał zawsze dowodził, że to pojęcie, jak żadne inne, uczy ludzi bezmyślności. Tata stał na stanowisku, że braku wyobraźni nie można traktować z równą surowością, jak przestępstw popełnianych z premedytacją.

- Gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, położyłby się. Po prostu pewnych spraw nie sposób przewidzieć - zauważył Różański.

Bezbłędnie trafił w moje oczekiwania. Miło jest, gdy ktoś nas utwierdza w niewinności, nawet wtedy gdy sami w nią powątpiewamy. No i gdy pocieszycielem jest taki przystojniak. Jednak życie nie lubi przedłużającego się stanu zadowolenia. Już nazajutrz wybuchła następna afera. Sabinie zginęły pieniądze, które zbierała na komitet rodzicielski. Wiedziałam, jak chyba każdy w klasie, że pieniądze trzymała w beżowej saszetce z irchy. Tego dnia na długiej przerwie przyszła Natal-ka, aby zapłacić, Sabina sięgnęła do plecaka i stwierdziła, że saszetka znikła.

- Nie wygłupiajcie się! Kto mi zrobił głupi kawał?! - krzyknęła tak, aby ją wszyscy słyszeli.

- Jaki kawał? - zainteresował się Jarek.

- Ktoś mi podprowadził pieniądze. Zapadła cisza jak makiem zasiał.

- E tam, poszukaj dobrze - poradziłam jej. Nie chciałam uwierzyć, by coś takiego mogło mieć miejsce w naszej klasie.

Sabina wyrzuciła całą zawartość plecaka na ławkę. Rzeczywiście, wśród książek i zeszytów nie było saszetki.

- Może gdzieś wypadła?

Rzuciliśmy się na poszukiwanie. Zaglądaliśmy wszędzie, gdzie tylko możliwe - bez rezultatu. Jak kamień w wodę. Zrobiło się ponuro jakwrodzinnym grobowcu. Podejrzany mógł być każdy. Na trzeciej przerwie Dorota znalazła saszetkę upchniętą za kaloryferem w damskim sanitariacie. Niestety pustą.

- Proponuję, aby osoba, która rąbnęła forszę, po prostu ją oddała. Zapewniłam stuprocentową dyskrecję - zaapelowała do klasy Sabina. Nikt się nie zgłosił. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak rozwiązać ten problem. Pieniądze należało wpłacić na konto komitetu, a Sabina nie miała ani grosza. Jak zwykle w takich przypadkach, klasa podzieliła się na kilka obozów. Jedni uważali, że należy zamknąć salę i zrewidować wszystkich, - drudzy że zawiadomić dyrektora i policję; jeszcze inni, a była to grupa najmniej liczna, że trzeba ponownie zebrać składki i dopiero potem szukać złodzieja. Ostatnia propozycja wywołała burzę protestów. Powstał taki rejwach, że ściągnęło to Lilię. Od słowa do słowa kradzież wyszła na jaw. A

wiadomo, że jak do czegokolwiek wkroczy wychowawca klasy sprawa nabiera zupełnie innego wymiaru. Po ostatniej lekcji musieliśmy zostać godzinę dłużej. Lilia pierwszą połowę tego czasu poświęciła na wykład o uczciwości, drugą połowę - na nawracanie tajemniczego złodzieja na drogę cnoty. Użyła nawet tego samego argumentu, co Sabina.

-Proponuję, aby osoba, która wzięła pieniądze, przyniosła je do mnie. Gwarantuję jej absolutną anonimowość. Jestem przekonana, że impulsem do tego czynku była chwila słabości. Każdy w życiu popełnia błędy, lecz honor wymaga te błędy naprawić.

Odwołanie się do honoru niczego nie dało. Efekt był żaden. Za to ujawniło się ze dwudziestu klasowych detektywów, którzy wszczęli wewnętrzne dochodzenie. Najpierw dokładnie ustalono, kto po kim i przed kim wpłacał pieniądze. Wyszło, że pierwszy pieniądze wpłacił Robert, ostatnia - Kinga.

Tyle. Potem zaczęły się paskudne szeptania. W wąskich grupkach dzielono się swoimi uwagami i podejrzeniami. Następnego dnia podeszła do Sabiny Natałka i oznajmiła, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. W wielkim sekrecie oczywiście.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że podzielę się tą informacją z Dianą? - spytała Sabina.

- Skądże. Dianie też mogę powiedzieć.

Wyszliśmy na korytarz i znalazłyśmy wmiarę spokojny kąt.

- Nie złapałam tej osoby za rękę, ale pewne podejrzone fakty mówią same za siebie. - Nadstawiłyśmy uszu. - Bo pomyślcie sobie, jeśli ktoś nie miał kasy, a teraz ma, o czym to może świadczyć?

- Retoryczne pytanie. Do rzeczy Natałka - niecierpliwiła się Sabina.

- Wszystko wskazuje na Kamilę. Trzeba by ją zapytać, skąd miała forszę na nowe ciuchy

- Wiem skąd i zapewniam, że nie z kradzieży. Poza tym pieniądze zginęły wczoraj, a Kamila ma nowe rzeczy już od jakiegoś czasu - stanęłam w obronie Kamili, ale nie przekonało to Natałki.

- Sabina nie musi być pierwszą ofiarą.

- Masz na to jakieś dowody?

- Dianko, nie jestem taka naiwna, jak sądzisz.

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o co.

Uraczywszy mnie ironicznym półuśmiechem, odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Rozumiesz coś z tego? - spytałam Sabinę.

- Myślę, że Kamila mogłaby to zrobić.

- Przestań się wygłupiać. Przecież wiesz, że zarobiła te pieniądze u mojego taty

- Wiem, ale jedno nie wyklucza drugiego, jednak wstrzymam się z działaniem. Na jakiś czas.

Podejrzenie rzucone przez Natałkę na Kamilę wydały mi się niedorzeczne. O wiele ciekawsze były jej skrywane pretensje do mnie - ani nie konkurowałam z nią strojami, ani nie interesowałam się tym samym chłopakiem... To, co jej odbiło, przekraczało moje zdolności dedukcyjne.

Czas pokazał, że Natałka podzieliła się swoimi spostrzeżeniami nie tylko z nami. Po

dwóch dniach raz po raz ktoś podchodził do Sabiny, aby powiedzieć w wielkiej tajemnicy, że pieniądze prawdopodobnie ukradła Kamila. Jedni mówili, że słyszeli, inni, że ktoś widział, jeszcze inni, że sama się chwaliła. Było jasne - bez żadnego dowodu winy klasa już ją osądziła. Pierwsi dali to Kamili odczuć Tolo i Rombo. Kiedy się zbliżała, wołali: „Uwaga!”, po czym wymownie łapali się za kieszenie.

- Przesadzają, idioci - powiedziałam któregoś dnia do Sabiny.

- Nie jestem o tym przekonana.

- Ty też podejrzewasz Kamilę?

- Fakty są bezlitosne. Pomyśl, kto z naszej klasy ryzykowałby kradzież?

Zdecydowana większość ma dzianych rodziców. Są tylko dwie osoby, które miałyby motyw. Pierwsza to pazera - Kaśka Słowik, druga to ta dziadówka - Kamila Rutka.

Kaśkę trzeba wykluczyć, bo od tygodnia jest na zwolnieniu lekarskim. Kto zostaje?

Wiesz, co jeszcze myślę? Forsy od twojego ojca użyła jako zasłony dymnej dla prawdziwego skoku na kasę. Na pytanie: „Skąd masz pieniądze?” odpowie:

„Zarobiłam”.

- Kradzież chyba nie leży w jej charakterze - zaprzeczyłam.

- Cicha woda brzegi rwie, jak mówi przysłowie. To cwa-niara. Radzę ci nie brać jej tak żarliwie w obronę, bo jak wreszcie sprawa się rypnie, będzie ci głupio, że trzymałaś stronę złodziejki.

81

Niechętnie, bo niechętnie przyznałam rację Sabinie, tym bardziej że sama Kamila nie robiła nic, żeby się bronić. Siedziała w tej swojej ostatniej ławce jakaś taka skulona, jeszcze bardziej szara, bez wyrazu. Nie wychodziła nawet na przerwach, żeby wyprostować nogi. Jej pokorna postawa nie rozbroiła podejrzeń. Gorzej. Dla Natalki był to ewidentny dowód nieczystego sumienia.

- Siedzi jak zbity pies, nie ma nawet odwagi spojrzeć nikomu w oczy - triumfowała.

Nie pamiętam, jak się wtedy zachowywał Robert. Pewnie nijak. Podobnie jak ja nabrał wody w usta i czekał, co z tego wyniknie. Kilka dni później Kamila przestała chodzić do szkoły. Była przekreślona. Już się wydawało, że intuicja klasy zatriumfowała, poszlaki wystarczająco potwierdziły winę, a wyrok się uprawomocnił, gdy nagle wszystko stanęło na głowie. A było to tak. Wieczorem do mojego domu przyszła Gośka Skórka. Była mocno zażenowana.

- Przysięgnij mi, że to, co ci powiem, zostanie naszą wielką tajemnicą.

- Przysięgam.

- Nie wygadasz się nawet przed Sabiną?

- Jak ci na tym zależy, to nie. Przysięgam.

- Ja ukradłam te pieniądze! - wyrzuciła z siebie i wybuchła płaczem. .

Gośka

O Goście Sabina mówi, że ma ona głowę zakręconą jak słoik na zimę. Oznacza to umysłowość wyjątkowo odporną na wiedzę. Gośka niczego nie potrafi powiedzieć własnymi słó-

wami. Każdą lekcję wkuwa na pamięć, a potem, wyrwana do odpowiedzi, recytuje z zamkniętymi oczami. Nie daj Bóg jej przerwać. Traci wątek i żeby kontynuować, musi zaczynać od początku. Często, gęsto łapała pały, jednak nauczyciele doceniali jej pilność i zawsze jakoś spadała na cztery łapy. Nawet Karski dawał jej taryfę

ulgową, ponoć z podziwu dla pojemności jej pamięci zdolnej zgromadzić tyle niezrozumiałej wiedzy.

Gośka, mimo pełnej głowy reguł i regulek, nie rozumiała nawet najprostszych pojęć, chociażby zasady przystawiania trójkątów czy korelacji sinusa z cosinusem. To tak, jakby właściciel hurtowni butów nie odróżniał trampek od botków. Ba, gorzej, to jakby mając na składzie same botki, nie potrafił powiedzieć, dlaczego lewy but pasuje na lewą nogę, a prawy na prawą.

Nie przesadziłam. Pamiętacie taką dziecięcą wyliczankę: ene due like fake...? Na pewno tak, ale czy potraficie powiedzieć, co te słowa znaczą? Nie! I tak było z Gośką. Matematyka, fizyka, chemia były dla niej wyliczankami, zbiorami niezrozumiałych słów.

Gdy fizyki zaczęła nas uczyć Szprycha, los Gośki zdawał się być przesądzony. Fizyczka nawet gdyby nie nazywała się Szprycińska i tak nie ustrzegłaby się takiej ksywy. Po pierwsze, była wysoka i chuda, po drugie, wyjątkowo ostra, a do tego miała urodę czarownicy z baśni dla dzieci.

Szprycha sprawiała wrażenie, że kocha fizykę i nie znosi uczniów. Sypała pały jak z rogu obfitości. Nie tylko za brak wiedzy, ale i za inne potknięcia. Tylko nieliczni wyszli z tego obronną ręką. Fizyka stała się naszym przekleństwem. Zaczęliśmy zakuwać aż miło, Gośka pięć razy więcej, lecz nie potrafiła zasłużyć sobie nawet na marną trójczynę. Pierwszy raz wyrwana do odpowiedzi padła jak kawka.

Wyrecytowała pół roz-

działu o energii kinetycznej, po czym zacięła się i ani be, ani me. I się zaczęło.

- Twoją percepcją powinien zająć się specjalista - powiedziała ze zjadliwym uśmiechem Szprycha, stawiając pałę. Pałę zarobił również Jarek za podpowiadanie.

- Gośka prędzej dostanie żylaków na mózgu, niż cokolwiek zatrybi z nauk ścisłych - skwitował potem wściekły, gdyż pała psuła mu średnią.

Tydzień później historia powtórzyła się jota w jotę, tylko nikt już nie podpowiadał - ryzyko było zbyt wielkie, a efekty gorzej niż mizerne.

- Jesteś rzadkim przypadkiem psychiatrycznym, nie rozumiesz tego, co mówisz - drwiła bezlitośnie fizyczka.

I tak mniej więcej przez cały czas. Gośka traciła nadzieję, że wyjdzie cało z tej intelektualnej młockarni. Niespodziewanie, jakby coś ją odmieniło. Zaczęła odpowiadać bardziej sensownie, a nawet poprawiać stopnie.

- No, widzisz, Skórkówna, jakie to proste? Wystarczy skorzystać z szarych komórek - skomentowała ten przyływ talentu Szprycha.

Prawda była o wiele bardziej skomplikowana, lecz o tym przekonałam się dopiero po wyznaniu Gośki.

- Jestem nieudany egzemplarzem. Nie nadaję się do tej szkoły, ale rodzice tak zdecydowali. Nie tylko nie mam głowy do nauki, lecz jeszcze nie umiem rodzicom się postawić. Miałam cichą nadzieję, że jakoś przetrwam te trzy lata. Ale gdzie tam. Kułam, kułam i nic.

- Przesadzasz, ostatnio idzie ci trochę lepiej. -Bzdura. Sponiewierana przez Szprychę, skapitulowałam.

Pomyślałam sobie, że oprócz Szprychy uwali mnie jeszcze Karski z matmy i wreszcie wylecę z budy Przetrzynam jakoś domową awanturę i będę miała wreszcie

święty spokój. Położy-

łam na nauce lagę, wtedy zbajerował mnie Przemek Szweda, że jest prosty sposób na moje kłopoty. Dał mi działkę... Za darmo. Mówił, że mnie lubi i... w ogóle. Pomogło. Nagle zaczęłam kapić, co czytam, a przy odpowiedziach nie miałam w głowie wielkiej czarnej dziury. To działało, więc zaczęłam regularnie brać. Wtedy skończyła się darmochą, Przemek kazał sobie płacić. Płaciłam, bo co miałam robić? Ostatnio, gdy byłam na głodzie, Przemek poznał mnie z jakimś obleśnym paździenikiem i powiedział, że jak będę dla niego miła, to facet będzie za mnie wykladał kasę. Narkotyki? W naszej szkole? Byłoby hipokryzją twierdzić, że nie wiem nic o handlu narkotykami. Wszyscy wiedzieli, gdzie je można kupić. Ale uważałam, że nie dotyczy to naszej szkoły, która przypominała twierdzę - korytarze, szatnie, teren dookoła budynku monitorowane kamerami, przy bramie ochroniarze, przy wejściu do budynku uważny stróż, na każdym piętrze podczas przerw dyżurny nauczyciel. Do tego na lekcje wychowawcze raz po raz zapraszano prelegentów, którzy mówili o szkodliwości ćpania, uczyli asertywnych zachowań w kontaktach z dealerami narkotyków i tym podobne. Wszystko to nie uchroniło Goški.

Trudno też było uwierzyć, że narkotykami handlował Przemek. Owszem, pozował na twardziela, luzaka i playboya, uczył się kiepsko, ale nie musiał dorabiać w ten sposób. Jego ojciec jest właścicielem największej w mieście firmy budowlanej, co roku zabiera rodzinę na dwutygodniowe wczasy gdzieś w tropiki. Na markowe ciuchy i rozrywki też nie skąpi, więc trudno było zrozumieć, skąd u tego głupka taki pomysł. Jak chciał podnieść sobie poziom adrenaliny we krwi, mógł skakać na bungee. Byłoby bezpieczniej.

Przyszło mi do głowy, że być może to Jarek zainspirował Przemka do udowodnienia, że sam, bez pomocy ojca, potrafi

85

robić kokosowe interesy A było to tak. Siostra Przemka na osiemnaste urodziny dostała skodę fabię, on sam miał obiecane alfa romeo, jeśli tylko zda maturę i zapisze się na studia. Bardzo go to rajcowało i rozpowiadał o tym na lewo i prawo. Dodawał przy tym lekceważąco:

- Samochód wart jest pofatygowania się na jakąś uczelnię, najlepiej daleko od domu, ale jeśli nawet nie uzyskam dyplomu, i tak będę dyrektorem w firmie staruszka.

- Wątpię, nadajesz się co najwyżej na operatora łopaty Twój staruszek wygląda na łebskiego faceta i pewnie dobrze wie, ile jesteś naprawdę wart, dlatego stosuje te wszystkie kosztowne zachęty Ale jeśli nawet zaślepiła go ojcowska miłość, przejrzy na oczy - wygarnął mu Jarek pewnego dnia.

Przemek wyzwał Jarka od jajogłowych parszywców, Jarek Przemka od palantów i na tym się skończyło.

- Co bierzesz?

- Amfetaminę.

Do tej pory narkomanów wyobrażałam sobie jako skapca-niałych abnegatów wegetujących gdzieś na marginesie normalnego społeczeństwa. Tymczasem siedziała przede mną delikatna, zadbana koleżanka z klasy i wyznawała, że jest ćpu-nem.

- Muszę się z tego wyplątać, bo zaczynam tracić nad sobą kontrolę. Najpierw

wyciągałam od rodziców po parę złotych, niby to na pomoce naukowe, składki i co tam jeszcze mogłam wymyślić. Potem podkradałam im najpierw drobne, potem coraz wyższe kwoty ukradłam bratu pieniądze, które składał na rower, a teraz Sabinie składki.

- Zwrócisz pieniądze i będzie po sprawie.

- Oddam co do grosza i zrobię coś więcej. Po wakacjach nie wrócę do szkoły

- Nie wygłupiaj się. Spróbuj jakoś dociągnąć do matury

- Wykluczone. Zawsze chciałam być projektantką mody, tak jak siostra Natałki. Nic z tego. Starzy napalili się na liceum, i to renomowane, jak szczerbaty na suchary.

Gdybym chociaż zdawała egzamin wstępny, dostałabym kilka pał i pozamiatane. Ale nie. Oni zaczęli ciągać mnie po różnych psychologach, psychiatrach, specjalistach od świrów, czubków i szajbusów, aż wreszcie wychodzili świstek, że cierpię na dys-grafię i dys... coś tam. Dzięki temu głupiemu świstkowi wcisnęli mnie do szkoły na skróty Bez egzaminu. Kapujesz?

- Chcieli dla ciebie jak najlepiej.

- Guzik prawda. Kierowały nimi wyłącznie chorobliwe ambicje. Siostrzenica mamy, Ala - na medycynie w Warszawie, siostrzeniec Darek - na Politechnice Śląskiej, bratanek taty, Maciek - kończy marketing i zarządzanie w Lublinie, a chrześniak Grzesiek po akademii rolniczej odbywa praktykę w Anglii. Nie mogli być gorsi w tej tresurze szczerów wyścigowych.

- Przesadzasz. Moi rodzice ciągle powtarzają, że skończyła się arystokracja rodowa, idzie czas arystokracji profesjonalistów. Musimy się uczyć, jeżeli chcemy wprzyszłości coś znaczyć. I ja się z nimi zgadzam.

- Ja też - przytaknęła mi niespodziewanie Gośka. - Chcę zostać dobrą projektantką mody zamiast mierną księgową czy farmaceutką. Chcę projektować i szyć ciuchy, po które będą się ustawiać kolejki w Warszawie, Rzymie i Londynie. Już teraz szyłabym dla siebie, gdybym miała maszynę do szycia, ale mama mówi, że na maszynę szkoda pieniędzy, bo zanim nauczę się szyć, zmarnuję mnóstwo materiału i czasu. Taniej jest kupić w sklepie.

- Próbowowałaś z nimi rozmawiać?

- Oni nie widzą we mnie osobnego człowieka. Jestem dla nich tylko po to, aby spełnić ich oczekiwania. Zrealizować marzenia, których sami nie zrealizowali, bo im się nie chciało. A mnie ma się chcieć, choćby po trupach. Bo oni kiedyś nie wiedzieli, a teraz zmądrzeli, i już wiedzą, jak nie zmarnować życia. Nie mogą chwalić się sobą, więc będą się chwalić dziećmi. Paranoja. A tam, gdzie jest paranoja, tam brak płaszczyzny do dyskusji.

- Zrobisz, jak będziesz uważać - powiedziałam, bo tak naprawdę, nie wiedziałam, co jej poradzić.

- Tylko proszę, nie wysyp mnie. Nie przeżyłabym tego. I przeproś Sabinę - wyjęła z plecaka kopertę. - Przelicz.

- Daj spokój. Wierzę ci na słowo. Zadam ci jedno niedyskretne pytanie: w jaki sposób zdobyłaś pieniądze?

- Nie pytaj - Gośka poczerwieniała jak piwonია. - Ale przysięgam, nie ukradłam. Jeszcze raz ją zapewniłam, że słowa dotrzymam. Byłam zadowolona. Tymczasem okazało się, że za wcześnie odtrąbiłam happy end.

Troblem goni problem

Nazajutrz w drodze do szkoły powiedziałam Sabinie, że pieniądze się znalazły Co do grosza.

- Jakim cudem?

- Jedna dziewczyna z naszej klasy przyniosła mi do domu.

- Znalazła? -Ukradła. -Kto?

- Wybacz, przysięgam dyskrecję.

- Rozumiem, ale swojej najlepszej przyjaciółce możesz powiedzieć. Zostanie to między nami.

- Obiecałam, że tobie też nie powiem.

Sabina aż przystanęła z wrażenia.

- Nie wygłupiaj się.

- Naprawdę, nie pisnę ani słowa. Zrozum...

- Nie musisz nic mówić. Spróbuję zgadnąć, a ty tylko skinij głową. Kamila?

- Nie. Daj sobie spokój, nie będę stosowała żadnych sztuczek, żeby obejść przyrzeczenie. Słowo to słowo. Nie powiem i już.

- Więc wolisz trzymać ze złodziejką, tak?

Sabina wyrwała do przodu i pędem pobiegła do szkoły Przez całe lata nasza przyjaźń przebiegała bezkonfliktowo. Aż do tego dnia. Kiedy weszłam do klasy, siedziała już w ławce z miną urażonej księżniczki, w której towarzystwie ktoś puścił baka.

Położyłam przed nią kopertę z pieniędzmi.

- Przestań się dąsać.

- Powiedz to, co chcę wiedzieć, i będziemy kwita.

- Nie mogę.

W odpowiedzi Sabina tylko wzruszyła lekceważąco ramionami i stanawszy na ławce, zwróciła się do klasy:

- Uciszcie się na chwilę. Chciałam was poinformować, że pieniądze się odnalazły Nie pytajcie, jakim cudem, bo złodziej, a właściwie złodziejka pozostała anonimowa.

Wrażenie, jakie zrobiła anonimową złodziejką, wywołało nową falę spekulacji. Już wkrótce wszyscy wiedzieli, że to ja kryję złodziejkę. Na nic się zdały moje wyjaśnienia. Zdecydowana większość uważała, że słowo dane osobie, która wyciąga łapę po cudze, można bez uszczerbku dla własnego honoru złamać.

- Stawiasz nas w idiotycznej sytuacji - tłumaczyła mi słodkim tonem Natałka, jakbym była niedorozwiniętym umysłowo dzieckiem. - Teraz każdy może podejrzewać każdą i nikt nie będzie pewien, przed którą ma się strzec.

Gośka nie brała udziału w dyskusji. Siedziała w swojej ławce blada jak ściana, rzucając mi od czasu do czasu błagalne spojrzenia. W mojej obronie otwarcie stanął tylko Jarek.

- Gadasz głupoty. Jeżeli zapewnienie dyskrecji było warunkiem odzyskania forsy to Diana postąpiła słusznie. Każdy kto ją za to potępia, jest skończonym debilem.

- Masz rację - przyznała niespodziewanie Natałka. - Nie musi mówić, kto kradnie, bo my już od dawna dobrze to wiemy

- Jesteś w błędzie, ale to już twój problem, nie mój - powiedziałam tonem oznaczającym koniec dyskusji. Chciałam, żeby cała ta awantura wreszcie się skończyła, a moja najlepsza przyjaciółka zaczęła się do mnie odzywać.

Spełniło się tylko w połowie - klasa przestała mówić o anonimowym złodzieju. Sabina nadal ignorowała moje przeprosiny przybrałam więc postawę obojętną, wierząc, że kiedyś przecież musi jej przejść. Na razie na każdej przerwie wychodziła na korytarz, żeby spotykać się z Artkiem Pieczką z Illb.

Kamila nadal nie przychodziła do szkoły. Postanowiłam dowiedzieć się, dlaczego tak jest. Podeszłam na jednej z przerw do Roberta i spytałam, czy wie, co się dzieje z Kamilą.

- Nie wie i nie zamierza się dowiadywać - odpowiedziała zamiast niego Natalka, która nagle wyrosła jak spod ziemi i uwiesiła się na jego ramieniu.

Sposób, w jaki zawłaszczwała Roberta, odślaniał jej drugie oblicze. Natalka, ten niby śliczny, słodki cukiereczek, który chciałoby się schrupać, ten lizaczek w sposobie bycia tak naprawdę był taką złotą, wredną zmijką.

Ponieważ Robert milczał, odstąpiłam od drażenia tematu i zadzwoniłam do niego wieczorem. Powtórzyłam pytanie.

- Nie wiem, Dianko, naprawdę nie wiem, co się dzieje z Kamilą. Nie widuję się z nią poza szkołą.

-Znasz jej adres?

- Nie znam.

- Uważam, że powinniśmy jakoś ją odnaleźć. Jak ustalę, gdzie mieszka, pójdziesz do niej ze mną?

- Dlaczego ja?

- A dlaczego nie? Odniosłam wrażenie, że przez jakiś czas chodziliście ze sobą.

- Och, Dianko, zostawmy ten temat.

- No dobrze, pójdę z Jarkiem.

Uzyskać adres Kamili mogłam tylko od wychowawczynie klasy. Lilia pochwaliła mój zamiar.

- Bardzo mi się podoba twoje zainteresowanie koleżanką. Do tej pory Kamila nie dostarczyła żadnego usprawiedliwienia, to do niej niepodobne. Po historii z Patrycją Kwiatowską następny podobny przypadek chyba by mnie zabił. Wybierasz się sama?

- Nie. Z Jarkiem Starskim.

- Bardzo dobrze - otworzyła dziennik i na kartce zapisała nazwę ulicy, numer domu i mieszkania. - Jak już się czegoś dowiesz, przyjdź do mnie do pokoju nauczycielskiego.

Tego dnia Jarek miał jakieś dodatkowe zajęcia, więc umówiliśmy się na następny dzień.

Spacer, którego nie powinno być

Po południu wybrałam się z psem na spacer. Mój pies, rasa bemeńczyk, wabi się Napi i jest prezentem od babci. Od zawsze, przy każdej okazji dostawałam od niej książki albo albumy malarstwa. Myślałam, że ten zwyczaj utrzyma się do końca życia, tymczasem trzy lata temu, na czternaste urodziny, dostałam śliczną, puszystą kulkę z różowym noskiem. Teraz piesek szczyci się siedemdziesięcioma kilogramami wagi

91

i basem tak głębokim, jakiego nie jest w stanie wydobyć z siebie żaden śpiewak operowy Szczeka z rzadka i oszczędnie. Przy takiej posturze jedno jego grzmiąco-dudniące „hau” budzi większy respekt niż cała sfera ujadających psów Ale to pozory.

Tak naprawdę Napi jest z natury barankiem i nałogowym pieszczochem. Żeby nie wiem jak się starać, wciąż ma niedo-głaskany któryś bok, grzbiet, łeb lub tyłek. Ulubionym zajęciem Napiego są powitania. Wystarczy na dwie minuty wyjść do łazienki, zniknąć za szafą, za stołem, za drzewem, by uznał to za powód do witania się z całym psim ceremoniałem.

Wybraliśmy się „Pod Kasztany”, tak potocznie nazywano park urządony na niegdysiejszych wałach otaczających fosę szesnastowiecznego zamku od południa. Za fosą ciągnie się zamkowy mur, po przeciwnej stronie, kilka metrów niżej trawiasty plac. Stare kasztany tworzą alej kę biegnącą wierzchem wałów. Często chodzę tędy na skróty do babci, i drogą okrężną (chodziłam) z Sabiną ze szkoły do domu, no i rzecz jasna z psem na spacer

Szłam sobie niespiesznie, dając Napiemu czas na dokładne obwąchiwanie poboczy. Od czasu do czasu przysiadywa-łam na którejś z ławek, próbując zappełnić czas lekturą „Erosa na Olimpie” Parandowskiego, lecz to nie to samo, co rozmowy z Sabiną. Mniej więcej po godzinie dotarliśmy do końca alejki i z równą powolnością ruszyliśmy z powrotem do domu. W połowie drogi usłyszałam zza pleców:

- Dzień dobry pani.

Głos należał do komisarza Różańskiego. Był na sportowo, w adidasach i niebieskim dresie.

- Dzień dobry

- Ładny piesek. - Bez strachu poczochnął go po głowie. - Jak się wabi?

- Napi.

92

- O, ma imię indiańskiego boga złodziei.

- Zaaresztuje go pan z tego powodu?

- Na razie nazewnictwo psów nie podlega paragrafom kodeksu karnego. -

Uśmiechnął się, pokazując tę intrygującą biel zębów.

Z bliska rozstrzygnęłam ostatecznie - zęby ma własne. Takie uzębienie można by wystawiać j ako wzorzec w Międzynarodowym Biurze Miar i Wag w Sevres pod Paryżem. Pewnie wie o tym i dlatego tak często się uśmiecha. Wyobraziłam sobie, jak o szóstej rano, w samych bokserkach stoi przed lustrem i studiuje uśmiechy, półuśmiechy, ćwierćuśmiechy... Potem idzie do komendy, siada za biurkiem i każe sobie przyprowadzić do rozpracowania jakąś zatwardziałą bandytkę. Przyprawiają jedną z tych, dla których kodeks karny jest za krótki, i ta upadła kobieta olśniona jego promiennym uśmiechem pada na kolana, wyznaje mu wszystkie przewiny i bijąc się w pierś, przyrzeka dozonną poprawę. Istne чудо! Wróciłam do rzeczywistości.

- Uprawia pan jogging?

- Zawodowa konieczność.

- Przyjemniej byłoby biegać z psem.

- Miałem wilczura, zdechł ze starości.

- Jak się nazywał?

- Major. Za jakiś czas sprawię sobie następnego, chociaż nie wierzę, aby mógł być równie mądry jak ten, którego straciłem.

- Jeżeli chodzi o mądrość mojego psa, nie wiem, co o niej myśleć. Żeby jakoś zapanować nad jego żywiołowym usposobieniem, chodziłam z nim do szkoły tresury

Przez cały czas był najlepszym uczniem. Treser nie mógł się go nachwalić za pojętność, zdyscyplinowanie i chęć do nauki. Niestety egzamin oblał z kretesem.

93

- Pewnie zjadła go trema. Psem też to się zdarza.

- Raczej wzięła górę chęć do popisów. Zachowywał się, jakby występował na cyrkowej arenie. Komisja egzaminacyjna nie wykazała żadnego zrozumienia dla jego aktorskich zdolności. Nie zdobył ani jednego punktu. Wstyd przyznać, nikt w naszej rodzinie nie dostał tak kompromitującej pały

- Czy pamięta, czego się nauczył?

- A tak. Najlepiej wszystko sobie przypomina, kiedy czegoś chce. Wtedy z własnej inicjatywy podaje lewą łapę, prawą łapę, siada, leży, waruje... Udaje gorliwca nad gorliwcami. Jest przy tym jedna rzecz godna najwyższego uznania, potrafi godzinami chodzić przy nodze.

- Zasłużył sobie na miano niedyplomowanego geniusza indywidualisty - pocieszył mnie, komplementując Napiego.

- Super, odpuszczę mu wreszcie ten publiczny blamaż. A jaki był pański Major?

- Był dobrze wyszkolonym psem policyjnym. Z pewnych względów musiał przejść do cywila, lecz tego, co potrafił, nigdy nie zapomniał. - W ciągu najbliższego kwadransa poruszyliśmy chyba wszystkie zagadnienia z dziedziny kynologii.

- Siądźmy na chwilę, muszę odsapnąć - zaproponował niespodziewanie, pomimo iż na jego twarzy nie dostrzegłam śladu zmęczenia.

Usiedliśmy na najbliższej ławce. Była to doskonała okazja, żeby zmienić temat.

- Skorzystam z okazji i spytam, czy są nowe informacje o Patrycji Kwiatowskiej.

- Są. Ustaliliśmy miejsce jej pobytu. Nie chce wracać do rodziców, lecz będzie musiała. Do pełnoletności nie może sama decydować o sobie.

Nie wiedziałam, cieszyć się czy zmartwić? Rzecz wymagała przemyślenia. Na razie spytałam:

- Czy miejsce jej pobytu jest objęte tajemnicą?

- Została znaleziona w jednym ze schronisk w Bieszczadach.

- Z Bartkiem?

- Być może. Jest z nią jakiś chłopak.

W tej chwili uświadomiłam sobie, że komisarz Różański podoba mi się prawie tak samo, jak profesor Karski. To już drugi! Czyżbym miała wrodzone skłonności do starszych facetów? Jeśli tak, czekała mnie trudna przyszłość. Kiedy dojrzeję wreszcie do zameścia, z kandydatów pozostaną same niedobitki. Być może nawet Karski się ożeni. Komisarz Różański również, choć nie wiadomo, czy już nie był żonaty, mimo braku obrączki.

Fajnie nam się rozmawiało. I długo. Nawet Napi zmęczył się bieganiem i leżał obok naszej ławki z wywieszonym ozorem.

Kiedy wróciłam do domu, już w drzwiach ciocia Wandzia powiedziała, że była u mnie Kamila.

- Dawno?

- Dziesięć minut temu. Prosiłam, żeby zaczekała, mówiłam, że lada moment wrócisz, ale poszła sobie.

- Trudno. Jutro będę u niej. Prosiła, żeby coś powtórzyć?

- Nic. Nic a nic.

Pobiegłam do swojego pokoju. Normalnie, to znaczy gdybym była z Sabiną w dobrej komitywie, natychmiast zadzwoniłabym do niej z nowiną o Patrycji Kwiatowskiej. A tak... Usiadłam do komputera, by zajrzeć do skrzynki pocztowej i sprawdzić, czy może Sabinie minął zły humor i wyciągnęła rękę do zgody. Przecież racja była po mojej stronie. Słowo to słowo. Do siebie mogłam co najwyżej mieć pretensję, że nie wydusiłam z Gośki zgody na wtajemniczenie w sekret Sabiny. W końcu to ona była skarbnikiem, odpowiadała za kasę

95

i ją najdotkliwiej dotknęła kradzież. Postanowiłam jeszcze raz porozmawiać z Goską. Sabina nie napisała ani słowa.

Śmierć JCamili

Nazajutrz niespodziewanie na pierwszą lekcję, a była to matematyka, zamiast Karskiego do klasy weszli wychowawczynie i dyrektor szkoły. Oho, na coś się zanosilo. Lilia miała czerwone od płaczu oczy. Bazyliszek był posepny bardziej niż zwykle. Wstaliśmy.

- Usiądźcie, pan dyrektor ma wam do zakomunikowania przykrą wiadomość - powiedziała Lilia, z trudem powstrzymując łzy

- Wiadomość jest więcej niż przykra. Wczoraj wieczorem, dokładnie o godzinie dwudziestej trzydzięci, zginęła uczennica naszej szkoły wasza koleżanka, Kamila Rutka. Wypadła z okna jedenastego piętra. Podejrzewane jest samobójstwo.

- Po klasie przebiegł szmer niedowierzania, tymczasem dyrektor ciągnął dalej: - Przyczynę tego desperackiego czynu ostatecznie wyjaśni dochodzenie. Łączę się z wami w bólu po stracie koleżanki. - Przerwał, odchrząknął i kontynuował:

- Mimo tragedii ciężą na nas wszystkich obowiązki. Naszą powinnością jest pomóc w wyjaśnieniu okoliczności tego wypadku, dlatego będzie z wami rozmawiał oficer śledczy. Apeluje do sumienia każdego z was, jeśli ktokolwiek posiada jakąkolwiek informację, która byłaby pomocna w wyjaśnieniu okoliczności tej tragedii, proszę ją ujawnić panu śledczemu.

Dorzucił jeszcze kilka nic nieznaczących zdań i wyszedł. Zapadła grobowa cisza.

Sabina przygryzając dolną wargę, wbiła

tępo wzrok w pulpity. Rozejrzałam się po klasie - Robert wsparł nisko pochylone czoło na dłoni, jakby chciał ukryć oczy, Na-talka nerwowo przygryzała kciuk, Gośka otworzyła z wrażenia usta i zapomniała je zamknąć, Dorota skuliła się tak, że omal nie znikła pod ławką, Kinga płakała cicho z twarzą ukrytą w zgiętym łokciu, Jarek ze ściągniętymi brwiami patrzył nieruchomo przed siebie. Nawet Rombo, Tolo i Przemek zapomnieli o swoich pozerskich minach i oklapli, jakby zeszło z nich powietrze. Każdy na swój sposób zmagając się z traumą, która spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Zadawaliśmy sobie pytanie: „Dlaczego?”.

Ciszę przerwała Lilia. Po wyjściu dyrektora całkowicie puściły jej nerwy. Nie powstrzymywała już łez.

- Jestem zdruzgotana tym, co się przytrafiło Kamili. Czy ktoś z was, tak na gorąco, potrafi ten fakt jakoś zinterpretować? Kamila żyła wśród was, była waszą koleżanką, czy ktokolwiek poznał ją bliżej? - Zrobiła długą pauzę w nadziei, że ktoś się zbierze

w sobie i zechce coś powiedzieć. Nikt się nie odezwał. - Naprawdę nikt nic nie wie? Nie uwierzę. Ty Dian-ko, wybierałaś się wczoraj do niej. Z Jarkiem. Prawda? Ścięło mnie lodem.

- Wczoraj nie mogliśmy. Mieliśmy iść dzisiaj. - Jarek skinął potakująco głową.

- Czy może wiesz o czymś, co tłumaczyłoby ten wypadek?

- Nie wiem nic. - Powinnam dodać: „Nie wiem, bo nie chciałam wiedzieć”, ale na to zabrakło mi odwagi.

Na próżno Lilia próbowała coś z nas wyciągnąć. Milczeliśmy, a milczenie to było samooskarżeniem, przynajmniej ja tak myślałam.

- Zakładam, że to ta szokująca wiadomość tak was zaskoczyła, że odebrało wam mowę. Wróć do tematu, jak ochłoniecie. - Wzięła dziennik pod pachę i wyszła.

Siedzieliśmy w ciszy, którą zupełnie niespodziewanie przerwał nasz klasowy wesołek Tolo, dając niepodważalny dowód, że jest skończonym kretynem i prostakiem pozbawionym elementarnej kultury

- Kto by pomyślał, że dzisiaj gwoździem programu będzie sam pan dyrektor.

Gwoździem do trumny rzecz jasna - powiedział i zaśmiał się głupkowato.

Zawtórował mu tylko Rombo. Wszystkich zamurowało, tylko Robert wrzasnął:

- Zatkaj się, pieprzony chamie!

- To mutant - rzucił ironicznie Jarek.

Natalka stanęła przy Robercie i pogłaskała go uspokajająco po plecach. Miała minę, jakby chciała powiedzieć: „Odczepcie się od niego, on jest tylko mój...!”. Musiała jednak przerwać tę scenę, bo skończyła się przerwa.

Na biologii wypisał mi się długopis, więc zaraz po dzwonku pobiegłam do szkolnego sklepiku po nowy wkład. Stałam w kilkusobowej kolejce do lady Nie minęły dwie minuty, gdy stanęli za mną Rombo i Tolo. Zwykła rzecz, ale tym razem wywołało to w moich bebechach emocj onalne rozdrażnienie potęgujące się z każdą sekundą. Złość jest jak proch strzelniczy grozi wybuchem o nieprzewidywalnych skutkach. W imię rozsądku udałam, że ich nie widzę. Specjalnie odwróciłam głowę w drugą stronę, lecz oni nie zamierzali zostać niezauważeni. Zgodnie ze zwyczajem zaakcentowali swoją obecność w najgłupszy sposób, jaki tylko można wymyślić, czyli idiotycznym żartem.

- Jesteś ostatnia? - spytał Tolo, pukając mnie bezceremonialnie palcem w ramię.

- Tak - odpowiedziałam niechętnie, ale grzecznie.

- No popatrz, Rombo, kto by pomyślał? Ale skoro sama się przyznaje... - Zachichotali.

Te durnowate słowa podziały na mnie jak iskra na beczkę prochu. Zapomniałam o rozsądku, ogładzie, no i zasadzie, że reakcje inteligentnego człowieka powinny być współmierne do okoliczności.

- Posłuchajcie, półgłówki, jeżeli szukacie nowego obiektu do zadreczenia na śmierć, to źle trafiliście - powiedziałam nie dość, że zjadliwie, to na dodatek o wiele za głośno.

W sklepiku zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszystkie oczy zwróciły się w naszą stronę. Nawet ekspedientka znieruchomiła z banknotem w ręce nad otwartą szufladką kasy fiskalnej.

- Przesadziłaś, Diana - wydobył wreszcie z siebie Tolo.
- Bo co? Myślałeś, że to wy macie monopol na przesadę? W głowie zapaliło mi się czerwone światełko. Wyszłam z kolejki i wróciłam do klasy Długopis pożyczylam od Doroty Emocje, które mną owładnęły po tym incydencie, nie pozwalały dojść do głosu refleksjom, po których z reguły analizuje się swoje zachowanie i stwierdza: „niepotrzebnie mnie poniosło”, „palnęłam jedno zdanie za dużo” albo coś w tym rodzaju. W tym przypadku doznałam jakiegoś rozdwojenia. Z jednej strony miałam świadomość, że to, co powiedziałam, było niewłaściwe, z drugiej zaś - czułam złośliwą satysfakcję z przykrości, jaką sprawiłam tym wesołkom za wszelką cenę. Mało tego, wciąż przychodziły mi do głowy argumenty którymi mogłabym ich wdeptać w moralne błoto i żałowałam, że tak szybko zrej terowałam z placu boju. Ciężar gatunkowy moich wewnętrznych odczuć wobec szoku, z którym zmagala się klasa, był niczym, dlatego nikomu nawet o nim nie wspomniałam. Poza tym mogłabym zostać odebrana jako osoba infantylna, a tego nie chciałam. Miętosząc w sobie gniewny dygot, włączałam się w nurt ożywionych dyskusji toczących się w większych i mniejszych grupkach. Przerwy były zbyt krótkie, żeby rozważyć dogłębnie wszyst-

99

kie przypuszczenia i domysły, jednakże wystarczyły, aby dotarło do nas w pełni, jak niewiele wiedzieliśmy o Kamili. Wszyscy spodziewali się, że może Robert coś powie, ale nic z tego. Przez dwie przerwy milczał posepnie, na trzeciej wziął plecak i poszedł do domu. Nawet nie wiem, czy się zwolnił u wychowawczynie.

Sabina nadal demonstrowała stan wyniosłej urazy, więc po lekcjach wracałam do domu z Jarkiem. Szliśmy skrótem- aleją „Pod Kasztanami”.

-Wiesz, przy uwzględnieniu oporu powietrza, Kamila spadała z tego okna cztery sekundy Uderzyła w ziemię z prędkością tysiąc dwieście metrów na minutę, co przekłada się na siłę...

-Daj spokój! Jak możesz? Cokolwiek wyliczysz, jest zbyt duże dla jej wątłego ciała.

-I równie wątłej psychiki. Myślisz, że jak czegoś nie powiesz, to tego nie ma?

Wszystko jest, ale tak naprawdę zabiło ją to, czego nie da się opisać żadnym wzorem. Można jedynie jej stres wyrazić jako brzemień nie do udźwignięcia. Sporo ludzi dorzuciło do niego swój większy lub mniejszy kamyczek.

- Zgadzam się z tobą, tylko proszę, nie przekładaj więcej tej tragedii na języki nauk ścisłych. To brzmi okropnie.

-Wiem, ale przybrałem taką formę samobiczowania. Gdybym znalazł czas, aby pójść z tobą do Kamili, może wszystko wyglądałoby inaczej. Tymczasem gdy ja wyciskałem z siebie siódme poty bo zachciało mi się zostać przypakowanym mięśniakiem, ona... Pomyśl, Dianko, na jednej szali czyjeś życie, na drugiej trening na siłowni. Dlaczego nie huknęłaś na mnie? Trzeba było dać mi w łeb i... Boże, co ja mówię?!

- Mam do siebie żal o to samo.

- Kiedyś spotkałem Kamilę w autobusie i powiedziałem jej tylko „cześć”. Stałem dwa kroki dalej jak jakiś palant i milcza-

100

łem. Co ona wtedy czuła? Może pomyślała, że nie chce, żeby ludzie widzieli, że rozmawiam z taką nieatrakcyjną dziewczyną? Jak myślisz, Dianko.

- Kamila nie była nieatrakcyjna. Na sylwestra wyglądała ślicznie.

-Racja. Zapomniałem. Wszyscy zapomnieli. Skończyło się inaczej niż w bajce o Kopciuszku. Każdy poszedł w swoją stronę.

Zapomnieli, chociaż największą ozdobą Kamili była jej uroda. Ale bez stosownej oprawy niewiele znaczyła. A może to nie tak? Może to my jesteśmy głupi i ślepi? Dajemy się zwodzić kolorowym szmatkom i błyskotkom, nie dostrzegając tego, co najistotniejsze? Przecież Kamila, zarówno w eleganckiej sukience mojej mamy jakiwteż swojej okropnej jup-ce, wciąż była tą samą osobą. Jednak nie dla nas, percepcyj-nych kalek.

Bezowocne próby pokrzepienia mojego serca

Informację o śmierci Kamili podano w porannych wiadomościach, więc kiedy wróciłam do domu, ciocia Wandzia już wiedziała.

- Czy ta Kamila R. to może twoja koleżanka z klasy? - upewniła się.

- Tak, ciociu.

- Biedne dziecko. Biedne dziecko. Jak to się stało?

- Podobno popełniła samobójstwo.

- Nie może być! Nigdy nie uwierzę, że młoda dziewczyna u progu życia ot tak, sama z siebie zgotowała sobie grób. Nie, nie, nie, to zbyt straszne! Bez wątpienia, ktoś ją z tego okna wypchnął.

101

- Może policja coś wyjaśni, na razie nikt nic pewnego nie wie.

- Wyjaśni, nie wyjaśni... Jakie to ma znaczenie dla niej.

- Zamyśliła się na dłuższą chwilę. - A może ten chłopak, w którym się zakochała w sylwestra, coś brzydkiego jej zrobił?

- Nie wygląda na drania. Mam o nim bardzo dobre zdanie.

- Tacy są najgorsi. Po łapserdaku człowiek z góry wie, czego się spodziewać. A taki ładny picuś glancuś, co to „całuję rączki...”, „jestem twój sługa i podnózek...”, tylko patrzy, aby uspić czujność naiwnej dziewczyny, wykorzystać i porzucić.

- Gdybyś miała rację, byłby to... okropne. Straszne! Tragiczne!

Mój wzrok padł na zegar wiszący na ścianie. „Spadała cztery sekundy...” -

przypomniałam sobie słowa Jarka. Patrząc na wskazówkę sekundnika, zaczęłam liczyć: raz - dwa - trzy

- cztery! Boże, to szmat czasu! Rozpłakałam się. Ciocia Wandzia pogładziła mnie po głowie.

- Moje dobre, złote serduszko. Jaka szkoda, że jej wtedy nie zatrzymałam, nawet siłą. Gdyby to człowiek wiedział... Gdyby wiedział... Ale tak już w życiu jest, gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, to położyłby się od razu... Zrobiłam dzisiaj knedelki ze śliwkami. Jedz, bo wystygną.

Pod rządami cioci Wandzi w naszej kuchni ciągle w garnkach coś bulgotało, skwierczało na patelni albo nabierało rumieńców w piekarniku. Nigdy mi to nie przeszkadzało, tego dnia jednak, w tej scenerii, wśród smakowitych zapachów, nie mogłam rozmawiać o śmierci Kamili i na dodatek opychać się knedelkami. To było ponad moje siły.

- Zjem później, ciociu. Na razie nie jestem głodna. Pobiegłam do swojego pokoju. Włączyłam komputer

i sprawdziłam skrzynkę pocztową. Sabina nadal milczała. Za-

102

dzwoniłam do Gośki Skórki. Chciałam, żeby zwolniła mnie z przyrzeczenia, przynajmniej w stosunku do mojej przyjaciółki.

- Jak możesz?! Obiecałaś! Nie spodziewałam się tego po tobie!!! - Gośka wykrzykiwała histerycznie, jakbym już wszystko wypaplała. Na próżno próbowałam dojść do słowa, wreszcie wrzasnęłam:

- Zatkaj się, ty głupia torbo!!! Przez ciebie obraziła się na mnie Sabina, przez ciebie posądzono Kamilę o kradzież, a ty jeszcze masz czelność mieć do mnie pretensje?! - Ze złością rzuciłam słuchawkę.

Nie minęły dwie minuty, gdy oddzwoniła skruszona.

-Dianko, przepraszam, jestem cała roztrzęsiona, nie wiem, co się ze mną dzieje, brakuje mi, wiesz czego, nie chciałam cię urazić. Jeśli bardzo ci zależy, żeby powiedzieć Sabinie, to powiedz. Co będzie, to będzie.

- Nic nie będzie. Zresztą, jeszcze się zastanowię.

- Dasz mi wcześniej znać, co postanowiłaś?

Nagle się przestraszyłam, że Gośka w tym stanie, w jakim jest, też zrobi jakieś głupstwo. Może tak jak Kamila odbierze sobie życie albo wróci do nałogu? A tego za żadne skarby świata nie chciałam.

- Już postanowiłam. Wszystko nadal pozostanie między nami. Potwierdzam dane ci wcześniej słowo. Tylko proszę cię, zaufaj mi i zachowaj spokój.

- Dziękuję, kamień spadł mi z serca. - Nie kłamała. W jej głosie wyczułam wyraźną ulgę.

Wróciła z pracy mama. Słyszałam, jak rozmawia w kuchni z ciocią Wandzią, która opowiada jej o Kamili. Chwilę później zajrzała do mojego pokoju. Usiadła naprzeciw mnie w milczeniu. Przed każdą trudną rozmową tak siadała, milcząc długo, jakby się zastanawiała, jak zacząć.

103

- Wiem, co się stało. To przykre - powiedziała wreszcie. Z jakiegoś powodu jej słowa rozdrażniły mnie.

- Możliwe, że ten frazes jest w stanie kogoś podnieść na duchu. Mnie nie. Dla mnie to wszystko nie jest takie proste.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz.

-A jednak rozumiem. Masz poczucie winy Dręczy cię przekonanie, że mogłaś temu zapobiec...

- Skąd wiesz?

- Tak jest zawsze, gdy ktoś odchodzi. Szczególnie taki młody i w taki sposób. Z czasem wrócisz do równowagi.

- Była twoją pacjentką. Dlaczego jej nie pomogłaś? Jesteś lekarzem, powinnaś dostrzec symptomy depresji, a ty wypisałaś jej skierowanie na badania, jak przy głupiej grypie czy anginie. Teraz oddasz jej teczkę do archiwum i po sprawie. Dla mojej koleżanki z klasy mogłaś okazać więcej serca.

- Nigdy od żadnego lekarza nie wymagaj, żeby płakał razem z pacjentem, wymagaj skuteczności. Powiem ci coś, czego nie powinnam - miała na myśli tajemnicę lekarską. - Obrażenia, które stwierdziłam u Kamili, z całą pewnością nie powstały w wyniku upadku ze schodów. Dostrzegłam też kilka innych śladów pozwalających przypuszczać, że była maltretowana. Ofiary przemocy z medycznego punktu widzenia, są trudnymi przypadkami. W czasie jednej, krótkiej wizyty trudno jest przełamać nieufność pacjenta, zdobyć zaufanie i nakłonić do zwierzeń. Do tego potrzeba specjalisty psychologa.

- Mogłaś chociażby spróbować.

- Próbowałam. Kamila była nawet nie zamknięta, lecz zatrzaśnięta w sobie. Miała przyjść z wynikami badań... Kochanie, nie obwiniaj mnie za brak daru jasnowidzenia.

No tak, posunęłam się za daleko. Wymagałam, aby mama w ciągu krótkiej wizyty w gabinecie zrobiła więcej niż trzydzieści koleżanek i kolegów z klasy, całe grono nauczycielskie, rodzina i znajomi, których pewnie miała poza szkołą. Przez chwilę w milczeniu przeżuwałam swoje ponure myśli.

- Jak długo umierała, leżąc już na ziemi?

- Wszystko zależy od obrażeń. Śmierć kliniczna może nastąpić już po kilku, kilkunastu sekundach.

- A do śmierci całkowitej? Takiej, z której nie ma powrotu?

- Biologicznej? Około siedmiu, ośmiu minut, ale to też zależy od wielu czynników.

- Czy to prawda, że umierającemu człowiekowi przesuwa się przed oczami całe życie, jak na taśmie filmowej?

- Podobno tak jest.

- Zawsze?

- Tego jednoznacznie nie sposób dowieść. Przynajmniej na razie śmierć, mimo powszechności, ma swoje tajemnice. Tylko w grach komputerowych wszystko jest proste. I na filmach akcji, gdzie do ludzi strzela się jak do tarczy. W życiu śmierć to bolesny cios dla rodziny, dla znajomych... Na szczęście czas leczy rany.

-W jakiej dawce?

Mama bezbłędnie wyczuła sarkazm w moim głosie. Objęła mnie, lecz tym razem nie ukoilo to mojego żalu. Wręcz przeciwnie, miałam jeszcze większą ochotę na płacz. Godzinę później rozmawiałam z tatą. Też przyszedł do mojego pokoju, też usiadł naprzeciw mnie i też zaczął tak, jak mama:

- Słyszałem, Dianko, o tym, co się stało. To przykre. Zaczęłam podejrzewać, że ludzie dorośli opracowali jakiś uniwersalny wzorzec na pocieszenie swoich dzieci.

- To ta Kamila, która porządkowała ci biuro. - Nie doczekawszy się innej reakcji poza poważnym skinieniem głową,

105

ciągnęłam dalej: - Nikt nie wie, dlaczego tak się stało. Prowadzone jest w tej sprawie dochodzenie. Jak myślisz? Czy ktoś z tego powodu poniesie karę?

- Tak, jeśli zostanie mu udowodnione ewidentne przestępstwo.

- To znaczy?

- Najprościej mówiąc, kiedy komuś postawi się zarzut umyślnego...

- Tato, mów po ludzku.
 - Jeśli ktoś świadomie, stosując jakąkolwiek przemoc fizyczną, psychiczną lub emocjonalną doprowadził ją do takiej depresji, że targnęła się na swoje życie, ten w świetle prawa będzie winny
 - Świadomie to znaczy naumyślnie? -Tak.
 - Czyli prawo przewiduje, że można to wszystko zrobić niechcący, tak? Można kogoś zadreńczyć na śmierć przez nieuwagę, tak? Można ot tak sobie, od niechcena, doprowadzić kogoś do takiego dołka, że skacze z jedenastego piętra, tak? - Nie chciałam przyjąć do wiadomości niczego, co nie odpowiadało mojej koncepcji sprawiedliwości. Była zbrodnia, musiała być i kara. Czarne i białe z wyraźnie zaznaczoną granicą. Żadnych szarości, które w życiu przekładają się na różne okoliczności łagodzące, przeszkody obiektywne, niby dobre intencje przynoszące oplakane skutki i tym podobne banialuki, tymczasem tata mówił wszystko, tylko nie to, co chciałam usłyszeć.
 - Mimo ewidentnej tragedii, jaką jest samobójstwo, sąd nie zawsze jest w stanie udowodnić komukolwiek świadome działania na szkodę osoby, która je popełniła. Nieumyślna wina w świetle prawa...
 - Nieumyślna wina! Kto wymyślił taki potworek prawny?!
 - zawołałam niepomna, że to samo określenie w ustach Różańskiego brzmiało całkiem sympatycznie.
 - Życie. Życie, które pisze tak skomplikowane scenariusze, że prawo za nim z trudem nadąży. Świat nie jest czarno--biały dlatego nie stosuje się prawa automatycznie. Każdy przypadek trzeba dokładnie rozpoznać, zanim się go osądzi. Wiem, że przeżywasz trudne chwile, ale czas leczy rany
 - Zaaplikowałeś mi lekarstwo według recepty mamy
 - Po prostu oboje wiemy, co jest skuteczne. - Tata zrobił stosowną pauzę, żeby zmienić temat. - Zastanawiam się, czy nadal powinnaś chodzić do tej szkoły
 - Dlaczego?
 - Ucieczki, kradzieże, samobójstwa... Takie incydenty w szkole o dobrej renomie nie powinny mieć miejsca. A mają.
 - Nie chcę żadnych zmian.
 - Porozmawiamy o tym jeszcze. Będzie dobrze.
- Wyszedł. Nawet się nie domyślał, że z nadwątlonym autorytetem. To, co powiedział, kłóciło się z moim poczuciem sprawiedliwości. Skoro ja czułam się winna, inni też powinni. Jedni bardziej, drudzy mniej. Zgodnie z logiką musiał być też ktoś, kogo wina jest największa. MUSIAŁ! Inaczej można by pomyśleć, że dokonaliśmy zbiorowego... Boże, nie wymówię tego słowa.
- Dalsze omawianie tematu z samą sobą stawało się nie do zniesienia. Brakowało mi Sabiny, już miałam do niej dzwonić, gdy przyszedł Jarek. Dzięki losowi i za to, chociaż nie nadawał się, by ponarzekać z nim na świat, który urządzili nam starzy Postanowiliśmy razem wyprowadzić psa na spacer. Szliśmy sobie alejką w parku „Pod Kasztanami”, puszczonego luzem pies buszował po pobliskich krzakach. Było pięknie, lecz pamięć jak uparty osioł wciąż wracała do Kamili.

- Mam cholernego moralniaka - poskarżył się Jarek. - Za dużego jak na mój gust.

-Ja też. I pewnie większość klasy Ciekawa jestem, jakznosi to Robert?

- Taki weteran podbojów miłosnych z całą pewnością ma twarde sumienie. Nawet gdyby dopadł go jakiś dołek, znajdą się pocieszycielki.

- Co innego podryw, a co innego śmierć dziewczyny, z którą coś go łączyło. Mówisz, jakbyś mu zazdrościł.

- Zazdrościłbym, gdyby tobie zawrócił w głowie. Oho, uwaga, rozmowa przybierała niewłaściwy obrót.

- Z tego, co wiem, tylko Natałka pali się do tej roli.

- Nic nie wiesz? Do akcji przystąpiła Kaśka Słowik. Zrzuciła Natalce, że wygadywała na Kamilę różne kłamstwa i tym podobne historie. Podobno nawet przy Robertcie nazwała Kamilę śmierdzącym flejtuchem. Natałka nie pozostała jej dłużna. Na razie było to tylko krótkie spięcie, ale jak znam życie, będzie z tego jeszcze niezły cyrk. Głupie pindy

- Co w tym pocieszającego dla Roberta?

- Nie kapujesz, dlaczego Kaśka ni z gruszki, ni z pietruszki przejęła się Kamilą? W ten sposób daje do zrozumienia Robertowi, że jeżeli postąpił wobec Kamili nie fair, to naprawdę winna jest Natałka. Taka swoista erotyka. Wtórują jej Edyta Popek i Kinga Pisarek

- Skąd to wiesz?

- Awantura wybuchła na jednej z przerw. Nie pamiętam której.

Nie byłam świadkiem tego incydentu. Musiał mieć miejsce, gdy poszłam do sklepiku po długopis.

- Prędzej bym się spodziewała kłótni z Kaśką przy płaceniu rachunku.

- Homo niewiadomo. Trudno być prorokiem we własnej budzie. Jak znam życie, teraz zacznie się licytacja wytyków, kto więcej dołożył Kamili. Tymczasem prawda jest taka, że nawet tych, którzy omijali ją z daleka, powinna tłuc chandra. Każdy ją głębił czynem, słowem, myślą lub zaniedbaniem. Spacerowaliśmy ponad godzinę. Na odchodne Jarek pocałował mnie w policzek. Ani rozmowa z Wandzią, ani z rodzicami, ani z Jarkiem nie przyniosły mi spokoju ducha. Po kolacji zaczęłam pisać. Niestety, sztuka pod tytułem „Kamila” napisana według scenariusza opartego na własnej pamięci, niczego nie wyjaśniła. Nawet scenografia, jaką miała stanowić klasa, przypominała zaledwie ogólnikowy szkic, a snop światła, który miał wydobyć z niewiedzy jej życie, co najwyżej oświetlił nasz własny, beztroski egoizm.

Kamili już nie ma. Nie odpowie na żadne pytanie. Zasnęłam z poczuciem winy

* * *

Rankiem niespodziewanie wstąpiło we mnie przekonanie, że za wcześnie na zwątpienie. Nie wyjaśniłam niczego na podstawie własnych wspomnień, ale przecież życie toczyło się dalej. Trzymając się terminologii teatralnej, spektakl z Kamilą w roli głównej trwał, chociaż już bez niej.

Oficjalnie nikt nic nie wie

Nazajutrz Jarek czekał na mnie pod domem, choć do szkoły było mu to nie po drodze. Uparcie pracował na przychyłność mojego serca, ale udałam, że się tego nie domyślałam. Czasu

mieliśmy jeszcze sporo, więc szliśmy sobie noga za nogą, nie wiedząc, że pod szkołą od rana dyżurowało kilkunastu dziennikarzy z regionalnej prasy i telewizji. Na chybił trafił zatrzymywali tego i owego, próbując wyrwać jakieś sensacje na temat Kamili. Rozczochrany blondyn w moro dopadł nas niczym wyposzczony komputerowy wirus.

- Znałaś Kamilę Rutkę? - Podsunał mi mikrofon pod nos.

- Znałam - odpowiedziałam zaskoczona. - Aty?

- Ja też - potwierdził Jarek.

Jak diabeł z pudełka wyskoczył ogromny kamerzysta i dwie podekscytowane dziennikarki. Jedna z mikrofonem, druga z dyktafonem.

- Czy wiecie, dlaczego się zabiła?

- Nie wiemy - odpowiedzieliśmy jednocześnie.

- Jaka była ta Kamila?

- W porządku.

- Miała problemy z nauką? Zażywała narkotyki? - Nie...

- Ktoś jej groził?

- Nie. Nic z tych rzeczy. My po prostu nie rozumiemy dlaczego to zrobiła...

- Może załamanie nerwowe?

- Może.

- Czyli? Co konkretnie?

- Nie wiemy. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent samobójstw wynika z depresji.

Powody bywają różne. Prawdę znają jedynie sami desperaci.

Po wypowiedzi Jarka dziennikarze stracili dla nas zainteresowanie i pobiegli -

niebawem - w stronę Natalki i Roberta, którzy nadeszli z przeciwnej strony

Ruszyliśmy biegiem do szkoły

- Będzie obciach, jeśli Natalka powie dziennikarzom to, co zwykła mówić o Kamili - powiedział Jarek, gdy już znaleźliśmy się za bramą na szkolnym podwórzu.

Co najmniej połowa klasy widziała dziennikarzy dopadających Natalkę i Roberta, i wszystkich aż skręcało z ciekawości, co też z tego wyniknie. Nikt nie zdążył ich o nic zapytać, gdyż wpadli do klasy tuż przed samym dzwonkiem. Tylko Kaśka rzuciła niby to sama do siebie:

- Trzeba mieć nie lada tupet, żeby jeszcze pchać się przed kamery. Artystka ze spalonego teatru. - Tę oczywistą aluzję Natalka zbyła wyniosłym milczeniem. Robert spokojnie rozpakowywał plecak.

Lekcję wychowawczą mieliśmy mieć na trzeciej godzinie, lecz już po pierwszym dzwonku zamiast Szprychy weszła do klasy Lilia.

- Pani Szprycińska jest chora, więc będziemy mieli dodatkową lekcję wychowawczą.

- Lilia dodatkowe lekcje poświęcała na różnego rodzaju opieprzania, omawianie spraw bieżących, no i rzecz jasna prawienie morałów. Dzisiejsza lekcja miała być zupełnie inna. Najpierw przestrzegła nas przed udzielaniem mediom wywiadów.

Mówiła, że tak naprawdę nikt nie zna powodów samobójstwa Kamili, że w takiej sytuacji łatwo o nadużycia, że z nieudomówień rodzą się plotki, które mogą kogoś niesłusznie skrzywdzić, że dziennikarze mają zwyczaj spekulować i manipulować uzyskaną informacją, więc lepiej, żeby odsyłać ich do dyrektora szkoły albo do niej samej.

- Rozumiemy, że pani i pan dyrektor już wiecie, dlaczego Kamila targnęła się na życie? - spytała Sabina bez podnoszenia ręki.

111

-Nie. Niewierny Dyrektor wydał oświadczenie, które jest oficjalną wersją szkoły w tej sprawie. Na razie, dopóki śledztwo nie zostanie skończone. Dobremu imieniu szkoły nie służy atmosfera skandalu. Musimy wspólnie...

Jasne. Tata byłby podbudowany Zaczęłam się zastanawiać, czy to, co powiedzieliśmy z Jarkiem dziennikarzom, można przekreślić tak, żeby wyszła z tego sensacja. Niemożliwe. Przecież nie mrugaliśmy porozumiewawczo do kamery aby dać do zrozumienia, że nasze słowa należy rozumieć na odwrót. Lilia skończywszy mówić o naszych moralnych obowiązkach wobec szkoły zmieniła temat.

- Truizmem jest stwierdzenie, że znajdujecie się teraz w trudnym okresie życia. Młody człowiek, zanim stanie się organiczną częścią społeczeństwa, przeżywa swojego rodzaju psychiczny dyskomfort, który w praktyce najczęściej przejawia się buntem, marzeniem o rewoltach, a przynajmniej chęcią demaskowania zła. Czasem jednak awersja do świata zamiast buntu rodzi apatię i rezygnację. Najczęściej taka osoba szuka oparcia i zrozumienia w grupie pokrewnych dusz. Ale bywa też, że zamyka się w sobie, popada w coraz silniejszą melancholię, a nawet w momencie skrajnej desperacji targa się na swoje życie. Z jakiegoś powodu Kamila nie chciała dalej być wśród nas i to, dla każdego, kto ją znał, powinno być problemem do przemyślenia.

Wychowawczyni zamilkła, jakby brakło jej pomysłu na ciąg dalszy Wreszcie rzuciła w naszą stronę pytanie niczym piłkę na drugą stronę boiska.

- Czy ktoś chce coś powiedzieć o Kamili? - Myliła się, licząc, że wywręczymy ją w kontynuacji tematu. Milczeliśmy jak śnięte ryby Lilia próbowała nas zachęcić. - Czy to możliwe, że nie macie nawet co wspominać?

Może i mieliśmy, lecz te wspomnienia nie nadawały się do

112

- Nie. Nie wiemy Dyrektor wydał oświadczenie, które jest oficjalną wersją szkoły w tej sprawie. Na razie, dopóki śledztwo nie zostanie skończone. Dobremu imieniu szkoły nie służy atmosfera skandalu. Musimy wspólnie...

Jasne. Tata byłby podbudowany Zaczęłam się zastanawiać, czy to, co powiedzieliśmy z Jarkiem dziennikarzom, można przekreślić tak, żeby wyszła z tego sensacja. Niemożliwe. Przecież nie mrugaliśmy porozumiewawczo do kamery aby dać do zrozumienia, że nasze słowa należy rozumieć na odwrót. Lilia skończywszy mówić o naszych moralnych obowiązkach wobec szkoły, zmieniła temat.

_ Truizmem, jest stwierdzenie., że традДш^эслє. sA^tesaz. w trudnym okresie życia. Młody człowiek, zanim stanie się organiczną częścią społeczeństwa, przeżywa swojego rodzaju psychiczny dyskomfort, który w praktyce najczęściej przejawia się buntem, marzeniem o rewoltach, a przynajmniej chęcią demaskowania zła. Czasem jednak awersja do świata zamiast buntu rodzi apatię i rezygnację. Najczęściej taka osoba szuka oparcia i zrozumienia w grupie pokrewnych dusz. Ale bywa też, że zamyka się w sobie, popada w coraz silniejszą melancholię, a nawet w momencie skrajnej desperacji targa się na swoje życie. Z jakiegoś powodu Kamila nie chciała dalej być wśród nas i to, dla każdego, kto ją znał, powinno być problemem do

przemyslenia.

Wychowawczyni zamilkła, jakby brakło jej pomysłu na ciąg dalszy Wreszcie rzuciła w naszą stronę pytanie niczym piłkę na drugą stronę boiska.

- Czy ktoś chce coś powiedzieć o Kamili? - Myliła się, licząc, że wyręczymy ją w kontynuacji tematu. Milczeliśmy jak śnięte ryby Lilia próbowała nas zachęcić. - Czy to możliwe, że nie macie nawet co wspominać?

Może i mieliśmy lecz te wspomnienia nie nadawały się do wyciągania na wierzch. Któż chciałby trąbić o swoich grzechach i grzeszkach? Siedzieliśmy w ciszy Rozejrzałam się po klasie. Nikt nie patrzył nauczycielce prosto w oczy - j edni wbili wzrok w pulpity, drudzy w okno, a Tolo z Rombem nawet w sufit. O czym myśleli? Co czuli? Czy Sabina pamiętała, że nazwała Kamilę dziadówką? Czy Natalka żałowała oskarżenia o kradzież? Czy Gośkę gryzło sumienie, że jej przewiną obarczono Kamilę? Czy wyrzucała sobie tchórzostwo? Jakie wspomnienia związane z Kamilą tak skrętnie ukrywał Robert? Czy do Romba i Tola dotarło wreszcie, że ich głupie, zbyt głupie kawały były formą okrucieństwa? Czy wszyscy tak jak ja, zachowując pozory, że wszystko jest cacy, czuli się równie podle?

Lilii nie zadowoliło nasze milczenie. Nie założyła wspaniałomyślnie, że to szok zamienił nas w słupy soli, że traumatyczne doświadczenie odebrało nam mowę. Nic z tych rzeczy. Milczała chwilę tak długą, że nawet z grzeczności należało bąknąć jakiś banał. Nawet Sabina, która chętnie zabiera głos na każdy temat, teraz bezgłośnie zagryzała wargi. Czyżbyśmy podświadomie nawzajem trzymali się w szachu niewyznanym poczuciem winy? Chyba tak. Inaczej byłabym posiadaczką wyjątkowo wrażliwego sumienia.

Myliliśmy się, sądząc, że teraz polonistka wygłosi parę banałów i będziemy kwita. Nic z tych rzeczy Wyjęła ze swojego zeszytu kartkę.

- Przeczytam wam ostatnie wypracowanie Kamili. To, którego temat brzmiał: „Co byś zmieniła, gdybyś mogła?”. Posłuchajcie. Kiedy w jakiejkolwiek dziedzinie sportu zawodnicy staną na starcie, ważne jest, aby od tej chwili mieli równe szanse na zwycięstwo. Milimetrowe wybicie się skoczek poza progiem, pół sekundy wcześniejsze poderwanie się do biegu sprintera, bieżnie różnej długości dla różnych zawodników,

113

stawanie do walki boksera wagi ciężkiej z bokserem wagi koguciej każdy uznałby za pogwałcenie zasady równych szans. A już nie sposób wyobrazić sobie, że na tej samej bieżni jeden tor ma nawierzchnię tartanową, drugi piaszczystą, trzeci błotnistą, na czwartym wysypano gruz, a na piątym rozciągnięto zasieki. Kto by chciał oglądać boks, gdy jeden z pięściarzy ma związane ręce, drugi - żelazne rękawice? Kto podziwiałby rekord skoku wzwyż, gdyby każdy ze skoczków miał inną długość tyczki? Albo wyścigi kolarskie, gdy jedni zawodnicy jadą na rowerach, drudzy na motorach, trzeci na hulajnogach? Takich sytuacji nie sposób sobie wyobrazić w sporcie, lecz są one codziennością w życiu. Nie ma równego startu, nie ma równych warunków, sędziowie mają związane oczy, tylko publiczność cieszą te igrzyska. Gdybym mogła, sprawiłabym, że w życiu, tak jak w sporcie, obowiązywałaby równość szans. Przynajmniej na starcie. Jednak wiem, że przede mną takich marzeń

nie udało się nikomu zrealizować i nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego tak jest. Jest przecież na świecie tylu przyzwoitych ludzi.

Słuchałam w osłupieniu. Gorzkie. Kamila z za sceny życia oskarżała nas, uprzywilejowanych zawodników? Przegrała w nierównej walce?

- Czy ktoś chciałby jakoś to skomentować? - Odpowiedzieliśmy milczeniem. - Tak myślałam.

Odezwał się dzwonek. Lilia bez pośpiechu schowała wypracowanie Kamili i z dziennikiem pod pachą wyszła z klasy

* * *

Zdawało się, że ponura atmosfera, która zawisała nad klasą, przesiąkła naszym zażenowaniem. Uświadomiłam sobie, że moja kariera zawodowa została już dawno postanowiona. Po maturze pójdę na studia, najlepiej medycynę lub prawo.

Kiedyś w przyszłości, w zależności od wyboru, przejmę kancelarię po tacie lub gabinet lekarski po babci. Gdy zechce mi się zostać, powiedzmy, malarką, nikt nie będzie z tego powodu rozdzierał szat. Moja droga w przyszłość była nie tylko prosta i wygodna, ale i bezpieczna niczym trasa przejazdu prezydenta. O takiej drodze marzyła Kamila. Czy ja właściwie rozumiem? Czy można mieć takie przyziemne marzenie? A może to wypracowanie ma całkiem inny sens?

Kątem oka spojrzałam na Sabinę. Z posępną miną i nienaturalną powolnością rozkładała na ławce zeszyty i książki. Wyglądało na to, że na tej przerwie odpuściła Artkowi.

Trzestuchanie

Na następnej lekcji fizyki i lekcji wychowawczej byliśmy kolejno wzywani do gabinetu dyrektora, tam w obecności Lilii, dyrektora Baliszka i dyrektora pedagogicznego - pani Jasińskiej, przesłuchiwał nas inspektor Zenon Wawrzkiwicz z wydziału kryminalnego. Weszłam jako siódma.

Bazyliszek, posępny niczym noc listopadowa, jak zwykle siedział za swoim wielkim biurkiem, Lilia z panią Jasińską na krzesłach po jego obu stronach. Dla inspektora wstawiono dodatkowo stół i fotel, a dla przesłuchiwanym - krzesło. Z boku, przy ławie, przycupnęła protokółantka z laptopem. Było bardziej oficjalnie niż na komendzie u komisarza Różańskiego. Nie jestem specjalnie strachliwa, ale gdy tylko przestąpiłam próg gabinetu, opuściła mnie pewność siebie. Serce przyspieszyło, a język wysechł na wiór. Przestraszyłam się, że nie będę w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Lilia przedstawiła mnie i uśmiechnęła się zachęcająco. Dyrektor Jasińska, żeby dodać mi otuchy, powiedziała:

115

- Nie musisz się denerwować. Dzisiejsze przesłuchanie ma jedynie na celu wyjaśnienie okoliczności śmierci Kamili Rutki. Chcesz pomóc, prawda? - Skinęłam głową, a ona ciągnęła dalej: - Wszystko, co panu inspektorowi powiesz, zostanie między nami. Gwarantujemy ci bezwarunkową dyskrecję.

Znów skinęłam głową na znak, że rozumiem i akceptuję jej słowa. Teraz do rzeczy przystąpił inspektor. Nie był tak ponury jak Bazyliszek, lecz daleko mu było do uśmierzejacej lęk mimiki obu pań.

- Przyjaźniłaś się z Kamilią Rutką? -Nie.

- Nie utrzymywałyście żadnych kontaktów?
- Raczej nie.
- To „raczej” każe domniemywać, że jednak jakieś kontakty były.
- Pożyczałam od niej zeszyty... - Zastanawiałam się, czy powiedzieć o pracy u taty i zwolnieniu lekarskim wypisanym przez mamę. Dzięki Bogu inspektor zadał następne pytanie:
- W klasie zginęły pieniądze, podejrzaną o kradzież była Kamila Rutka. Kto pierwszy rzucił na nią podejrzenie? - Już wiedział.
- Ona tego nie zrobiła.
- Pytałem, kto pierwszy rzucił podejrzenie.
- Nie wiem - czułam, jak spiekam raka.
- W takim razie inaczej, od kogo o tym usłyszałaś?
- Od Natalki Barskiej. -Uwierzyłaś jej? -Nie. -Dlaczego?
- Wiem, kto ukradł te pieniądze. -Kto?
- Powiedziałam klasie, że to nie Kamila. - Tak na gorąco nie wiedziałam, czy dane Goście słowo honoru wobec policji też obowiązuje. -A kto?
- Nie mogę powiedzieć. Naprawdę nie mogę. Ta osoba wyznała prawdę, zwróciła pieniądze, przysięgła, że więcej tego nie zrobi, a ja obiecałam dyskrecję. Powiem jej, żeby sama przyszła i się przyznała. Ja naprawdę nie mogę i chyba... nie powinnam.
- No dobrze. Czy wiesz, co łączyło Kamilę z Robertem Wolańskim?
- Nie wiem. Ani Kamila, ani Robert nic o sobie nawzajem nie mówili. Zachowywali się zwyczajnie. Przynajmniej w klasie - kluczyłam.
- Czyli są podstawy, by sądzić, że poza szkołą mogło łączyć ich coś więcej?
- W szkole wielu ze sobą sympatyzuje... - Musiałam uważać na to, co mówię. Inspektor najwyraźniej dążył do udowodnienia tezy, iż Kamila zabiła się z miłości. Tego nie mogłam potwierdzić ani bezpośrednio, ani poszlakowa. Na tak postawione pytanie powinien odpowiedzieć Robert.
- Czy Kamila była osobą ogólnie lubianą? Krótko, tak czynie?
Czułam zakłopotanie. Kłamstwo jest złem, prawda byłaby samooskarżeniem, a coś powiedzieć należało. Ostatecznie nie dość, że skłamałam, to jeszcze zrobiłam z siebie skończoną oślicę.
- Nie wiem.
- A co wynika z twojej obserwacji? - Zapędzał mnie w kozi róg.
- Ja nie miałam nic przeciwko niej.
Ale plama. Miałam kłopot z odpowiedzią na najprostsze pytanie. Te proste pytania były jeszcze gorsze niż moje wła-

111

sne wyrzuty sumienia. Kompromitowały mnie. Obnażały hipokryzję i tchórzostwo. Z każdą chwilą czułam się coraz gorzej.

- Czy w klasie albo w szkole ktoś szykanował Kamilę?

Czułam, jak krew ucieka mi z twarzy. Mimo gonitwy myśli nie mogłam się zdecydować, czy zachowanie Tola i Romba to już szykany czy tylko głupie figle? Czy postępek pani Kwia-towskiej to rozmyślnie szykanowanie Kamili, czy tylko bezmyślne i brutalne wyartykułowanie swoich racji? Czy bezpardonowa walka Natalki o względy Roberta również kwalifikuje się do szykan, czy tylko miłosnego

zaślepienia popychającego do nieczystej gry?

Zapewne wszystko zależy od punktu widzenia. To, co dla żartownisiów było zaledwie figłem, dla obiektu żartów mogło być udręką. To, co pani moralistka Kwiatowska uważała za pozytywne działanie na rzecz córki, dla Kamili musiało być upokarzającym wstrząsem. To, co dla Natalki było środkiem do celu, najprawdopodobniej rozdzierało serce jej rywalki.

Jęknęłam w duszy. Do licha, dlaczego problem winy umyślnej czy nieumyślnej odbija się czkawką akurat mnie i na dodatek w takiej chwili? Należało coś odpowiedzieć, nie mogłam już dłużej w milczeniu roztrząsać zawilości etyczno-prawnych. Spróbowałam jeszcze drobnego wybiegu.

- Nie wiem, co powinnam rozumieć pod pojęciem „szykanowanie”.

- „Szykanowanie” to inaczej mówiąc „prześladowanie”, „dręczenie”, „piętnowanie”... No i masz! Pan komisarz posądził mnie o nieznamość słownikowej definicji słowa. Na coś takiego w obecności Lilii musiałam zareagować.

- Nie o znaczenie samego słowa mi chodziło. Chcę wiedzieć, jakie działania mogę zakwalifikować do szykan. Każdy czyn ma swój... swój ciężar gatunkowy. Coś, co dla jednych jest na przykład głupim żartem, dla innych chamską zagrywką, dla jeszcze innych represją...

- Proszę po prostu mówić. Sami rozstrzygniemy, czy będzie to miało znaczenie dla śledztwa, czy nie. Zależy nam na twoich spostrzeżeniach.

- Kamila nie udzielała się towarzysko, lecz z tego powodu nikt jej nie dokuczał... Do samego końca przesłuchania nie powiedziałam niczego sensownego. Na najbliższej przerwie podeszłam do Gośki i poprosiłam o rozmowę na osobności. Wyszłyśmy na korytarz.

- Inspektor chciał wiedzieć, kto ukradł klasowe pieniądze. - Zbladła. - Nie wydałam cię, ale uważam, że powinnaś się przyznać.

- Dlaczego o to pytał? Przecież to śledztwo w sprawie śmierci Kamili.

- No właśnie, szuka przyczyny. Jeżeli podejrzewa załamanie nerwowe, próbuje ustalić, co mogło je spowodować. Tak myślę.

- Dobrze, że mnie uprzedziłaś. Dzięki.

Wróciłyśmy do klasy. Gośka zgarnęła z ławki do plecaka swoje książki i zeszyty, po czym wybiegła. Nie pojawiła się już w szkole ani tego dnia, ani następnego. Uciekła. "Niesnaski w „Czarnym JCocie

Spokój ducha był ostatnio wyjątkowo deficytowym towarem. Do niezadowolenia po przesłuchaniu w gabinecie dyrektora dołożyło się poczucie, że jestem jakąś popieprzoną wyle-

119

garnią kłopotów. Szczególnie wtedy gdy mam jak najlepsze intencje. Rozmawiając z Gośką, zgrzeszyłam nieprzestrzeganiem trylogu: oszczędnie korzystałam z intelektu i w ogóle nie próbowałam odgadnąć reakcji, jaką może wywołać taka rozmowa. No i wyszło, że walnęłam jak gołąb o parapet. Wystraszyłam ją na amen. Gdy po lekcjach Jarek zaprosił mnie na lody do „Czarnego Kota”, uznałam to za doskonały pomysł. Dzień był wyjątkowo słoneczny, szliśmy sobie spacerkiem w kierunku rynku.

- Nie byliśmy dobrzy dla Kamili - powiedziałam.

- Gdyby dobroć była pożyteczna, ewolucja dawno zrobiłaby z niej pożytek. Już

Machiavelli twierdził...

-Jarek, błagam...

- No dobrze.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

- Więc co ten Machiavelli powiedział?

- Ludzie z natury są źli. Trzeba ich zmuszać do dobroci.

- Przewrotne. Ja w to nie wierzę.

- Gdybyś przeprowadziła ankietę na temat: „Dać dokopać siebie czy pozwolić dokopać innym?“, miałabyś czarno na białym, że altruści funkcjonują na zasadzie wyjątku w regule. Parafrazując Darwina: byt kształtuje długość pazurów. Pazurów i zębów do pary

- Owszem, lecz nie dotyczy to człowieka.

- Jasne, że dotyczy Tylko człowiek w tej pazurowo-zębo-wej specjalizacji poszedł dalej i nie ma zamiaru się zatrzymać. Najpierw dzidy i maczugi, teraz sztucery z lunetą i działka szybkostrzelne, w przyszłości pewnie jakieś laserowe armatki i kieszonkowe bomby atomowe. Wszystko to są nasze zęby i pazury Zresztą, popatrz, co się dzieje na świecie.

-Jezu! Jarek! Powiedziałaś tylko, że byliśmy niedobrzy dla Kamili, a ty bajdurzysz o Machiavellim, ewolucji Darwina i arsenalach broni całego rodzaju ludzkiego od minus nieskończoności do plus nieskończoności. Opamiętaj się.

- Ja też mówię o tym samym, tylko nieco pogłębiam temat. Byliśmy niedobrzy dla Kamili, bo zło leży w naszej naturze.

- Daj spokój, nie mam nastroju do filozofowania. Zirytował mnie. Jeszcze tego brakowało, żebym zaczęła

usprawiedliwiać jakimś durnym atomem w kwasie dezoksyrybonukleinowym podłość, chamstwo, okrucieństwo i nieuczciwość. Skoro ma się rozeznanie dobra i zła, żadna teoria, nawet najbardziej naukowa, nie zwalnia nikogo od przyzwoitego postępowania. Tak uważam i zdania nie zmienię. Tyle. Westchnęłam ciężko, Jarek zinterpretował to westchnienie absolutnie niewłaściwie.

- Chcesz się wypłakać? Służę własną piersią. - Niby to żartem próbował objąć mnie za ramiona.

- Innym razem. - Mimowolnie wykonałam gest, który zmusił go do zaniechania prób pocieszania mnie metodą bliskiego kontaktu. Lubiłam Jarka, chociaż czasem był wkurzający, potrzebowałam jego towarzystwa, nic poza tym. Marzeniem byłaby zażyłość na kształt szyn tego samego toru. Bliskie sobie, lecz równoległe aż po kres. Tymczasem Jarek coraz częściej robił niedwuznaczne podchody.

Nasze pokolenie szpanuje na libertynów, którzy to chwalą sobie życie bez tabu, bez zahamowań i hołdują przekonaniu, że wszystkiego trzeba spróbować. W praktyce to „wszystko” najczęściej ogranicza się do eksperymentów z miłością. Fajna rzecz przeżywać romantyczne uniesienia, doznawać czułości, szczęścia, ale tak jak u Boya-Żeleńskiego: „... w tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”. Jestem tego modelowym przykładem. Jarek chciałby ze mną, lecz ja nie chcę z Jarkiem, chciałabym z Karskim i... kicha. Sztandarowe ha-

sła obecnego pokolenia w przypadku naszej pary biorą w łeb.

Na tarasie „Czarnego Kota” siedziała już cała ferajna, to znaczy: Sabina, Kaśka Słowik, Dorota Wyka, Ewa Skorek, Natalka Barska, Marek Steczek, Paweł Chłopczyk, Sylwek Mazur i Artek Pieczka z Illb. Nie mieliśmy innego wyjścia, niż tylko do nich dołączyć. Postanowiłam udawać, że towarzystwo Sabiny ani mnie ziębi, ani grzeje. Sabina zrewanżowała się tym samym - byłam dla niej powietrzem. Teraz, po śmierci, Kamila była bardziej obecna między nami niż za życia. Mówiło się o niej na okrągło, więc i tutaj, po krótkim zamieszaniu związanym z naszym przybyciem, znów powrócił jej temat.

- O co was pytał ten inspektor? - zagadnął Paweł, gdy tylko usiedliśmy

- Pewnie o to, co wszystkich innych - odpowiedział niechętnie Jarek. - Co o niej wiemy czy ją lubiliśmy, czy jej ktoś dokuczał, jak się uczyła... ?

-1 co odpowiedziałeś?

- To, co chyba każdy odpowiadał, że była spoko.

- Mnie wypytywał o te podejrzenia o kradzież - mówiąc, patrzyłam na Natalkę. Jej reakcja była natychmiastowa.

- Dlaczego pijesz do mnie? To ty rzekomo znałaś złodzieja. Znałaś i milczałaś.

- Nadal znam, bo złodziej żyje.

- Nie mam sobie nic do zarzucenia. Przed policją wystawiłam Kamili jak najlepszą opinię.

- Masz nas za głupków? - wzburzyła się Kaśka. - Inspektorowi nie chodziło o reputację Kamili, a o powody, które pchnęły ją do samobójstwa. O po-wo-dy! Rozumiesz? Sądzę, że na ten temat powinnaś mieć baaardzo dużo do powiedzenia.

- Coś takiego, busola moralna dała głos!

-Nie wysilaj się. Wszyscy wiedzą, że swoim rozwidlonym językiem robiłaś, co mogłaś, żeby Kamili uprzykrzyć życie. Wytykałaś, że uczepiła się Roberta jak rzep psiego ogona, a tak naprawdę sama jesteś tym rzepem.

- Ja? Ja rzepem? Też coś! - Natalka wyglądała jak furia przed atakiem, jednakw okamgnieniu wściekłość wykrzywiała jej usta przeistoczyła się w zjadliwy uśmiech. - Nie oczekuj, zazdrośnico jedna, że z tego powodu będę bić się w piersi i wołać: „Meaculpa”.

- Nie udawaj idiotki, nie chodzi mi o twój stosunek do Roberta, tylko do Kamili.

- Dziewczyny, depnijcie po hamulcach, bo okaże się jeszcze, że to my zaszczuliśmy Kamilę na śmierć! - Do akcji wkroczyła milcząca dotąd Sabina.

- A nie? - Nie pamiętam, kto spytał.

- Jasne, że nie. Gdyby z powodu takich drobiazgów ludzie odbierali sobie życie, byłiby skazani na wymarcie jak dinozaury. Tych powodów należy szukać poza szkołą. Może była to choroba, może niechciana ciąża, może gwałt, może kłopoty rodzinne... Powodów mogą być dziesiątki albo nawet setki. My tego nie wiemy. Cała Sabina.

Do kawiarni wszedł Robert Wolański, ale nie zdążył do nas podejść, gdyż Natalka rzuciwszy Kaśce pełne złośliwej satysfakcji spojrzenie, ruszyła mu na spotkanie. Po krótkiej wymianie zdań wyszli.

- My też już spadamy - powiedziała Sabina, wstając. Ar-tekbez słowa sprzeciwu poszedł jej śladem.

- Ciekawa jestem, jaka była rzeczywista przyczyna samobójstwa Kamili. - Ewa najwyraźniej uległa sugestii mojej obrażonej przyjaciółki. - Na pewno skrywała jakąś swoją tajemnicę. Szkoda, że się z nikim nią nie podzieliła.

123

- Ja nigdy w życiu nie popełniłabym takiego grzechu, jestem wierząca - wyznała ni z gruszki, ni z pietruszki Kaśka.

- Pan Bóg czegoś takiego nie wybacza.

- Nie wyręczaj Pana Boga w ferowaniu wyroków. - W głosie Jarka pobrzmiwała irytacja. - Każdy interpretuje Boskie intencje, jakby co tydzień bywał w niebie na konferencjach prasowych. Plaga jakaś czy co?

- To akurat jest dobrze wiadome. Samobójców nie chowa się nawet w poświęconej ziemi.

Zamurowało nas. Dotychczas nikt nie myślał o śmierci Kamili w takich kategoriach.

Przynajmniej nic podobnego nie przyszło mi do głowy. Gdyby Kaśka miała rację, byłoby to straszne. Ktoś, kto za życia był tak nieszczęśliwy i zdesperowany tak odarty ze złudzeń i nadziei, tak głęboko pogrążony w rozpacz że aż w

samouniwersum szukał ukojenia, miałby być jeszcze po śmierci potępiany?

Zakopany w jakimś specjalnie oznaczonym miejscu, aby każdy przechodzień mógł wzdrygać się ze świętym obrzydzeniem i mówić, że tu leżą ludzie przeklęci przez Boga? Niemożliwe, Bóg nie może być gorszy od ludzi, a ja Kamili bym przebaczyła.

- Wiesz, że dzwonił, tylko nie wiesz, w którym kościele

- po ciężkiej chwili milczenia powiedział Jarek. Bardzo chciałam, żeby jakoś, obojętnie jak, wykazał czarno na białym niedorzeczność słów Kaśki. I Jarek mnie nie zawiodł. - Na szczęście Bóg w swoim zamyśle twórczym nie kierował się inteligencją żadnej blondynki ani nawiedzanej babci wmoherowym berecie. Moim zdaniem, jeżeli już Bóg czegoś nie wybacza, to z pewnością głupoty, tak więc to raczej ty, Słowikówna, zastanów się nad swoją przyszłością w zaświatach.

Nie było łatwo dyskutować z Jarkiem, szczególnie takim intelektualnym cieniasom jak Kaśka, którzy dysponowali zaledwie arsenałem banałów. I chociaż potrafiła ona zgrabnie

i z sensem ślizgać się po każdym temacie, nie porażała oryginalnością. Najczęściej powtarzała zasłyszane czy przeczytane gdzieś opinie, natomiast sama prochu by nie wymyśliła.

- Nie wymądrzaj się. Może jesteś dobry z matmy czy fizyki, ale o prawdach objawionych nie masz zielonego pojęcia!

- Kaśka nie zamierzała ustępować.

- Tak? A o jakich konkretnie?

- Pofatyguj się do kościoła, heretyku, usłyszysz.

- Spiżowy koń by się uśmieł, słuchając ciebie. - Jarek był bezlitosny.

- Oczywiście koń odlany ze spiżu z tych przetopionych dzwonów, które akurat nie dzwonią - wsparł Jarka Paweł, specjalizujący się w abstrakcyjnych żartach.

Kaśka nie mogła się zdecydować, czy sytuacja, w której się znalazła, obraża ją, czy nie. Przez chwilę nerwowo mrugała oczami, wreszcie złożyła usta w obrażony ryjek i odwróciła się ostentacyjnie tyłem do Jarka.

Ten ruch przywołał wspomnienie jej wyniosłych min demonstrowanych wobec

Kamili. Pomyślałam, że albo pamięć Kaśki działa wybiórczo, albo uważa nas za sklerotyków. Tak czy siak, jej ataki na Natalkę były szczytem obłudy, chociaż Natalka też nie była wobec Kamili w porządku.

Tymczasem Kaśka zastygła w swojej obrazie i jeżeli czekała na jakieś przeprosiny, to się nie doczekała.

- Czepiasz się mnie. Idę. - Wreszcie zerwała się z krzesła.

- Idź, tylko nie zapomnij zapłacić za siebie rachunku

- przypomniała jej Dorota.

- Jasne, że zapłacę. - Zostawiła na stoliku należność i pośpiesznie wyszła.

Atmosfera złagodniała.

125

Jeszcze tego samego wieczoru telewizja regionalna w wiadomościach, między informacjami o problemach z przebudową skrzyżowania ulicy Dąbrowskiego z Zamkową i spadku cen żywca, zamieściła krótką wzmiankę o śmierci Kamili. Najpierw pokazano wieżowiec, w którym mieszkała, potem zbliżenie okna, z którego wyskoczyła i kilkoro sąsiadów, którzy z telegraficzną zwięzłością zapewnili, iż R... (pi, pi) to porządna rodzina; potem przebitka na naszą szkołę, kilkusekundowa wypowiedź dyrektora, że jest zaskoczony i wstrząśnięty, gdyż Kamila R... (pi, pi) była dobrą uczennicą i nie sprawiała żadnych problemów wychowawczych,- znów szybka przebitka na Natalkę i Roberta - również zaskoczonych i również wstrząśniętych. Na koniec głos zza obrazu poinformował, że policja prowadzi w tej sprawie dochodzenie. Tyle.

Krótsza wzmianka pojawiła się również w dzienniku głównym z dodatkową informacją, że według statystyk w Polsce rocznie odbiera sobie życie blisko sześćuset pięćdziesięcioro uczniów do lat osiemnastu. Nigdy dotąd telegraficzna oszczędność słów przy opisie nawet największych tragedii nie wydawała mi się tak niestosowna, jak w przypadku Kamili. Powiedziałam głośno, co na ten temat myślę.

- Dziecinko, to tylko słowa, słowa, słowa - skwitowała filozoficznie ciocia Wandzia, nie podejrzewając nawet, że ham-letyzuje.

* * *

Następnego dnia na długiej przerwie Lilia poinformowała klasę, że pogrzeb Kamili odbędzie się za dwa dni o godzinie trzynastej. Decyzją dyrektora w pogrzebie mogła uczestniczyć cała nasza klasa i delegacje z pozostałych klas. Dyrekcja i Komitet Rodzicielski zafundowali dwa wieńce.

- My też powinniśmy kupić składkowy wieniec. Kto jest „za” ? - Natychmiast inicjatywę przejęła Sabina. Wszyscy podnieśli ręce.

- Proponuję białe róże. Czy są inne propozycje? - Nie było.

- Zbieram po osiem złotych, jak będzie za mało, dozbieram; jak za dużo, zwrócę resztę. Pieniądze można wpłacać od zaraz. Przypominam, składka nie jest obowiązkowa.

Ostatnie słowa Sabina wyraźnie skierowała do Kaśki, ta jednak tylko wzruszyła ramionami. Tego dnia zaledwie kilka osób dysponowało kasą, więc koło naszej ławki nie było zagęszczenia, pomimo to Sabina zrezygnowała z międzylekcyjnych spotkań z Artkiem i trzymała dyżur. Miałam wrażenie, że szuka pretekstu, żeby się do mnie odezwać, ale jak na złość Jarek nie odstępował mnie na krok ani w czasie przerw, ani

po lekcjach.

Tymczasem klasowe plotki na temat Kamili osiągnęły apogeum. Prawie każdy powtarzał zasłyszane na mieście nowiny, najróżniejsze przypuszczenia prawem kaduka wciskały się w miejsce prawdy. Wczorajsze słowa Sabiny wypowiedziane w „Czarnym Kocie” na temat możliwości, które mogły być powodem samobójstwa koleżanki, stawały się ciałem. Przypuszczenie rozbite na pojedyncze elementy przypisane zostało konkretnym, ponoć doskonale zorientowanym informatorom - jakiemuś znajomemu znajomych, pracownikowi prokuratury, jakiemuś policjantowi, wujkowi kolegi z podwórka, jakiemuś kuzynowi, chciał traf lekarzowi przeprowadzającemu sekcję zwłok i tak dalej, i tak dalej w rozmaitych konfiguracjach i wariantach.

Domniemania krążyły po szkole, obrastając coraz to nowymi szczegółami. Cięża, brutalny gwałt, patologia rodzinna i jakaś tajemnicza, nieuleczalna choroba walczyły zązaracie o palmę pierwszeństwa. Kilka osób łączyło te powody w pęcz-

127
ki, uważając, że jeden powód to za mało do tak desperackiego kroku.

Następnego dnia w czasie przerw Sabina nadal zbierała składkę na wieniec. Teraz przy naszej ławce panował spory tłok, temat rozmów był oczywisty, więc miałam możliwość wysłuchać wszystkich opinii z wyjątkiem opinii ciągle nieobecnej Gośki oraz Kaśki Słowik, która zniknęła tuż po dzwonku na przerwę i pojawiała się równo z dzwonkiem na lekcję. Tak dojrnęła do ostatniej w tym dniu matematyki, po której zniknęła na dobre.

Wpłaciłam Sabinie pieniądze jako ostatnia.

- Pójdiesz ze mną wybrać i zamówić wieniec? - spytała niespodziewanie, jakby między nami nigdy nie było żadnych nieporozumień.

- Jasne - odpowiedziałam w tym samym duchu.

Byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy Jarkowi powiedziałam, że dzisiaj dla niego nie mam i nie będę miała czasu, zabezpieczając się na wypadek, gdyby Sabinie przyszła ochota na dłuższą pogawędkę. Niepotrzebnie, gdyż dołączył do nas Artek, który tego dnia skończył lekcje wcześniej i czekał na Sabinę na skwerku obok kwiaciarni.

Zjiów Tatiycja

Wieczorem, kiedy usiadłam, żeby niczym puzzle poskładać zasłyszane informacje, wydarzyło się coś, co sprawiło, że wydarzenia minionego dnia zbladły, a wszelkie rewelacje stały się zaledwie nic niewartymi plotkami z magła.

Zadzwoił dzwonek. Kiedy otworzyłam drzwi, pomyślałam, że uległam halucynacjom. W progu stała Patrycja Kwia-

128

towska. Ledwie ją rozpoznałam. Wszystko, od butów na niebotycznym obcasie, poprzez krwistoczerwone, opięte spodnie, bluzkę kończącą się pięć centymetrów nad pępkiem, odważny makijaż, po rude włosy ze sporymi odrostami, czyniło ją zupełnie inną osobą. Bardziej odmienionej córki państwa Kwiatowskich nie można było w ogóle sobie wyobrazić. Na ramieniu targała sporą podrózną torbę.

- Patrycja? Na pewno?

- Jasne! - Rzuciła mi się na szyję. - Przenocujesz mnie?

- Oczywiście, wejdź. Powiem rodzicom, że będziemy się uczyć do klasówki - uprzedziłam ją szeptem. Wolałam nie ryzykować informacją, że mają pod swoim dachem osobę poszukiwaną przez policję. Na ogół mówię prawdę, więc drobne kłamstwo od czasu do czasu mogłam bezpiecznie przemycić. Poradziłam jej jednak, żeby na wszelki wypadek zmyła makijaż i z grubsza upodobniła się do dawnej Patrycji Kwiatowskiej.

- Chętnie. Marzę o kąpieli w cywilizowanych warunkach. Da się zrobić?

- Bez problemu. - Zaprowadziłam ją do łazienki. Kiedy ona brała prysznic, ja siedziałam na brzegu wanny.

- Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz nie myłam się w miednicy w zimnej wodzie. Bo wiesz, stać nas najwyżej na wynajęcie komórki lub poddasza bez wygód, a wszystko dlatego, że jako niepełnoletnia mogę pracować jedynie na czarno. Najczęściej jako kelnerka, pikolak, pomoc kuchenna, sprzątaczką. Ogólnie sralis mazgalis.

- A Bartek?

- Bartek? To wszystko stało się za szybko... - rzuciła wymijająco.

- Gdzie teraz mieszkacie?

- Właściwie to nigdzie.

- Od pewnego policjanta, który prowadził w twojej spra-
129

wie dochodzenie, dowiedziałam się, że przebywacie w Bieszczadach.

- Tak, zaczepiliśmy się w Ustrzykach Górnych, ale gdy jacyś podejrzani faceci zaczęli o mnie wypytywać, zwaliśmy nad morze. Dobrze się złożyło, bo poznaliśmy akurat Maćka, który mówił, że ma wolną chatę i tak dalej. Na miejscu okazało się, że chata jest wolna przez dwa tygodnie. Potem wrócili jego starzy i musieliśmy się ewakuować.

Przemiana, jaka zaszła w Patrycji, nie dotyczyła jedynie wyglądu. Była kimś zupełnie innym.

- Nie masz ochoty wrócić do domu? Twój rodzice mocno przeżyli twoją ucieczkę. Może teraz się zmienia?

- Jeżeli wrócę jak zbity pies z podkulonym ogonem, będzie jeszcze gorzej. Wyjdzie, że racja jest po ich stronie. Jak ich znam, dojdą do wniosku, że byli dla mnie zbyt pobłażliwi, założą mi pas cnoty i przykują za nogę do kaloryfera. Jeżeli wrócę, to tylko na swoich warunkach.

- Co masz na myśli?

- Ty mi pomożesz. Zadzwoń na policję, policja mnie odprowadzi, może nawet w kajdankach, do domu, a wtedy ja powiem: „Nie będę więcej uciekać, jeżeli uwzględnicie moje postulaty”.

- Nie wyobrażam sobie policji w naszym domu. Rodzice są tolerancyjni, ale czegoś takiego by mi nie wybaczyli.

- Ojej, policja może mnie zgarnąć gdziekolwiek. Wszystko jest do dogrania.

Patrycja wyszła spod prysznica, wytarła się, wysuszyła włosy ubrała się w mój szlafrok i wróciłyśmy do mojego pokoju. Teraz, bez makijażu, bez nastroszonej fryzury wyglądała marnie: blada cera, sińce pod oczami i zapadnięte policzki.

- Pomyślimy, na razie pójdę powiedzieć rodzicom, że będziesz u mnie nocować.

Zjesz coś?

- Nie pytaj. Jestem głodna jak wilk.

Kiedy kwadrans później jadłyśmy kolację, zadałam wreszcie pytanie, które powinnam zadać, gdy zobaczyłam Patrycję w drzwiach: „Dlaczego przyjechała?”. Reakcja Patrycji była zaskakująca - schowała twarz w dłoniach i wybuchła gwałtownym płaczem.

-Boże, co się stało?

- Zobaczyłam w dzienniku telewizyjnym informację o śmierci Kamili. Przed moją ucieczką Kamila, na wszelki wypadek, dała mi adres i telefon do swojej babci. Powiedziała, że w sytuacji podbramkowej mogę u niej na parę dni znaleźć schronienie. Wcisnęła mi nawet list polecający chociaż nie przypuszczałam, aby to było kiedykolwiek potrzebne. Zadzwoiłam, ale tam jakaś osoba poinformowała mnie, że babcia dwa tygodnie wcześniej zmarła. Zadzwoiłam więc do sekretariatu szkoły i dowiedziałam się prawdy. Przyjechałam na pogrzeb - mówiła przez łzy. - Siedziałam z nią w jednej ławce dość długo, zanim moja matka wariatka nas rozdzieliła. Bo wiesz, Dianko, myśmy dużo opowiadały sobie nawzajem. Ja miałam w domu okropnie, ale to pestka w porównaniu z tym, co miała Kamila. To oni ją zabili. Chcę iść na policję i wszystko im opowiedzieć.

- Co o niej wiesz? - Krew uderzyła mi do głowy na myśl, że oto jestem blisko rozwiązania swojego prywatnego śledztwa.

- Zapaliłabym.

- Skoro bez tego się nie obejdziesz, to zapal, ale dym musisz wydmuchiwać za okno. W domu wszyscy bez wyjątku są zaprzysięgłymi wrogami papierosów.

Musiałam uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż Patrycja wychylona przez parapet upora się z papierosem. Paliła łapczywie, zaciągając się głęboko, przetrzymując w płucach dym, jakby chciała każdą komórkę ciała dokładnie nasaczyć niko-

131

tyną. Gdy żar zaczął ją parzyć w palce, zdusiła niedopałek i wcisnęła go do pudełka po zapalkach, już pełnego wcześniejszych niedopałków.

- Na czym to stałam? Aha. Żaliłam jej się na swoją pieprzoną sytuacją w domu, wtedy ona, żeby mnie pocieszyć, powiedziała, że w życiu bywają gorsze przypadki. I tak od słowa do słowa opowiedziała mi o sobie. A ty, co wiesz o niej?

- Nic. Po prostu nic.

- Wcale ci się nie dziwię, Kamila była okropnie zakompleksiona, wiesz, miała bardzo niskie poczucie własnej wartości. Czekala na pełnoletność, żeby przenieść się do babci. - Patrycja niespodziewanie wykonała narracyjny zwrot. - Najpierw tylko Kamila wiedziała, że mam zamiar dać nogę z Bartkiem. Odradzała mi, prosiła, żebym się sto razy zastanowiła, zanim zrobię jakieś głupstwo. Ale nic do mnie nie docierało. Uważałam, że oto los podsyła mi w postaci Bartka łódź ratunkową. Wtedy Kamila dała mi namiary na swoją babcię. Mówiła, że to na wszelki wypadek, gdybym znalazła się w trudnej sytuacji albo coś w tym rodzaju.

Tatrycja opowiada oJCamili

- Dlaczego na babcię, a nie na swój dom?

- Bo w swoim domu Kamila nie miała żadnych praw. Mama Kamili zmarła, gdy Kamila była jeszcze w podstawówce. Po dwóch latach alkoholowej żałoby jej ojciec

ożenił się z rozwódką z córką, nieco starszą od Kamili. Macocha, która jest młodsza od ojca o jakieś dziesięć lat, raz-dwa owinęła go sobie dookoła małego palca. A kiedy urodził się im syn, facet zgłupiał do tego stopnia, że zerwał kontakty z własną matką. Nie poszedł nawet do szpitala, kiedy umierała. A wiesz, co niby było powodem tej nienawiści?

132

- Nie wiem.

- Kamila. Po gimnazjum starzy stwierdzili, że nie pójdzie dalej do szkoły, będzie się zajmować młodszym bratem. Wtedy obie babcie, ta ze strony ojca i ta ze strony jej pierwszej mamy wstawiły się za Kamilą. Zagroziły nawet, że powiadomią jakieś władze i w końcu starzy ustąpili. Macocha wybrała dla niej naszą budę, bo przewidywała, że Kamila sobie nie poradzi, i wtedy wyjdzie czarno na białym, że racja była po jej stronie. Kamila przyrzekła sobie, że chociażby nie wiem co, liceum skończy, potem pójdzie na studia.

- Czy oni bili Kamilę? - Stała mi w pamięci jej posiniaczona twarz.

- Jeszcze jak. Macocha tak strasznie nienawidziła Kamili, że zamieniła jej życie w piekło. Wmówiła mężowi, że jego córka jest niedorozwinięta umysłowo, że ma kurewski charakter, że prędzej czy później przyniesie do domu bachora, że jest leniwa, złośliwa i tak dalej, i tak dalej. Ojciec zaczął, jak mówił, wybijać z niej te wady. Ale to nie było takie sobie bicie.

- Nie żartuj, jakie może być bicie?

- Kamila nazywała to egzekucjami. Kiedy ojciec wieczorem wracał z pracy macocha z przyrodnią siostrą referowały mu wszystkie przewinienia Kamili, a on ją tłukł. Okładał pasem, kablem, kijem od miotły... wszystkim, co wpadło mu w ręce. Miała już połamane żebra, palce, powybijane stawy i niezliczoną liczbę siniaków.

- Coś mi w tym wszystkim nie gra. Skoro jej tak nienawidzili, dlaczego nie pozwolili jej odejść do babci?

- Kamila była darmową służącą. Całymi dniami bawiła ich bachora, wstawiała do niego w nocy prała, sprzątała, prasowała, gotowała, robiła zakupy, ale nie miała prawa usiąść ze wszystkimi przy stole, a spała na materacu w przedpokoju.

- W takim razie, kiedy ona miała czas się uczyć?

133

- Na przerwach, po każdej lekcji powtarzała materiał i w miarę możliwości odrabiała zadania domowe. Uczyla się również w drodze do budy i z budy. Nie uwierzysz, jaka była pracowita. I zdolna, bo gdyby miała moją głowę, to... kaplica.

- Więc dlatego na przerwach prawie nie wychodziła z ławki.

- Pragnęła dotrzeć do matury. Mówiła, że wszystko wytrzyma. Nawet gdyby miała ciągnąć na samych trójkach, ale przecież wiesz, należała do tych lepszych. Poza tym nie wolno było jej nikogo sprowadzać do domu ani przyznawać się do rodziny. Te francyzki za wszelką cenę chciały zachować pozory, że są normalną, porządną rodziną. Pokazała mi kiedyś swoją macochę i przyrodnią siostrę. Padniesz, gdy się dowiesz, kto to jest.

-Kto?

- Macocha to taka wymalowana pinda, która ma pierwszą budę z butami na bazarze przy Podmiejskiej. Kojarzysz?

- Nie, ale pójdę ją sobie obejrzeć.
- A jej przyszywaną siostrą jest taka Anetka, która pozuje na Cyganekę i każe na siebie mówić Carmen. Wiesz, taka wysoka brunetka z lokami po pas i z nosem jak klamka od zakrystii. Musisz ją znać, jest ponoć stałą bywalczynią dyskotek w „Czarnym Kocie”. Nosi wielkie jak spodki złote kolczyki i po dziesięć bransoletek na każdej ręce.

- A tak, tak, wiem, o kim mówisz. Nie pamiętam tylko, do jakiej budy chodzi.

- Na razie do żadnej. Podobno dwa razy nie dostała się do szkoły aktorskiej w Łodzi. Ma zdawać do skutku. III razie ćwiczy się w dykcji, bierze leką tańca i piacie nad swoim wizerunkiem artystycznym. Poza tym wiesz, co myślę?

-Co?

- Że starzy Rutkowie maltretowanie traktowali jak afrodyzjak. Kamila mówiła, że im mocniej ojciec ją sprzął, tym

134

macocha była dla niego miłsza, więc starało się chłopisko, jak mogło.

- Przesadzasz. Nigdy o takim zboczeniu nie słyszałam.

- Nie słyszałaś o sadystach?

- Słyszałam, ale sadyści zadają ból swoim partnerom seksualnym.

- Ta baba jest zboczona bez względu na to, czy ich postępowanie ma naukową nazwę, czy też nie ma. Problem nie tkwi w nazewnictwie.

- Chyba przesadzasz.

- Jeżeli nawet, to niewiele.

- Ja na jej miejscu nie czekałabym na pełnoletność. Poszłabym do babci i już - powiedziałam z wiara, że mój upór byłby skuteczniejszy niż prawo, którego zresztą nie znałam.

- To nie takie proste pójść sobie z domu. Popatrz, ja uciekłam i jestem przez policję poszukiwana jak jakiś przestępca. Gdyby postawiono przed sądem mnie i moich starych, jak myślisz, komu sąd dałby wiarę? Wywiad środowiskowy? Nikt z sąsiadów na Kwiatowskich nie powie złego słowa. Wręcz przeciwnie: porządni, kulturalni... same ochy i achy Z Rutkami byłoby podobnie, a Kamila w razie uciezki, nawet do babci, raz-dwa skończyłaby w poprawczaku. Jej starzy wciąż się odgrażali, że tam skończy, jeśli będzie krnąbrna. - Patrycja zamyśliła się na chwilę. - Powiem ci coś, nie byłam w szkole orłem, ale uważam, że program nauczania to sztuka dla sztuki. Zamiast wtłaczać nam do głowy wiedzę o przewodzie pokarmowym żaby raka czy innego turkucia podjadka, powinni nas uczyć podstaw prawa. Boimy się. Nie wiemy gdzie szukać pomocy. Przecież ustawodawcy przewidzieli jakiś sposób pomocy takim osobom jak Kamila. Przekonałam się, jacy jesteśmy głupi, gdy próbowaliśmy z Bartkiem wziąć ślub. Daliśmy tylko zarobić różnym naciągaczom, którzy obiecali pomoc. Kamila nie wytrzymała.

135

- Gdybym wiedziała o sytuacji Kamili wcześniej, poprosiłabym tatę o radę.

W tej chwili uświadomiłam sobie, że nie wiedziałam, bo nie chciałam wiedzieć. Nikt z nas nie chciał wiedzieć. Mama podejrzewała u Kamili wstrząśnienie mózgu, dlaczego nie namówiłam koleżanki na dalsze leczenie? Gdyby dodatkowe badania potwierdziły tę diagnozę, może lekarze wyciągnęli z niej prawdę? Uruchomili jakieś

działania?

- Dlaczego Kamila nie porozmawiała z ojcem? Dlaczego nie spróbowała otworzyć mu oczu na postępowanie macochy i siostry?

- Też ją o to zapytałam, chociaż z własnego doświadczenia wiem, że rozmowa, na przykład z moimi rodzicami, to w ostatecznym rachunku takie sralis mazgalis. Tak są przekonani o własnej nieomyślności, że aby słuchali, trzeba by najpierw ich związać, potem zakleić taśmą usta i szybko mówić, żeby skończyć, zanim krew ich zaleje. Jak widzisz, wyzwanie nie należy do łatwych. W przypadku Kamili mogło być jeszcze gorzej.

- Nie wyobrażam sobie, jak może być jeszcze gorzej.

- Macocha Kamili to wyga kuta na cztery nogi. Zaraz po ślubie kazała jej wyprasować ogromną stertę bielizny Kamila prasowała, a ona wciąż ją ganiła: a to źle nawilżone, a to nierówno złożone, a to żelazko za zimne, a to źle odstawione, a to za gorące. Po jakiejś godzinie stwierdziła, że Kamila jest skończonym tumanem, wyrwała jej żelazko i przycisnęła nim dłoń, którą ta trzymała na desce. Podobno Kamila posikała się z bólu. Całą noc trzymała rękę w zimnej wodzie.

- Nie powiesz chyba, że coś takiego ojciec Kamili puścił płazem?

- Gorzej. Jeszcze ją zbił. Macocha, łamiącym się niby to z szoku głosem, naskarżyła mu, że Kamila złośliwie przypali-

136

ła sobie rękę płomieniem kuchenki gazowej, żeby jej nie pomagać w kuchni. Ojciec nawet nie zamierzał słuchać Kamili, od razu chwycił za pas i stłukł ją na kwaśne jabłko. Wtedy zrozumiała, że stoi na przegranej pozycji, bo ojciec kupi każdą niedorzeczność od swojej młodej żony. Od tego przypadku Kamila miała jedyny cel - przetrwać.

Opowieść Patrycji brzmiała strasznie. Codziennie patrzyło na Kamilę trzydzieści par oczu i nikt niczego nie zauważył? Łatwiej nam było dostrzec jakiś wystrzałowy ciuch Natalki czy nową dziewczynę Roberta niż rany sińce i rozpacz koleżanki. Wśród tych osób byłam ja.

- Moja ślepotą jest niewybaczalna. - Przyznałam się z ciężkim westchnieniem: - Raz Kamila przyszła do mnie z siniakami na twarzy prosić o załatwienie lekarskiego zwolnienia. Wyobraź sobie, nawet nie zagadnęłam jej na temat tych siniaków.

- Pamiętam. Była ci za to bardzo wdzięczna. Naprawdę. Ten przypadek był wyjątkowo wredny. Ku ogromnemu zaskoczeniu Kamili macocha dała jej nowy sweter. Kamila ucieszyła się i zaczęła wierzyć, że być może zanoszą się na pozytywne zmiany. Niestety, wieczorem wyszło szydło z worka. Macocha, jak zwykle zbolalym głosem, zaczęła psioczyć na niewdzięczność pasierbicy. Ale tym razem była to dopiero uwertura do tego, co nastąpi. Nagle wyciągnęła z szafy ten nowy sweter, a w nim, na samym środku, była wycięta wielka dziura. No i się zaczęło. Macocha płacząc histerycznie, wrzeszczała, że tego już dłużej nie wytrzyma, że ona robi wszystko, aby zastąpić sierocie matkę, a w zamian otrzymuje tylko same złośliwości i ośli upór. W końcu, niby to wyczerpana atakiem rozpacz, opadła na fotel i wyjęczała do starego Rutki: „Nie zrozum mnie źle, kochanie. Ten sweter to tylko sweter, strata materialna niewielka, lecz chodzi o to, że Kamila specjalnie

137

wszystko niszczy, aby pokazać ludziom, że ją zaniedbujemy. Ta dziewczyna nie ma ani odrobiny serca. Dla nikogo".

- Jezu!

- Anetka skwapliwie potwierdzała każde słowo matki i dorzucała swoje trzy grosze. No i stary dostał amoku. Ponoć na usta wyszła mu piana. Kamila przysięgała, że po raz pierwszy w życiu zobaczyła w oczach ojca chęć mordy. Wiedziała, że tym razem ją zabije, rzuciła się do ucieczki. Stary nie miał w tamtej chwili pod ręką żadnego kija ani kabla, a ze wściekłości zapomniał o pasku w spodniach, więc zaczął rzucać w Kamilę, czym popadło. Ponieważ siostra z macochą blokowały jej dostępu do drzwi, biegała po pokoju jak jakieś... zwierzę w klatce. Nie było miejsca, gdzie mogłaby się ukryć, ani nikogo, kto by ją wziął w obronę. W końcu dostała w twarz flakonem, przewróciła się i wtedy wałnął ją krzesłem. To cud, że jej nie zabił.

- Boże, Patrycja, przestań. Nie mogę tego słuchać.

- A co ja mam powiedzieć? Opowiedziała mi o tym wszystkim, lecz mój głupi łeb pełen był amorów. Wciąż tylko kombinowałam i kombinowałam, jak się urwać z jakiejś lekcji i spotkać z Bartkiem. Z pożytkiem dla siebie i Kamili mogłam go sobie odpuścić, byłam przecież jedyną osobą, której się zwierzała... Zabrakło mi wyobraźni, a przecież sama wiele razy miałam ochotę skończyć ze sobą... - Patrycja znów się rozszlochała.

- Wszystkim nam brakło wyobraźni. Czy wiesz, jak naprawdę wyglądała znajomość Kamili z Robertem Wolańskim? Przez jakiś czas chodzili ze sobą.

- Była wtedy szczęśliwa. Niestety krótko. Pechowo ta jej cholerna niby-siostra Anetka zobaczyła ich razem i natychmiast doniosła staremu Rutce. Ten swoim zwyczajem stłukł córkę do nieprzytomności i zagroził, że jak się dalej będzie

szlajać z podejrzanymi typami, to wsadzi jej rozżarzony pręt do tyłka. Wtedy zerwała z Robertem... Nie tyle zerwała, co umówiła się, że na nowo zaczną się spotykać, gdy skończy osiemnaście lat i zamieszka już u babci. Kazała mu przysiąc, że nigdy, absolutnie w żadnych okolicznościach, nie zbliży się do jej domu. Z tego, co wiem, nie wtajemniczała go w swoje przejścia, powiedziała tylko, że inaczej postąpić nie może, i że kiedyś mu wszystko wyjaśni.

„Osiemnaście lat to ta meta, do której Kamila biegła i nie dobiegła" - pomyślałam, ale nie podzieliłam się tą refleksją z Patrycją.

- Z boku wszystko wskazywało na to, że Robert zainteresował się Natalką Barską.

- Nie wiem, czy tak było, czy może tylko tak wyglądało. Wiesz, jaka Natalka jest, czuje się obrażona, gdy w jej towarzystwie faceci zwracają uwagę na inne dziewczyny. Kiedy w czasie sylwestrowej zabawy Robert poderwał Kamilę, a do tego wszyscy zaczęli prawić Kamili komplementy, postanowiła pokazać, komu należy się palma pierwszeństwa. No i zagięła parol na Roberta. A swoją drogą chłopak wart jest grzechu.

- Nie rozumiem, dlaczego akurat wtedy. Przecież do sylwestra między Robertem a Kamilą nie było nawet śladowej sympatii

- Myślę, że to było tak: póki Robert chodził z Justyną, potem z Anką z Ilb, potem z Olą z Ia, Natalka nie wchodząc im w drogę, czekała na stosowny moment, żeby się koło niego zakreślić. Lecz kiedy zainteresował się Kamilą, i na dodatek

przyprowadził ją do stolika, przy którym siedziała ONA, jej ambicja została boleśnie zraniona. Postanowiła za jednym zamachem poderwać Roberta i pokazać Kamili, gdzie jest jej miejsce w szeregu. Znam tę sprawę z dwóch źródeł. Jak wiesz,
139

Natalka umożliwiła mi spotkanie z Bartkiem w swoim domu. Mówiła przy okazji na temat Kamili to i owo, a ja, żeby nie tracić sposobności do randek, nie tylko słuchałam tych bzdur, ale za każdym razem potwierdzałam, że Kamila nie może się z nią równać. Ależ byłam głupia. Gdzie ja miałam rozum?

- Gdyby Kamila mogła spotykać się bez przeszkód z Robertem, a ty z Bartkiem, nie doszłoby do takiej sytuacji.

- Najwidoczniej w życiu najtrudniej jest o normalność. Nawet wtedy gdy człowiek ma ogromną ochotę być cool, to summa summarum okaże się, że też jest nienormalny bo niby jakim cudem w nienormalnym domu miał się nauczyć normalnego życia.

Do pokoju weszła ciocia Wandzia, żeby pozbierać naczynia. Po jej wyjściu Patrycja kontynuowała:

- Popatrz, Dianko, jak to jest. Mnie rodzice omal nie zagłaskali na śmierć, Kamilę traktowali gorzej niż psa. Mnie ochraniaли nawet przed najdurniejszymi, najmniej prawdopodobnymi zagrożeniami, jakie tylko mogły przyjść im do głowy Kamila służyła za worek treningowy Wiesz, czego to dowodzi?

-Czego?

- Dorośli, żeby nie wiem jak mieli narąbane w głowach, mogą mieć tyle dzieci, ile sobie zamarzą. Przecież, gdy zabierają się do prokreacji, nikt nie wymaga od nich ani świadectwa zdrowia psychicznego, ani pedagogicznych kwalifikacji. Tym bardziej nikt nie pyta dzieci, czy odpowiada im rodzina, która powołuje je do życia. I potem zjawiasz się u jakichś Kwiatowskich, a oni ci każą gustować w szklanych łąbądkach, fajansowych króliczkach i porcelanowych pastuszkach... Urządzą ci pokój pełen różowych firaneczek, koronkowych falbaneczek, słodkich bibelotów i obrazeczków z aniołeczkami. Albo inna opcja. Tatuś zafunduje ci mamuszkę makabrę i siostrzyczkę koszmarek. - Potarła dłonią czoło i zaśmiała się ironicznie. - Mało tego, że dostaniesz takich starych. Oni mają nad tobą władzę. Mogą cię dotąd przykrawać do modelu, jaki noszą w swoich chorych mózgownicach, że albo przestaniesz być sobą, albo zrobisz coś głupiego. A kiedy ich spytasz, dlaczego to robią, powiedzą, że dla dobra dziecka. Mówią tak nawet wtedy, gdy sami w to nie wierzą, bo to dobrze brzmi.

Miałam wielkie szczęście, że moje skłonności są zbieżne z metodami wychowawczymi moich rodziców. Los oszczędzał mi wielkich problemów. Być może takich rodzin jak moja problemy w ogóle się nie imają. Kiedy ktoś jest w rozpacz, nie wypada myśleć o własnym szczęściu, a tym bardziej o nim mówić, spróbowałam ją pocieszyć.

- To, co się stało... już się nie odstanie. - Wyszło niezbyt mądrze.

- Teraz już nie, ale był czas, że można było pomóc. I pomogłam. Wiesz jak? - Wtem Patrycja wybuchła niepohamowanym śmiechem, który po krótkiej chwili przeszedł w płacz. - Ja jej dawałam swoje stare skarpetki. Skarpetki. Słyszysz? Skarpetki! Przez chwilę myślałam, że pomieszało jej zmysły

- Boże, o jakich skarpetkach mówisz?
- Zimą Kamila owijała stopy papierem toaletowym, żeby ich nie odmrozić. No to dawałam jej swoje skarpetki, które i tak bym wyrzuciła.
- Mówisz, że nawet nie miała skarpetek?
- Ani skarpetek, ani rękawiczek, ani plecaka... Nosila przecież książki w reklamówce. Po tym wyznaniu Patrycja oklapła, jakby uszło z niej powietrze. Dochodziła już północ, a jutro czekał nas pracowity dzień.

141

Odstąpiłam Patrycji swoje łóżko, a sama poszłam spać do pokoju gościnnego. Mimo późnej pory i klejących się powiek nie mogłam zasnąć. Gdy tylko zamknęłam oczy, widziałam bladą twarz Kamili. Mój Boże, Kamila chciała pokonać przeciwności losu siłą swoich marzeń. Albo te marzenia były zbyt kruche, albo przeciwności zbyt potężne. A może to zupełnie nie tak? Może każdy człowiek potrzebuje przynajmniej jednej osoby, która by w niego wierzyła, wspierała miłością i akceptacją. Dla Kamili tą osobą była babcia. Kiedy zmarła, nie pozostał już nikt, komu dziewczyna mogłaby zaufać. Bez babci została sama. Przerazająco sama i samotna.

Nasze przewiny wobec niej były gorsze, niż to sobie wcześniej wyobrażałam. Nikt z nas nie podał jej ręki, żeby pomóc przejść przez koszmar. Nawet Robert, którego kochała, nie stanął przy niej w tych najtrudniejszych chwilach. Czy można go za to winić? Chyba nie. Kamila chciała, żeby trzymał się od niej z daleka, więc jej posłuchał. Postąpił taktownie, honorowo, ale czy słusznie? Jeżeli potępię Roberta, to jak powinnam ocenić resztę klasy? Pamięć jest bezlitosna. Kiedy Kamili wraz ze śmiercią ukochanej babci walił się świat, klasa zrobiła z niej złodziejkę, a ja, znając prawdę, zachowałam się niczym Piłat, obłudnie umyłam ręce. Gdybym poszła do domu Kamili wtedy gdy zaplanowałam, może zmieniłaby zdanie. Nie musiałam czekać na Jarka, mogłam pójść z kimś innym albo nawet sama. Boże, dlaczego byłam taka głupia?

Szkolna dyplomacja

Tego dnia odpuściłam sobie szkołę. Z samego rana zatelefonowałam do komisarza Różańskiego. Pamiętał mnie, przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

- Muszę się z panem pilnie zobaczyć. Zajmę najwyżej pięć minut - uprzedziłam na wypadek, gdyby nie miał czasu.

- O której mam zarezerwować dla pani czas?

- Będę dokładnie o ósmej

- Błagam, załatw to tak, żeby mnie zwinęli dopiero po pogrzebie. - Patrycja złożyła ręce jak do modlitwy.

- Będzie dobrze. Różański jest równym gościem. Powiedziałam to trochę na wyrost, ponieważ nie miałam pojęcia, czy mimo zewnętrznej ogłady nie okaże się formali-stą. Postanowiłam więc zachować ostrożność.

Tuż przed samym wejściem do komisariatu omal nie dostałam apopleksji. Z bramy wyszła pani Kwiatowska. Zaniemówiłam z wrażenia i tysiące myśli przeleciało mi przez głowę, każda następna gorsza od poprzedniej. „Czyżby jakimś cudem się dowiedziała...? Niemożliwe. A może komisarz Różański wysledził Patrycję swoimi metodami i od razu powiadomił rodziców?” - Ta druga myśl była tak

prawdopodobna, że gdybym nie wrosła w ziemię jak wryta, uciekłabym, gdzie pieprz rośnie. Tymczasem pani Kwiatowska wycelowała we mnie palec wskazujący i powiedziała:

- A widzisz, mówiłam ci. Mówiłam. Niech sobie ludzie opowiadają, co chcą, ja wiem swoje. Spła się i wypadła za okno. Takie tak kończą.

Ogarnęło mnie coś w rodzaju intelektualnego paraliżu. Dopiero po nienormalnie długiej chwili dotarło do mnie, że pani Kwiatowska mówi o Kamili.

- Nikt nie wie, proszę pani, jak było naprawdę.

- Oj, naiwne z ciebie dziewczątko. Naiwne. Jak moja Patry-sia. - Miała ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale z jakiegoś powodu zrezygnowała. Pokręciła głową ni to z politowaniem, ni to z oburzeniem i odeszła.

Ze dwie minuty trwało, zanim ochłonęłam.

143

Komisarz Różański już na mnie czekał w swoim gabinecie. Usiedliśmy w fotelach przy ławie.

- Napije się pani kawy? Herbaty?

- Dziękuję, nie. Nie chcę panu zabierać zbyt dużo czasu.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że z punktu widzenia Różańskiego - po tym, co za chwilę powiem - będę donosicielką. Zwykłym szpiclem. Zaczęłam żałować, że nie załatwiłam sprawy telefonicznie, zmieniając głos, albo... o głupoto! Patrycja sama mogła na siebie donieść. Próbowałam na poczekaniu wymyślić jakieś ładne kłamstewko, ale zdawałam sobie sprawę, że komisarz to bystrzak, raz-dwa mnie rozpracuje. Do diabła, znów się kłaniał punkt trzeci trylogu.

- W takim razie słucham panią.

- Ostatnio naszą klasę trapią nieszczęścia, zginęła koleżanka z klasy Kamila Rutka. Słyszał pan o tym?

- Oczywiście, słyszałem. Dochodzenie prowadzi inspektor Wawrzkiwicz.

- Otóż Patrycja Kwiatowska, w jej sprawie prowadzi pan dochodzenie, siedziała z Kamilą w jednej ławce i dużo wie o jej przeszłości, a to, co wie, z pewnością zainteresuje pana inspektora.

- Bardzo dobrze.

-No właśnie-przytaknęłam głupkowato, rozmyślając, jak dalej poprowadzić rozmowę.

- Proszę dalej. Słucham - zachęcił mnie, odsłaniając w szerokim uśmiechu swoje imponujące uzębienie. Wyobraziłam sobie, jak na moim miejscu siedzi Patrycja. Początkowo niechętna, pod wpływem jego uśmiechu nabiera zaufania i wszystko wielkimi krokami zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu. Z tego wszystkiego zgubiłam wątek.

- Otóż ta Patrycja... Nie wiem, jak to powiedzieć...

- Zwyczajnie.

144

- To nie takie proste - przyznałam się.

- Z pewnością chce pani powiedzieć, że koleżanka obawia się zatrzymania, gdy przyjdzie złożyć zeznanie, prawda?

- No właśnie. Z tym jednak, że moim zdaniem Patrycja powinna wrócić do domu.

- Też tak uważam.

Komisarz Różański uprzejmie czekał na moją propozycję, ale mnie nagle ogarnęły wątpliwości. Powinnam teraz wyłożyć plan, który ułożyłam wspólnie z Patrycją i zaproponować udział w tej intrydze. Intrydze małolatów! Mój tata z pewnością by na coś takiego nie poszedł.

- Co pan proponuje? - Przerzuciłam problem na jego połowę boiska.

Wkońcujestfunkcjonariuszem policji, dochodze-niowcem, czyli specem od taktycznych rozgrywek. To on ma obowiązek wiedzieć.

- Niech przyjdzie tutaj do komendy. Złoży zeznania, a potem postaram się odpowiednio na nią wpłynąć.

- Pogrzeb Kamili odbędzie się o godzinie trzynastej. Postaramy się przyjść do pana około godziny piętnastej. Odpowiada panu?

-Jak najbardziej.

Wróciłam do domu. Patrycja ciągle spała. Zeszłam do kuchni. Ciocia Wandzia jak zwykle krzątała się po kuchni.

- No nareszcie, a gdzież to rano biegasz bez śniadania? Mądrze tak, a?

- Miałam pilną sprawę do załatwienia.

- Nie idziecie dzisiaj do szkoły?

- Nie, ciociu.

- To po j akie lichy wczoraj siedziałyście tak do późna ? Budź koleżankę, zrobię wam omlety

Patrycja już nie spała. Wychylona przez okno paliła papierosa. Kiedy otworzyłam drzwi, podskoczyła jak oparzona.

145

- Och, to ty

- Palisz na czczo? Nie przesadzasz?

- Błagam, tylko bez morałów Co załatwiłaś?

- Spoko. Pójdziemy do komisarza Różańskiego po pogrzebie. Wszystko mu opowiesz. Jest skłonny iść ci na rękę.

- Brzmi nieźle, zobaczymy, co wyjdzie w praniu.

Patrycja zaczęła przetrząsać torbę. Szukała czegoś odpowiedniego na czekającą nas uroczystość, ale nie znalazła niczego. Same jakieś okropne minispódniczki, przyciasne, wyzywające bluzki, pożółkła od długiego używania i kiepskich proszków bielizna. Doprawdy było zadziwiające, jak szybko z jednej skrajności popadła w drugą. Kiedyś grzeczne, wysoko zabudowane bluzki, przydługie spódnice, buty na płaskim obcasie, gładka fryzurka; teraz dekolty miniówek, szpilki i włosy jakby piorun strzelił w miotę. Ciągle się oswajałam z nowym wizerunkiem Patrycji.

- Może te skórzane spodnie? Przynajmniej są czarne.

- Daj spokój. Pożyczę ci coś. - Wyjęłam z szafy granatową sukienkę.

- Przydałaby się jakaś woalka. Wszyscy będą się na mnie gapić.

- Przesadzasz. Nie dzisiaj. Poza tym... niech inni nie będą twoim sumieniem. Masz przecież własne, bądź w porządku wobec niego.

Niespodziewanie Patrycja usiadła na łóżku i wybuchła niepoohamowanym płaczem.

Moje zaskoczenie było tak ogromne, że zapomniałam języka w gębie. Nagle przyszło

mi do głowy że zmaganie się z przeszłością jest najgorszym rodzajem zapasów, jakie tylko można sobie wyobrazić. Patrycja właśnie walczyła i przegrywała.

- Nie, ja tego nie przetrzymam. Nie powinnam tam iść. To dla mnie za wiele. Wracam z łachana jak szmata, by nad jej

146

trumną wylewać spóźnione łzy, chociaż tak naprawdę powinnam się spalić ze wstydu.

- Żal nas wszystkich jest spóźniony. Każdy, kto chciałby źle pomyśleć o tobie, musiałby najpierw sobie samemu na-pluć w twarz. Moim zdaniem ludzie docenią fakt, że mimo swojej sytuacji przyjechałaś pożegnać Kamilę.

- Nie masz racji. Nikt nie zaprzyjaźnił się z Kamilą tak bardzo jak ja. Miałam szansę zrobić coś naprawdę wspaniałego, i co? Nie pisnęłam słówkiem, gdy moja matka szalała z tym rozdzielaniem nas. Gorzej, pokazałam, że pusta ławka jest dla mnie lepszym miejscem niż towarzystwo Kamili. Wiedziałam o jej problemach i milczałam, bo było mi tak wygodnie. Wystarczyło pójść do Lilii albo... Mogłam podzielić się tym z kimkolwiek, a ja trzymałam to w sobie, oddając ewidentnemu złu zwycięstwo walkowerem. Przeraza mnie, że mam taki tchórzliwy charakter. Dałam się ubezwłasnowolnić rodzicom, nie pomogłam Kamili, nie rozwiązałam żadnego problemu ani z Bartkiem, ani z Maćkiem. Ja potrafię tylko uciekać. Nawet teraz mam ochotę uciec.

- Nie mów tak, przecież do przyjazdu tutaj skłoniły cię jak najbardziej szlachetne pobudki.

- Może to tak z boku wygląda. Jeszcze wczoraj też tak myślałam, ale dzisiaj już nie... Nie chcę tam iść.

- Zrobisz, jak będziesz uważać. Moim zdaniem masz te-raz doskonałą okazję, żeby zapanować nad emocjami. Po śniadaniu dam ci coś na uspokojenie.

147

Tożegnanie JCamilt

O dwunastej pobiegłam do kwiaciarni. Czekala już tam na mnie Sabina, Jarek i Paweł Chłopecki. Widok wieńca z gałązek modrzewia i białych róż, fioletowych szarf ze złotym napisem: „Najdroższej Kamili koleżanki i koledzy z klasy” z jednej strony i „Pozostaniemy w głębokim smutku” z drugiej zaczął mnie dławić w gardle.

- Niezależnie od wieńca, prawie wszyscy kupili kwiaty indywidualnie - poinformowała mnie Sabina. - Ja kupię frezje. Pasowałyby do Kamili.

- A dla mnie proszę... - Myślałam o granatowych irysach miniaturkach, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. - Jak się nazywają te drobne, niebieskie kwiatki?

- Niezapominajki - powiedziała lekko zdziwiona kwiaciarka. - Używam ich tylko do dekoracji bukietów zamiast asparagusa.

- Dla mnie proszę zrobić z nich wiązankę i dodać białą wstążkę z fioletową lamówką.

- W kompozycji z innymi kwiatami?

- Nie, same niezapominajki.

- Jak pani sobie życzy ale bukiet będzie skromny i... stosunkowo drogi.

- Ma być skromny. „Taki jak była Kamila” - dodałam

w myśli.

* * *

Od chwili śmierci Kamila funkcję onowała w naszych wspomnieniach i rozmowach. Teraz mieliśmy stanąć tuż przy niej i unaocznic sobie realność tego faktu. Ciało Kamili w białej trumnie ze srebrnymi listkami i z biało-srebrną koronką wystającą spod wieka spoczywało na marmurowym katafalku. Tuż nad trumną Chrystus rozpięty na czarnym krzyżu po-

148

chyłał swoją umęczoną twarz i spod wółprzymkniętych powiek spoglądał na trumnę, jakby mówił: „Spójrz, też umarłem z własnej woli... znam gorycz cierpienia... śmierć nie jest kresem...”.

Ławki zostały zajęte przez starszych. Na ławkach przy samej trumnie siedziała rodzina Kamili. Dalej dyrekcja szkoły oraz wszyscy nauczyciele, którzy uczyli naszą klasę, sąsiedzi, znajomi. Uczniowie wypełniali przejście między ławkami, przedsionek i plac przed kaplicą. To zdumiewające, jak wielu ludzi przyszło pożegnać Kamilę. „Pewnie też się dziwi, gdy to ogląda gdzieś z góry” - pomyślałam. Wraz z Sabiną, Jarkiem, Kingą i Dorotą staliśmy tuż za chłopcami trzymającymi wieńce, miałam więc dobry widok na najbliższą rodzinę zmarłej. Uporczywe gapienie się na kogoś to paskudny zwyczaj, lecz ja musiałam przyjrzeć się ludziom odpowiedzialnym za piekło urządzone Kamili w czterech ścianach domu.

Od razu rozpoznałam Anetkę-Carmen, która nawet dziś chciała robić za gwiazdę. Miała na sobie powłóczystą, czarną sukienkę i koronkowy, czarny szal, założony zwyczajem kobiet Wschodu na rozpuszczone włosy. Siedziała pomiędzy mniej więcej trzydziestopięcioletnią, szczupłą kobietą, sztywną i bardziej pochmurną niż smutną, a przygarbionym, zszarzałym mężczyzną o pustych, nieruchomych oczach. To oni nie potrafili kochać Kamili. To ta kobieta pełna jadu, podłości i nienawiści wzięła na siebie obowiązki matki, chociaż nie powinna. To ta dziewczyna gardziła swoją podarowaną przez los siostrą. I wreszcie ten okropny, zmięty facet, wredny typ, któremu nie podobala się własna córka. Popatrzyłam na jego dłonie ściśnięte pomiędzy kolanami. W te dłonie brał pas, kabel, kij od miotły... i okładał delikatną Kamilkę. Odtrącał, poniżał... Dławiło mnie w gardle. Nienawidziłam ich,

149

życzyłam im wszystkiego najgorszego. Byli ludźmi bez sumienia, a dla ludzi bez sumienia sumieniem jest kodeks karny Jeżeli nawet Patrycja znów ucieknie, pójdę na policję i osobiście zeznam, co słyszałam - postanowiłam.

„Czy takich typów też broni mój tata? - Przemknęło mi przez myśl ohydne pytanie. - Jeśli tak, to... nie jest to w porządku. Nie zostanę adwokatem”.

W tej chwili podeszła do nas Patrycja. Ucieszyłam się, że jednak przyszła. Przywitałyśmy się porozumiewawczymi spojrzeniami i natychmiast zrobiło mi się lżej, że oprócz mnie jest jeszcze ktoś, kto zna tragiczną prawdę, która nas tu zgromadziła. Zauważyłam, że Patrycja również wpatruje się w „najbliższych” Kamili, a jej twarz twardnieje. Rozejrzałam się za Goską. Nigdzie jej nie dostrzegłam, ale zauważyłam Tola i Romba. Obaj byli w ciemnych garniturach z przylizanymi gładko włosami, mieli miny jakby dopiero teraz w pełni dotarła do nich groza ceremoniału, w którym uczestniczyli. Trzymali wieniec równie okazały jak wieńce od klasy, szkoły i Komitetu Rodzicielskiego. Rzecz jasna kupili go od siebie i ten fakt sprawił, że cała złość, jaką w sobie do nich pielegnowałam, minęła bez śladu.

Dalej, przy samych drzwiach stał Przemek Szweda i Dżambo. Reszta jego paczki z pewnością też stała gdzieś w pobliżu, wmieszana w tłum.

Z zakrystii wyszedł ksiądz, żeby odprawić krótką mszę. Chwilę później zabrzmiała muzyka.

Artek z trzema kolegami i, jak się później okazało, siostrą zagrali Requiem Mozarta. Niebawem, ten monumentalny utwór grany przez ogromne orkiestry z towarzyszeniem chórów odtworzyli na skrzypcach, podręcznych organach i flecie. Ale nie instrumenty zaskakiwały lecz anielsko brzmiący głos Artka. Brał tony tak czysto, z taką głębią, że urzeczeni zastygliśmy w zasłuchaniu. Zdawało się, że muzyka pod wysokim, gotyckim sklepieniem, krążąc między posepnymi witrażami smukłych okien nabiera niewypowiedzianego smutku, po czym świetlistą mgłą otula białą trumnę na katafalku.

Słuchałam w odrętwieniu, z poczuciem, że dźwięki przenikają mnie na wskroś, odmieniają i odtąd będę zdolna jedynie oddawać się refleksjom nad ulotnością życia i tajemnicą śmierci.

Powoli, powoli muzyka wybrzmiała aż do ostatniej bezdźwięcznej nuty. Pracownicy firmy pogrzebowej w czarnych uniformach o fioletowych szamerunkach dzwignęli trumnę i konduktem ruszyliśmy w kierunku miejsca ostatecznego spoczynku Kamili. Dzień był wyjątkowo piękny. Świeciło słońce, na niebie przesuwaly się leniwie puszyste jak bita śmietana chmurki, śpiewały ptaki, zza cmentarnego muru dobiegał gwar miasta... Zdawało się, że niemożliwością jest nie istnieć w takim wspaniałym dniu. Że ten kondukt to jakiś senny koszmar.

Niestety, koszmar trwał. Posuwaliśmy się wolno alejką pomiędzy nagrobkami, aż wreszcie stanęliśmy nad wykopanym dołem. Moje serce przyśpieszyło, waliło z takim impetem, że aż poczułam idącą od kolan słabość. Wtem gorąco zapragnęłam, chociaż na krótką chwilę, tę jedną jedyną w życiu, osiąść moc wskrzeszania zmarłych. Podejść do trumny, podnieść wieko i zawołać: „Kamilo, wstań, ty nie umarłaś, ty tylko śpisz!”. Może żądanie cudu to za wiele, lecz przecież zdarzały się przypadki, że ludzi będących w głębokim letargu brano za zmarłych. Budzili się w czasie pogrzebów, dlaczego nie miałyby się coś takiego przydarzyć teraz? „Boże, spraw, żeby Kamila się obudziła. Boże, dla Ciebie cud to niewielkiego. Błagam. ..” - modliłam się tak żarliwie, jak nigdy dotąd, a łzy zalewały mi oczy.

151

Tymczasem wszyscy otoczyli już grób i do przodu wysunął się nasz dyrektor Baliszko. Zapadła cisza, tylko tu i ówdzie słyhać było ciche chlipanie.

- Starożytni Grecy mówili, że wybrańcy bogów umierają młodo. Podzielałam tę opinię. Po ludziach młodych, doskonale się zapowiadających, żal jest tak wielki, tak ogromne jest poczucie niesprawiedliwości, że tylko wołą bogów, by sięgać po to, co najlepsze, można złagodzić smutek. Kamila Rutka, uczennica naszej szkoły należała do tych osób, których pracowitość, umiar i kultura bycia powinny być wzorem dla innych. Postrzegaliśmy ją jako dziewczynkę zrównoważoną, systematyczną, bezkonfliktową, pogodną, z czego wysnuliśmy wniosek o jej spokojnej duszy i życiu bez większych problemów. Dzisiaj wiemy, że nasz osąd nie był pełny. Zawiedliśmy, nie dostrzegając potrzeby pomocy w chwili załamania Kamili. Załamania, które na tę

tragiczną chwilę okazało się dla niej brzemieniem nie do udźwignięcia. Już nigdy się nie dowiemy dlaczego nie szukała u nas ratunku, mogę tylko zapewnić, że zrobilibyśmy wszystko, żeby jej pomóc. Dzisiaj pozostało nam tylko dobrą pamięć o naszej zmarłej uczennicy zachować na zawsze. Kończąc, składałam serdeczne wyrazy współczucia wszystkim tym, których śmierć Kamili okryła żalem. Żegnamy cię, Kamilo.

Zwróciłam uwagę, że nie złożył oddzielnych kondolencji rodzinie zmarłej. Z pewnością nie było to żadne niedopatrzenie. Dyrektor nigdy nie popełniłby takiej gafy, chyba wiedział już to, co Patrycja i ja, i nie chciał być hipokrytą.

Okropne są wszelkie uroczystości pogrzebowe, a w chwili, w której trumna spuszczana jest do przerażającego grobu, a potem głuchy łoskot ziemi spada na wieko trumny coś się w człowieku boleśnie skręca, gardło ściska dławiący spazm, łydki drżą jak galareta. Cud się nie zdarzył. Kamila nie zmartwychwstała.

- Nie bój się, Kamilko, nie bój się, idziesz do mamy, do swojej prawdziwej mamy i ukochanej babci. One na ciebie czekają - powtarzałam szeptem, a spóźnione pocieszenie skierowane do martwej przyjaciółki było tak naprawdę otuchą dla samej siebie. Nie wyprosiwszy cudu, musiałam uwierzyć, że Kamila jest szczęśliwa. Tylko to nam, żyjącym, koło sumienia.

Grabarze sprawnie zasypali dół, z nadmiaru ziemi usypali prostokątną pryzmę, uklepalili łopatami, wyrównali boki, wbili u wezglowia krzyż z tabliczką, zaczęło się składanie wieńców i kwiatów. Ci z pierwszych rzędów odsuwali się, żeby zrobić miejsce tym z tyłu i rosła kwietna góra, aż przykryła i tabliczkę, i krzyż. Jako jeden z ostatnich podszedł Robert Wolański i położył może piętnaście, może siedemnaście czerwonych róż. Machinalnie rozejrzałam się za Natalką. Właśnie oddalała się z Markiem Chłopeckim i jeszcze kilkoma osobami z trzeciej klasy, których nie rozpoznałam. Za to najwyraźniej na Roberta czekała Kaśka Słowik, jednak ten nie miał ochoty na jej towarzystwo, gdyż podszedł do nas. Kaśka po chwili wahania ruszyła samotnie w pewnej odległości za nami.

W smętnych nastrój ach szliśmy wolno w kierunku cmentarnej bramy „Już po wszystkim, już po wszystkim, Kamila należy do przeszłości”. - Po głowie snuła mi się smutna myśl, która mimo wszystko sprowadziła uspokojenie, jakby podświadomość wbrew naszej woli rozumiała nieodwracalność śmierci i stępiła rozpacz. Żywi muszą przecież funkcjonować dalej.

Zanim mineliśmy cmentarną bramę emocje większości z nas opadły na tyle, żeby ujawnić, na razie mocno przyciszone, zainteresowanie Patrycją. Padały dość chaotyczne pytania: czy już wróciła na dobre, jak się czuje, czy dalej jest z Bartkiem, skąd się dowiedziała o śmierci Kamili... ?

153

Wtem Robert zwrócił się do mnie:

- Dianko, chciałem z tobą zamienić kilka słów Wybacz, stary - ostatnie słowa skierował do Jarka, który rzecz jasna szedł obok mnie.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Jarek, oddalając się. Zwolniliśmy

- Muszę ci powiedzieć, że bardzo żałuję, że wtedy nie poszedłem z tobą do Kamili. Ja naprawdę nie znałem i nadal nie znam jej adresu. Poza tym dałem słowo, że chociażby nie wiem, co się działo, nie będę próbował jej odnaleźć. Chcę, żebyś

wiedziała, że Kamila nie była mi obojętna. - Opuścił powieki, żeby ukryć cisnące się do oczu łzy. - Znaczyła dla mnie bardzo wiele, ale tak jakoś wyszło...

Wiedziałam, to bezwzględny świat dorosłych zniszczył to, co zaczęło ledwie kiełkować. Nienawiść i okrucieństwo tych, którzy powinni być najbliżsi Kamili, dotknęła nie tylko ją samą, ale i Roberta, i nas, i całą szkołę. Jednak jego najbardziej. On ją kochał. To się czuło w jego głosie.

- Wiem, że to, co was spotkało, było bardzo skomplikowane.

- Kamila zasłużyła sobie na piękną przyszłość. Była niezwykła. To dziwne, że tak trudno było to dostrzec, ale jak już się dostrzegło...

W tym momencie dopadła nas Kaśka.

- O czym tak rozprawiacie?

Grymas na twarzy Roberta sprawił, że postanowiłam natychmiast splawić intruza.

- Mamy do załatwienia pewną prywatną sprawę - powiedziałam z jawną niechęcią, ale ta miała gdzieś takie subtelności.

- Och, tak mi żal Kamili - wyjęczała, spoglądając boleści-wym wzrokiem na kolegę.

Wtem Robert zwrócił się do mnie:

- Dianko, chciałem z tobą zamienić kilka słów Wybacz, stary - ostatnie słowa skierował do Jarka, który rzecz jasna szedł obok mnie.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Jarek, oddalając się. Zwolniliśmy

- Muszę ci powiedzieć, że bardzo żałuję, że wtedy nie poszedłem z tobą do Kamili. Ja naprawdę nie znałem i nadal nie znam jej adresu. Poza tym dałem słowo, że chociażby nie wiem, co się działo, nie będę próbował jej odnaleźć. Chcę, żebyś wiedziała, że Kamila nie była mi obojętna. - Opuścił powieki, żeby ukryć cisnące się do oczu łzy. - Znaczyła dla mnie bardzo wiele, ale tak jakoś wyszło...

Wiedziałam, to bezwzględny świat dorosłych zniszczył to, co zaczęło ledwie kiełkować. Nienawiść i okrucieństwo tych, którzy powinni być najbliżsi Kamili, dotknęła nie tylko ją samą, ale i Roberta, i nas, i całą szkołę. Jednak jego najbardziej. On ją kochał. To się czuło w jego głosie.

- Wiem, że to, co was spotkało, było bardzo skomplikowane.

- Kamila zasłużyła sobie na piękną przyszłość. Była niezwykła. To dziwne, że tak trudno było to dostrzec, ale jak już się dostrzegło...

W tym momencie dopadła nas Kaśka.

- O czym tak rozprawiacie?

Grymas na twarzy Roberta sprawił, że postanowiłam natychmiast splawić intruza.

- Mamy do załatwienia pewną prywatną sprawę - powiedziałam z jawną niechęcią, ale ta miała gdzieś takie subtelności.

- Och, tak mi żal Kamili - wyjęczała, spoglądając boleści-wym wzrokiem na kolegę.

- Nie wątpię. - Robert przyśpieszył. Wyprzedzając niemalże biegiem wracających z pogrzebu ludzi, znikł za cmentarną bramą.

- Ojejku, co go ugryzło?

- Jesteś za głupia, żeby to zrozumieć. - Zostawiłam Kaśkę samą i dołączyłam do Jarka i reszty grupy.

Robert już nigdy nie powrócił do tej przerwanej rozmowy, chociaż kilka razy stworzyłam mu ku temu okazję.

Epilog

Od śmierci Kamili minął miesiąc. Skończył się rok szkolny a teraz wszyscy rozjeżdżają się na wakacje.

Patrycja zgodnie z obietnicą złożyła przed inspektorem Wawrzkiwiczem odpowiednie zeznania. Komisarz Różański umiejętnie, przy współudziale policyjnego psychologa, przywrócił Kwiatowskiem córkę, a Patrycji rodziców. O tym wszystkim opowiedziała mi krótko, gdy spotkałam ją przypadkowo na zakupach. Na zakończenie dodała, że postanowiła powtarzać drugą klasę. Reszty szczegółów dowiem się dopiero we wrześniu.

Gośka nie wróciła już do szkoły. Zatelefonowała tylko, żeby zwolnić mnie z danego jej słowa. Mogę już powiedzieć klasie, że to ona przywłaszczyła sobie pieniądze, ale uważam, że teraz ta prawda niczego już nie zmieni. Zresztą, zobaczę. Może powiem tylko Sabinie, jeśli o to zapyta.

Z Sabiną powróciliśmy do dawnej przyjaźni. Na te wakacje z jej rodzicami i braćmi wybieramy się na Mazury Jarek jedzie na całe dwa miesiące do Liverpoolu szlifować swój angielski. Obiecał, że codziennie będzie przysyłał SMS-y i wymógł na mnie przyrzeczenie, że będę na nie odpowiadać.

Natalka Barska przeprosiła się ze swoim studentem, z którym była na sylwestra, za to Kaśka Słowik ignorując śmieszność, w jaką popada, ze zdwojoną energią ugania się za Robertem. Bezskutecznie.

156

Śledztwo w sprawie śmierci Kamili trwa, lecz przez tatę dowiedziałam się, że prawdopodobnie zostanie umorzona. Nikt nie poczuwa się do winy, a zgromadzenie obciążających dowodów jest niebywale trudne. Tylko dwie osoby złożyły zeznania obciążające rodzinę Rutków- Patrycja i ja. Patrycja jako osoba, która powtarza klasę, ma na koncie ucieczkę z domu, nie jest zbyt mocnym świadkiem oskarżenia. Ja z kolei mogłam opowiedzieć tylko o tej wizycie, gdy przyszła do mnie po pomoc w załatwieniu lekarskiego zwolnienia. Mama też będzie zeznawać, jeśli prokuratura się do niej zgłosi. Na razie czeka.

Jeśli nawet prawo nikogo nie ukarze za śmierć Kamili, to mam nadzieję, że winni wcześniej czy później będą musieli się zmierzyć z przeszłością, a tam zawsze Ona będzie na nich czekać, - bezpieczna poza zasięgiem pasa, kabla, kija od miotły i złych języków. Parafrazując Marka Aureliusza, można powiedzieć, że życie wymaga umiejętności zapaśnika, nie motyla. Tylko życie, bo śmierć kieruje się własnymi prawami. Dopuszcza, by martwy motyl przygniatał sumienia żywych ciężarem większym, niż byłby w stanie udźwignąć najcięższy zapaśnik. Liczę na to, bo Kamila była takim motylem.

Gdybym mogła zresetować przeszłość i przeżyć ją jeszcze raz, wszystko potoczyłoby się inaczej. Gdyby pewnego zimowego wieczoru do moich drzwi zapukała Kamila, nie udawałabym, że jestem ślepa. Wydobyłabym z niej prawdę. Zaangażowałabym w pomoc tatę, mamę, Lilię, Jasińską, a nawet samego Baliszka. Na każdej przerwie podchodziłabym do niej, żeby zamienić chociaż parę słów. Nie słuchałabym biernie złości Natalki pod adresem Kamili, nie patrzyłabym jak Rombo i Tolo rzucają w nią kulkami z papieru... To i wiele innych rzeczy zrobiłabym, gdybym mogła cofnąć

czas, ale już niczego nie zrobię. Czas, jakby powiedział Jarek, jest skala-
157

rem, i to szczególnie, ma bowiem umowną wartość, urojony kierunek i pozorny ruch. Potocznie mówimy że czas przemija, ale to my przemijamy a wszystkie zegary świata tak mądrze odmierzają naszą śmiertelność. Z mojego punktu widzenia problem jest nie do ugryzienia. Mogę się jedynie spodziewać, że jeśli kiedyś w życiu spotkam jakąś podobną Kamilę, będę wiedziała, jak postąpić. A inni? Tymczasem życie toczy się dalej.

Spis treści

Szok.....	7
Jaka jestem? Jacy jesteśmy?.....	9
Dziwnawizyta.....	18
^Kobert rzuca propozycję.....	Z1
Chcą dobrze.....	Z5
Zabawa w dobre wróżki.....	SI
Sylwester.....	38
Tatrycja.....	47
JComisarz Różański.....	57
JVic nie jest jednoznaczne.....	6Z
Ciocia 'Wandzia.....	70
Afera.....	76
Gośka.....	8Z
Troblem goni problem.....	88
Spacer, którego nie powinno być.....	91
Śmierć JCamili.....	96
Bezowocne próby pokrzepienia mojego serca.....	101
Oficjalnie nikt nic nie wie.....	109
Niesnaski w „Czarnym JCocie”.....	119
zZnów Tatrycja.....	1Z8
Tatrycja opowiada o Kamili.....	13Z
Szkolna dyplomacja.....	14Z
Tożegnanie\7Camili.....	148
Epilog.....	156